PROF. ANDRZEJ NOWAK SPECJALNIE DLA „SIECI”

JAN ROKITA ANALIZUJE RZĄD TUSKA. DWIE FRAKCJE

GRZEGORZ GÓRNY O SENSACJACH WOKÓŁ WYBORU FRANCISZKA

MAŁGORZATA WOŁCZYK CIEMNA STRONA PABLA PICASSA

GDZIE SZUKAĆ NADZIEI PRZY TOTALNEJ WŁADZY?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

2 (580) 2024
8–14 stycznia 2024
CENA: 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694 02
9 772544 269403

TYLKO U NAS

PREZES TVP MICHAŁ ADAMCZYK UJAWNIA

KULISY ZAMACHU NA MEDIA

W STANIE WOJENNYM NIE BYŁO „TELERANKA”, TERAZ NIE MA „WIADOMOŚCI”. ALE TA WŁADZA NIE BĘDZIE TRWAŁA WIECZNIE

krak1944@gmail.com

Szanowny Czytelniku,

Dziękujemy, że jesteś w gronie przyjaciół tygodnika Sieci.
Z myślą o Tobie wciąż ulepszamy naszą e-prenumeratę,
więc sprawdź, co aktualnie zyskujesz.

1. MOŻESZ WYGODNIE CZYTAĆ TYGODNIK SIECI:

- **wcześniej niż inni**, już w niedzielę o 20:00!
- **gdziekolwiek jesteś**, na swoim komputerze lub telefonie
- **w najlepszej cenie** – tylko 99,90 zł za rok, czyli zaledwie 1,90 zł za każdy numer Sieci!

kliknij w ikonkę na **wPolityce.pl**

2. MASZ BEZPŁATNY DOSTĘP DO:

- **e-wydań** tygodnika Sieci, magazynu wSieci Historii i specjalnych wydań Sieci Extra (również archiwalnych od 2015 r.)
- **artykułów z zamkniętej sekcji Premium+** na portalu wPolityce.pl
- **pasjonujących audiobooków** (w ramach rocznej e-prenumeraty)

zaloguj się na **wPolityce.pl**
i kliknij w ikonkę

3. NALEŻYSZ DO PRZYJACIÓŁ TYGODNIKA SIECI I PORTALU WPOLITYCE.PL

- **jesteś bliżej Polski** i jej najważniejszych spraw
- **czytasz** rzetelne i patriotyczne teksty **swoich ulubionych autorów**
- **wspierasz polskie media**, które stoją na straży tradycyjnych wartości w duchu prawdy i patriotyzmu

Życzymy dobrej lektury!

Jacek Karnowski, Marzena Nykiel, Michał Karnowski

Prosimy o nieudostępnianie tego pliku osobom trzecim.
Generujemy go specjalnie dla Ciebie, dlatego jest sygnowany Twoim adresem e-mail.

Człowiek Wolności 2023 tygodnika SIECI

GALA Z UDZIAŁEM LAUREATA

PROF. ADAMA GLAPIŃSKIEGO

PREZESA NARODOWEGO BANKU POLSKIEGO

PONIEDZIAŁEK 8 STYCZNIA O GODZ. 19.00

OGLĄDAJ W TELEWIZJI **W POLSCE PL**

PARTNER ZŁOTY:

ORLEN

PARTNERZY STRATEGICZNI:

Enea

TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNER GŁÓWNY:

PGE Polska Grupa Energetyczna

PARTNERZY:

ALIOR BANK

SALTUS UBEZPIECZENIA

krak1944@gmail.com

Cofnijcie się, póki możecie

Premier Donald Tusk zapowiada nową inicjatywę w sprawie mediów publicznych „jeszcze w styczniu". I ponawia „propozycję" skierowaną pod adresem prezydenta Andrzeja Dudy:

„Jeśli chodzi o docelową ustawę medialną mogę tylko ponowić ofertę, także pod adresem prezydenta Andrzeja Dudy. Warto zastanowić się, jak odbudować media publiczne, też na poziomie dobrej ustawy. [...] Będziemy gotowi na pewno jeszcze w styczniu, z taką inicjatywą".

Dalej padły słowa bardzo ciekawe:

„Być może wskazane będzie powołanie komisji nadzwyczajnej w Sejmie, biorąc pod uwagę konstytucyjne aspekty tej kwestii i zaszłości. Trzeba będzie tu legislacyjnej oryginalności i odwagi myślenia".

Czyżby było to nawiązanie do wypowiedzi ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, który parę dni temu rzucił: „Przywracamy tę konstytucyjność i szukamy podstawy prawnej, żeby to zrobić"? Niewykluczone. Jedno jest pewne: „legislacyjną oryginalność", którą zapowiada Tusk, poprzedziło zwykłe bezprawie. Podeptano konstytucję, ustawy, setki innych regulacji.

Dziś prawo w Polsce nie obowiązuje. Zamiast demokracji mamy demokraturę. Decyduje siła, naga siła.

Neowładze przejętej bezprawnie telewizji publicznej uruchomiły neoTVP Info, a wcześniej „neoWiadomości". Wyniki oglądalności są nędzne i będą nędzne. Mit o biernych, nieświadomych niczego widzach TVP, którzy oglądali media publiczne z braku alternatywy, runął z hukiem. Ludzie wybierali „Wiadomości" i TVP Info świadomie – a nie dlatego, że nie mieli wyboru. Lewica i liberałowie uwierzyli we własną propagandę.

Siłowe uderzenie w TVP było aktem politycznego i prawnego barbarzyństwa. To także moment, w którym w istocie zlikwidowano w Polsce rządy prawa. Prawo już nie chroni tych, których na celownik weźmie Tuskowa władza.

Szkody są ogromne. Ale można jeszcze je zminimalizować. Ekipa 13 grudnia może się jeszcze wycofać z uderzenia w wolne media. Jeszcze może odwrócić choć część skutków tego, co zrobiła. Także dla własnego dobra. Nielegalna pacyfikacja TVP, Polskiego Radia oraz PAP jest bowiem początkiem końca tej władzy. Naznacza ona całość rządów czwórkoalicji trupim jadem stanu wojennego. Jadem, który w końcu doprowadzi do wybuchu, a ten z kolei zmiecie nowy reżim. Tym bardziej że doszedł on do władzy w oparciu o tysiąc kłamstw.

Cofnijcie się, dopóki jeszcze możecie. Oddajcie TVP prawowitym władzom, czyli prezesowi Michałowi Adamczykowi. Oddajcie Polskie Radio i PAP. Zabierzcie uzurpatorów. Cena tego odwrotu będzie dużo niższa niż ostateczny rachunek, który wystawi wam Historia.

Jacek Karnowski

Tak robili zaborcy

Spójrzmy na działania Tuska na chłodno i zobaczmy, jak realizowany jest precyzyjny plan.

Polka i Polak mają być głupiutcy, bez głębszej wiedzy, refleksji, umiejętności analitycznych. Mają być co najwyżej dobrymi robotnikami – dlatego zrywamy z wciąż obecnym solidnym kształceniem ogólnym, a nauczycielom, by nie protestowali, dajemy podwyżki.

Polacy mają być pozbawieni suwerennych elit intelektualnych, mają nie mieć narodowych instytucji, które budują postawy narodu, kształtują myśl państwową, ukazują piękno historii, budują dumę narodową. Mają też być wyzuci ze wspólnoty, którą daje wiara lub choćby szacunek dla niej. Dlatego zdejmują krzyże, a media publiczne muszą pójść pod nóż. Z tego też powodu od razu rozpędzono kadrę dobrze pracujących dla Polski instytutów, takich jak Instytut Strat Wojennych, Instytut De Republica i inne.

Polacy mają nie mieć własności, stąd plany wyprzedaży wszystkiego, zniesienia konsolidacji, która daje siłę (np. w Orlenie), wprowadzenia obcej waluty (stąd ataki na NBP), zatrzymania inwestycji. Dlatego nie może powstać CPK (konieczny, byśmy się dalej rozwijali), mają się ślimaczyć budowy elektrowni atomowych.

Polska ma być słaba militarnie – żeby w momencie, w którym naród już się zorientuje w zaawansowaniu procesu utraty niepodległości, mógł co najwyżej porwać się na jakieś skazane z góry na niepowodzenie powstanie. Dlatego wojsko ma grać z panem Owsiakiem, a w tym czasie pan Tusk zajmie się kasowaniem kontraktów. Z tego też powodu ościenne siły muszą zapewnić sobie panowanie nad aparatem służb specjalnych i kontrwywiadowczych. Stąd wiadome nominacje.

Przywódcą Polski ma być cynik używający języka miłości, sprawny w manipulacji na tyle, by grabież i osłabianie Polski przedstawić jako najwyższe dobro. Ludzie nienawidzący Polski mają się owijać biało-czerwoną. Wrogowie Kościoła mają nauczać o tym, co to znaczy być dobrym katolikiem.

Czyż nie tak czynili zaborcy? Czy nie taka była polityka okupanta niemieckiego i sowieckiego?

Każdy okupant naszej ojczyzny robił i robiłby w przyszłości (nie daj Panie Boże!) to samo, co robi koalicja 13 grudnia.

Plan był precyzyjny, jest wdrażany bezwzględnie w myśl zasady Bodnara: podstawy prawnej poszukamy potem. Najsmutniejsze zaś jest to, że dokładnie wszystko, co się teraz dzieje, przewidzieliśmy w tygodniku „Sieci". Polacy – czy zaczadzeni propagandą, czy przestraszeni wyzwaniami, jakie zawsze niesie niepodległość, wybrali jednak w większości inaczej. Pozostaje mieć nadzieję, że opamiętanie nie przyjdzie za późno.

Michał Karnowski

Reklama | 37/1123/F, 43/1123/F, 45/1223/F

krak1944@gmail.com

SIECI

spis treści

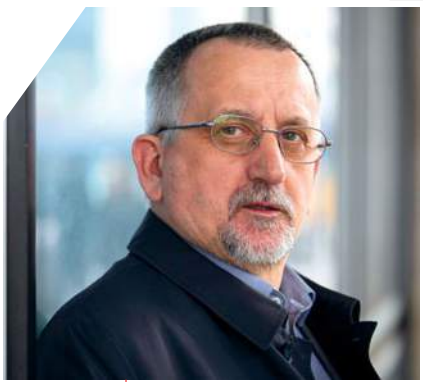

38 O feminatywach z dr. hab. Henrykiem Dudą *rozmawia Dorota Łosiewicz*

45 Miasta dla bogatych *Konrad Kołodziejski*

65 Generał w sutannie *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

5 **ZUZANNA CZYŻ A SPRAWA MEDIÓW PUBLICZNYCH**
Dorota Łosiewicz

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

10 **NIE WOLNO NAM MILCZEĆ**
Jan Pietrzak

10 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

11 **LIBERALNA DEMOKRACJA JAKO NEOKOMUNIZM**
Bronisław Wildstein

12 **WALIZKA MARZENY ŻUREK**
Michał Korsun

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **KLAROWNE DEMOKRATYCZNE ZASADY PAŃSTWA PRAWA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **NOWOROCZNIE**
Lech Makowiecki

ZAMACH NA MEDIA

18 **Z PREZESEM TVP MICHAŁEM ADAMCZYKIEM**
rozmawiają Michał Karnowski i Marcin Wikło

24 **SPISEK PRZECIWKO PAŃSTWU POLSKIEMU**
Marek Pyza

28 **TAK WYGLĄDAŁ ZAMACH NA MEDIA. RELACJA Z WYDARZEŃ**
Jakub Augustyn Maciejewski

32 **JAK TUMANOWICZ**
Marcin Wikło

KRAJ

35 **REWANŻYŚCI I POSTĘPOWCY**
Jan Rokita

38 **O FEMINATYWACH Z DR. HAB. HENRYKIEM DUDĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

42 **LEWA EDUKACJA**
Stanisław Janecki

45 **MIASTA DLA BOGATYCH**
Konrad Kołodziejski

OPINIE

48 **JAK ODNOWIĆ NADZIEJĘ?**
Andrzej Nowak

ŚWIAT

52 **EUROPA POSIŁKIEM PUTINA**
Marek Budzisz

55 **„MAFIA Z SANKT GALLEN" I KULISY WYBORU FRANCISZKA**
Grzegorz Górny

58 **2024 – ROK BUZUJĄCYCH HORMONÓW**
Dariusz Matuszak

60 **WOJOWNICY Z RÓŻAŃCEM**
Goran Andrijanić

62 **PICASSO: KOMUNISTA, SADYSTA, MIZOGIN**
Małgorzata Wołczyk

SIECI KULTURY

65 **GENERAŁ W SUTANNIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **EPOS O KRÓLU WANDEI**
Maciej Walaszczyk

70 **PODNÓŻKIEM GLOBALNEGO TRÓJNOGA**
Robert Tekieli

71 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

72 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

74 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

75 **POLITYKA KLIMATYCZNA W KAŻDYM DOMU**
Agnieszka Łakoma

PODRÓŻE

78 **MOJE SZLAKI: VITO RAHO**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

79 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

80 **W POLSKIM SEJMIE**
Alina Czerniakowska

81 **KUPOWANIE NOWEGO KALENDARZA (CZYLI SYTUACJA PONIEKĄD POETYCKA)**
Leszek Długosz

82 **BEZPODSTAWNA OTUCHA**
Andrzej Zybertowicz

krak1944@gmail.com

Zuzanna Czyż a sprawa mediów publicznych

Serio państwo Czyż nie rozumieją, co w tej sprawie bulwersuje?

Burza z piorunami przetoczyła się ostatnio przez media (głównie społecznościowe i portale) z powodu faktu, że w programie „19.30", tym od serwowania wody zamiast zupy, prowadzący audycję Marek Czyż zapowiedział materiał, którego współautorką była jego córka Zuzanna Czyż. Co w tej sprawie bulwersuje? Głównie to, że w obozie związanym z koalicją 13 grudnia wciąż słyszymy narrację, że osoby, które pracowały w TVP Info, legitymizowały jakiś wyimaginowany reżim i nie zasługują na miano dziennikarzy. No chyba że noszą nazwisko Czyż.

Ale po kolei. W jednym z wydań programu „19.30" pojawił się materiał poświęcony otwarciu po przebudowie obserwatorium astronomicznego w Chorzowie. Współautorką reportażu była Zuzanna Czyż, reporterka od kilku lat pracująca w śląskim oddziale TVP. Prywatnie córka Marka Czyża, prowadzącego „19.30".

„Familiada, rodzina na swoim w TVP" – ironicznie komentowała w mediach społecznościowych posłanka PiS Anita Czerwińska. „Córka u żłoba, wspólna zagroda, wszystko zostanie w rodzinie, wyraźnie stawiają na wartości rodzinne" – to tylko niektóre komentarze publikowane przez użytkowników serwisu X (d. Twitter).

Na sprawę zareagował prezenter „19.30", który stwierdził, że przez ostatnie lata prawicowym mediom materiały córki na antenach TVP nie przeszkadzały, a teraz przeszkadzają. Jego zdaniem Zuzanna Czyż jest pełnoprawną dziennikarką TVP od kilku lat, a została nią „bez żadnej protekcji, układów, znajomości". „Zawdzięcza to tylko temu, co potrafi. Trafiła do TVP właściwie w samym środku PiS-owskiego panowania nad mediami, a mimo to nigdy nie zhańbiła się żadnymi materiałami propagandowymi, chwalącymi władzę, wyszydzającymi jakąkolwiek osobę czy grupę społeczną w stylu, jaki w TVP był na porządku dziennym. Krytykowanie tego, że jej materiały pojawiają się na antenie, jest skandalicznym niezrozumieniem tego, czym mają być dziś media publiczne, w których liczy się dziennikarska rzetelność, a nie propagandowy zapał" – komentował Czyż.

Głos zabrała także córka prezentera: „Dziwi mnie fakt, że osoby dobrze znające produkcje serwisów informacyjnych nagle zapominają o podstawowym instrumencie, jakim jest »surówka«. To nic innego, jak surowy materiał – obrazki i wypowiedzi – z którego przygotowałam felieton na antenę regionalną, a którym to – jak często ma w zwyczaju – »poczęstowała« się centrala. W dużej mierze właśnie na tym polega współpraca na linii ośrodki–centrala. Od tego jesteśmy. Zastanawiające jest to, że w ciągu ostatnich pięciu lat mojej pracy dla TVP 3 Katowice przesłałam do Warszawy setki »surówek« i nikogo to nigdy nie bulwersowało... do tej pory".

Zuzanna Czyż pracuje w TVP w oddziale na Śląsku już od kilku lat, tworząc przez ten czas treści dotyczące sportu, kultury czy społeczności lokalnej. W późniejszym czasie zaczęła się angażować w tworzenie programów publicystycznych, pojawiała się również w TVP Info. I pewnie psa z kulawą nogą nie obeszłoby to, gdzie pracuje czy pracowała Zuzanna Czyż, gdyby nie fakt, że ta sprawa pokazuje, iż są równi i równiejsi.

Przypomnijmy sobie, że gdy gruchnęła wieść o zwolnieniu z pracy Marka Sierockiego (który ostatecznie zostaje w TVP), nie brakowało takich, którzy tłumaczyli, że sama obecność w TVP w ostatnich latach ma niemal dyskwalifikować człowieka nie tylko z dalszej dziennikarskiej pracy, ale wręcz z życia publicznego. Poseł Konrad Frysztak z Koalicji Obywatelskiej porównał nawet dziennikarzy pracujących w TVP do nazistów. Politycy PO na widok kostki z logiem TVP Info, z którą pracowała także Zuzanna Czyż, pluli jadem, krzycząc, że w tej instytucji nie ma dziennikarzy, a sami funkcjonariusze. Polsat ustami Piotra Witwickiego poinformował, że odrzuca CV z TVP, bo stacja chce współpracować „wyłącznie z dziennikarzami". Wiedza, umiejętności, kompetencje bez znaczenia. Serio państwo Czyż nie rozumieją, co w tej sprawie bulwersuje? Otóż to, że samo nazwisko ma być wyznacznikiem tego, kto jest, a kto nie jest dziennikarzem.

Dorota Łosiewicz

krak1944@gmail.com

Sygnalista nadaje

Minister sprawiedliwości ***Adam Bodnar***, pytany w Radiu Zet o decyzję ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza w sprawie mediów publicznych, niespodziewanie wypalił: „Mamy sytuację, w której przywracamy tę konstytucyjność i szukamy jakiejś podstawy prawnej, żeby to zrobić". To zdanie przejdzie do historii. Przejęli media za pomocą nagiej siły, a teraz szukają podkładki prawnej. To metody Łukaszenki i Putina w czystej postaci.

W czasie noworocznego orędzia premier Tusk zapowiedział pojednanie, ale poprzedzone rozliczeniem: „Rozliczmy zło, to już się dzieje. Naprawimy krzywdy, to też już zaczynamy i najważniejsze – pojednamy. Wiem, że pojednanie będzie prawdopodobnie najtrudniejszym zadaniem, ale wierzę, że i tym razem niemożliwe stanie się możliwe. Wierzę, że Polacy odrodzą się jako jedna wspólnota, wielki, silny naród". Pałowana właśnie – na razie prawnie i politycznie, ale to dopiero początek – połowa narodu słyszy w tych słowach jedynie cynizm.

W swoim orędziu prezydent ***Andrzej Duda*** czytelnie przestrzegł koalicję 13 grudnia: „Wzywam koalicję rządową, żeby zaczęła przestrzegać zasad demokratycznego państwa prawa i szanować obywateli bez względu na ich poglądy polityczne. […] Mieliśmy już do czynienia z taką sytuacją. Doskonale ją pamiętam, gdyż byłem ministrem w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego, gdy Donald Tusk stał poprzednio na czele rządu. Wyciągnąłem z tamtej sytuacji wnioski. Jestem gotowy do współpracy w najważniejszych dla Polski sprawach, ale jestem również przygotowany na sytuację, że rząd takiej współpracy nie będzie chciał!". Z nimi inaczej nie można. Trzeba pamiętać: to nie są demokraci.

Adam Michnik: „Pan Bóg zrobił Polakom wielką frajdę, że przywrócił Donalda Tuska i że kampania Donalda była wspaniała, nadzwyczajna, bezbłędna". I dalej: „Do ostatniej chwili się bałem, oni coś wykręcą, zmanipulują. Bałem się, bo to już nie był ten PiS, co kiedyś. Nigdy PiS nie lubiłem, ale kiedyś tam byli Leszek Kaczyński, Paweł Kowal, Ludwik Dorn, Joanna Kluzik-Rostkowska. Inni ludzie. A teraz, od lat… Dorn mówił o susłoizacji PiS". Kto ma lepszą pamięć, ten zna tę sztuczkę: PiS jest zawsze niszczony z całą siłą oraz mocą i zawsze towarzyszy temu teza, że kiedyś był fajniejszy. Czytelne.

Lider Konfederacji Krzysztof Bosak w sprawie zamachu na media uważa tak: „Twarde słowa z prezydenckiego orędzia brzmiałyby znacznie mocniej i wiarygodniej, gdybyśmy wcześniej słyszeli podobne wobec poprzedniego rządu, gdy deptał on standardy państwa prawa i zwykłej przyzwoitości w zawłaszczonych mediach publicznych". To fałszywy symetryzm, pomijający fakt podstawowy: to TVP gwarantowała pluralizm w przekroju społecznym. Konfederacja utorowała koalicji 13 grudnia drogę do władzy. I wciąż nie rozumie, że ona też będzie celem tego zamordyzmu.

Pragnienie zemsty jest tak wielkie, że wiadomość o wyrzuceniu z TVP dostał nawet ***Marek Sierocki***, zapowiadający w „Teleexpresie" materiały muzyczne. Ucieszyło to Jakuba Wojewódzkiego: „Marek Sierocki, cześć. Milczenie, gdy trzeba protestować, to tchórzostwo. Lubię ten cytat. W praktyce kosztował mnie sporo, ale jakoś tak skutecznie ułatwiał zasypianie. Dziś, gdy próbujemy obudzić się z tego historycznego koszmaru, jakimi była władza PiS, widzę, że niektórzy mają ochotę na dalszą drzemkę. Śmieszy mnie moralne hamletyzowanie w dyskusji o zwolnieniu Marka Sierockiego z TVP. I momentami przeraża". Ostatecznie, pod presją opinii publicznej, zwolnienie Sierockiego odwołano. Swoich haniebnych słów Wojewódzki już nie wymaże.

krak1944@gmail.com

Portal wPolityce.pl poinformował, że w czasie przejmowania mediów publicznych „śmierć była naprawdę blisko". „Podczas pacyfikacji jednego z ośrodków TVP wyprowadzano dziennikarzy i współpracowników według wcześniej przygotowanej listy. Znalazła się na niej także dziewczyna, która w na antenie regionalnej od czasu do czasu prezentowała pogodę. Niby nic wielkiego, ale »wina« okazała się wielka, polegała na tym, że jej siostra pracowała w Telewizji Polskiej w Warszawie. Podczas wypychania dziennikarzy z budynku sprawy wymknęły się spod kontroli, pogodynka doznała bowiem udaru i została natychmiast odwieziona do szpitala". Na szczęście dziennikarka wraca do zdrowia. Po stronie pacyfikatorów refleksji niestety wciąż brak.

NeoTVP szybko przyzwyczaiła widzów (nielicznych) do słabej jakości swoich programów. Są jednak granice śmieszności, które wydawały się być nie do ruszenia. Ekipa Tomasza Syguta pokazuje jednak, że pod tym względem nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Okazuje się bowiem, że w rolę korespondentki neoTVP z Berlina wciela się dziennikarka... niemieckiej grupy medialnej Deutsche Welle. Śmieszność dotyczy rzecz jasna jedynie warstwy formalnej. W warstwie faktycznej wszystko jest w najlepszym porządku. Tego właśnie dotyczyły październikowe wybory.

Przejęta bezprawnie TVP szokująco wiele czasu poświęca na promocję ideologii LGBT+. Zapewne sądzą, że jak pokażą „prostym ludziom" fajnych gejów, to zmienią oni swoje nastawienie. Jak zawsze w przypadku lewicy, mamy też próby zawstydzania społeczeństwa. Już w jednym z pierwszych wydań „neoWiadomości" oskarżono Polaków o homofobię. „Od czterech lat w międzynarodowych rankingach jesteśmy najbardziej homofobicznym, czyli najbardziej niechętnym gejom i lesbijkom, krajem Unii Europejskiej. Proszę spojrzeć na tę mapę. Bliżej nam do Rosji, Białorusi niż do Niemiec czy Wielkiej Brytanii" – mówił dziennikarz. Może byśmy uwierzyli, gdybyśmy nie wiedzieli, że to lobby zawsze uważa się za pokrzywdzone. Nawet wówczas, gdy jego krytycy siedzą w więzieniach.

Poza tym to znów ściema. Jak wykazał na portalu wPolityce.pl publicysta Goran Andrijanić, neoTVP wykorzystała grafiki wykonane dla organizacji LGBT ILGA-Europe. Publikuje ona cyklicznie badania „międzynarodowego rankingu mierzącego poziom równouprawnienia osób LGBT w państwach Europy". „TVP broni swojej tezy za pomocą wyników badań, które wielu uważa za kontrowersyjne, a niektórzy otwarcie nazywają je oszustwem". Chodzi o to, że przywołane badanie nie mierzy poziomu zachowań homofobicznych wobec osób o różnej orientacji seksualnej, a jedynie ocenia kraj według tego, jak bliskie są jego przepisy i praktyka prawna temu, co ideologia LGBT+ uważa za idealne. Nawet jak na lewicę to gruba ściema.

Fot. Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

Jak nazwać to, co zrobiła ekipa Tuska po przejęciu władzy? W sondzie przeprowadzonej wśród czytelników wPolityce.pl 33 proc. głosujących wybrało odpowiedź: „Wprowadzenie faktycznej dyktatury". Zdaniem 25 proc. doszło do „obalenia państwa prawa". Odpowiedź „stan zamordyzmu" wybrał co piąty uczestnik sondy. Zdaniem 14 proc. to, co się dzieje, to „pucz antykonstytucyjny". W opinii 8 proc. należy mówić o „miękkiej powtórce z 13 grudnia 1981 r.". Cóż, ten kolejny czarny grudzień w polskiej historii w końcu znajdzie swoją nazwę.

Joanna Kurska, była dyrektor biura programowego TVP oraz żona byłego prezesa TVP Jacka Kurskiego, opublikowała swoją ocenę ostatnich wydarzeń związanych z Telewizją Polską: „Ówczesne władze TVP z prokurentem zarządu wpuściły w tym celu potajemnie wysłanników ppłk. Sienkiewicza przez podziemny parking, tak żeby nie widzieli ich broniący budynku TVP posłowie Prawa i Sprawiedliwości, oraz poleciły wyłączyć sygnał TVP Info. Złożeniu podpisu pod aktem kapitulacji w ostatniej chwili zapobiegło wtargnięcie do gabinetu prezesa TVP na 10. piętrze czujnych posłów PiS, którym należą się za to słowa najwyższego uznania, podobnie jak tym politykom, którzy dyżurami w siedzibie TAI dają świadectwo braku zgody na bezprawny zamach na Telewizję". Jest faktem, że TVP można było obronić albo przynajmniej bronić znacznie dłużej.

Katarzyna Lubnauer, wiceminister edukacji, zapowiada odchudzenie podstaw programowych. „Zostaną ograniczone pewne treści. [...] Pozwoli to na większą autonomię nauczycielowi w wyborze pewnych treści, możliwość rozszerzania ich, ciekawszego opowiedzenia o pewnych zagadnieniach czy np. pracy w grupie. Spadnie wówczas zasadność zadawania prac domowych" – przekonuje. Szykuje się również „ograniczenie liczby lektur": „Narzekają na to bardzo nie tylko uczniowie, ale i nauczyciele, bo nie daje im to praktycznie możliwości wyboru czegokolwiek spoza kanonu narzuconego odgórnie". Tak, już widzimy, jak młodzież masowo rzuca się na książki spoza listy. Cel jest jasny: im społeczeństwo mniej świadome swego dziedzictwa, tym łatwiejsze do manipulowania.

krak1944@gmail.com

Odcinanie korzeni

Irlandia

Parada równości, Dublin, 2022 r.

Irlandzki rząd forsuje zmiany w konstytucji, które nowelizują definicję rodziny. Ten proces ciągnie się od 2015 r., gdy Irlandczycy zgodzili się na legalizację małżeństw homoseksualnych. Wtedy ówczesny premier Leo Varadkar, który ujawnił się jako homoseksualista, stwierdził, że konstytucja nie odzwierciedla współczesnej Irlandii. W 2021 r. przyjęto więc plan obejmujący 45 punktów mających zapewnić równość płci. Dlatego w kolejnym referendum, które odbędzie się 8 marca, pod głosowanie zostaną poddane poprawki dotyczące wartości rodzinnych.

Na razie konstytucja zobowiązuje państwo do ochrony instytucji małżeństwa, na której opiera się rodzina. Art. 41 docenia rolę kobiet pracujących w domu, które w ten sposób wspierają państwo i bez których „dobro wspólne jest nieosiągalne". Gwarantuje też, że matka nie powinna być zmuszona przez ekonomiczną konieczność do pracy i zaniedbywania swoich obowiązków w domu. Teraz nowym zobowiązaniem państwa ma być docenianie pracy wszystkich „opiekunów rodzinnych". Do tego definicja rodziny zostanie rozszerzona na wszystkie gospodarstwa domowe pozostające w „trwałych związkach", w tym jedną trzecią par z dziećmi urodzonymi poza związkiem małżeńskim.

Demontaż katolickiego społeczeństwa trwa w Irlandii od półwiecza. W 1973 r. po przystąpieniu Irlandii do struktur europejskich z konstytucji usunięto deklarację o szczególnej pozycji Kościoła katolickiego. Rok później Sąd Najwyższy uznał, że prawo do prywatności gwarantuje małżeństwom prawo do antykoncepcji. W 1995 r. minimalną większością głosów zalegalizowano rozwody, choć dekadę wstecz nie było na to zgody, a w 2012 r. wprowadzono przepisy o tzw. prawach dzieci, umożliwiające ingerencję państwa w ich wychowanie. Punktem kulminacyjnym tych zmian była legalizacja aborcji w referendum z 2018 r., chociaż 35 lat wcześniej przyjęto poprawkę wzmacniającą gwarancję ochrony życia poczętego. W 2018 r. zdecydowano też o usunięciu przestępstwa bluźnierstwa.

W miejscu katolickiego państwa tworzy się coś w rodzaju liberalnej despocji. Władza szykuje bowiem ustawę o mowie nienawiści, która będzie prawdopodobnie najbardziej radykalnym tego rodzaju ustawodawstwem na Zachodzie. Penalizowana zostanie aktywność w internecie, a także posiadanie książek, filmów i materiałów graficznych, które „mogą nawoływać do przemocy lub nienawiści". A wszystko w cieniu trawionego kryzysem Kościoła katolickiego. Jest bowiem coraz mniej kapłanów, spadł też odsetek praktykujących wiernych. Rośnie za to liczba muzułmanów.

Maciej Walaszczyk

Fot. Yaroslav Astakhov/Shutterstock

Autorytarny dryf

Serbski prezydent Aleksandar Vučić uznał gwałtowne demonstracje opozycji w Belgradzie za „próbę przewrotu inspirowaną przez siły zagraniczne". Powtórzył w ten sposób wypowiedź rosyjskiego ambasadora Aleksandra Bocana-Charczenki, który stwierdził, że „istnieją niezbite dowody" zaangażowania Zachodu w plan zniszczenia tradycyjnej przyjaźni Serbii z Rosją.

Serbska opozycja już od wiosny domagała się przedterminowych wyborów parlamentarnych. Po śmierci 18 osób w dwóch strzelaninach w szkołach rządzącym zarzucano niedostateczną dbałość o bezpieczeństwo wewnętrzne. Ostatecznie do przyspieszonych wyborów doszło 17 grudnia, ale ich wynik stanowił niemiłe zaskoczenie dla zjednoczonej opozycji. Rządząca Serbska Partia Postępowa, z której wywodzi się prezydent Vučić, niespodziewanie zdobyła niemal 47 proc. głosów, zapewniając sobie większość co najmniej 128 mandatów w liczącej 250 deputowanych Skupsztinie. Zjednoczona opozycja, idąca do wyborów pod szyldem Serbia Przeciw Przemocy, zdobyła nieco ponad 23 proc. głosów, co było zdecydowanie poniżej jej ambicji.

Działacze opozycji są przekonani, że doszło do fałszerstw i domagają się ujawnienia list wyborców głosujących w Belgradzie oraz największych miastach. Ich zdaniem partia Vučicia przywiozła autobusami nawet 40 tys. Serbów z Bośni i Hercegowiny, aby wpłynąć na wynik wyborów. O licznych nieprawidłowościach w toku głosowania informowały też organizacje społeczne obserwujące jego przebieg. Demonstracje w Belgradzie, które wybuchły zaraz po podaniu pierwszych wyników wyborów, przerodziły się w starcia i próby opanowania budynków publicznych.

W odpowiedzi Vučić oświadczył protestującym, że „Majdanu w Serbii nie będzie". Wiele wskazuje na to, że prorosyjska Serbia – podobnie jak sąsiednie Węgry – coraz szybciej dryfuje w stronę autorytaryzmu.

Marek Budzisz

Serbia

Prezydent Serbii Aleksandar Vučić

Fot. RaduljePersic/Shutterstock

krak1944@gmail.com

Niemcy

Tęsknota za wolnością

Od 1953 r. renomowany Instytut Demoskopii Allensbach w Badenii-Wirtembergii prowadzi badania pod nazwą „Indeks wolności w Niemczech". Dotyczą one swobody wypowiedzi w RFN. W br. padł niechlubny rekord. Okazało się, że tylko 40 proc. obywateli Niemiec uważa, że może swobodnie rozmawiać. To najniższy poziom od czasu, kiedy 70 lat temu zainicjowano badania.

Dla porównania: w 1990 r. 78 proc. respondentów nie bało się mówić publicznie tego, co myśli. Obecnie takich osób jest niemal dwa razy mniej. Dziś 48 proc. ankietowanych jest zdania, że należy zachować ostrożność z ujawnianiem swoich prawdziwych poglądów w miejscach publicznych. Tylko 33 proc. deklaruje, że mówi to, co chce i nie przejmuje się zdaniem innych.

W tej sytuacji łatwiej jest odpowiedzieć na pytanie, kto w Niemczech czuje się w pełni wolny, a kto obawia się przyznać publicznie do swoich opinii. Wśród zwolenników ugrupowań politycznych tylko większość wyborców Partii Zielonych nie ma problemów z otwartym wyrażaniem własnych sądów, wśród środowisk zawodowych – jedynie pracownicy naukowi, a wśród grup wiekowych – tylko młodzi ludzie do 30. roku życia.

Analitycy Instytutu Allensbach uważają, że zaobserwowane poczucie braku wolności i obawa przed publicznym przyznaniem się do swoich poglądów wynikają z panującego w kraju klimatu poprawności politycznej oraz „erozji subiektywnej wolności wypowiedzi". Ich zdaniem ton dyskusji publicznej stał się „ostrzejszy i bardziej nietolerancyjny" w porównaniu z poprzednimi latami. Według „Neue Zürcher Zeitung" strach przed ujawnianiem własnego stanowiska dotyczy takich tematów, jak działania antycovidowe, polityka klimatyczna, sprawy migracyjne, gender.

Poczuciu braku wolności towarzyszy zarazem coraz większa tęsknota za nią. Na pytanie Instytutu Allensbach, co jest dla ciebie ważniejsze: wolność czy równość, w 1998 r. 45 proc. respondentów wybrało wolność, a 40 proc. równość. Dziś wolność wskazało 56 proc., a równość tylko 29 proc.

Grzegorz Górny

Mjanma

Gorączka opium

Najnowszy raport ONZ pokazuje, że w rankingu światowych producentów opium zaszły poważne zmiany. Palmę pierwszeństwa, którą dotąd dzierżył Afganistan, przejęła w minionym roku Mjanma (dawna Birma). W tym dalekowschodnim kraju wytworzono bowiem ok. 1,8 tys. t opium, będącego podstawowym składnikiem heroiny.

Wzrost produkcji opium w Mjanmie jest ściśle związany z kryzysem wywołanym trwającą w tym państwie wojną partyzancką. Od czasu przejęcia władzy w 2021 r. przez juntę wojskową gospodarka kraju została praktycznie zniszczona, co zmusiło miejscową ludność do szukania nowych źródeł utrzymania. W ten sposób rozprzestrzeniła się uprawa maku, która, jak wynika z raportu ONZ, w ciągu ostatnich dwóch lat stała się bardziej wyrafinowana. Inwestycje, nawadnianie i nawożenie znacząco zwiększyły plony.

Pozwoliło to wyprzedzić dotychczasowego lidera w produkcji opium – Afganistan. Tam odwrotnie niż w Mjanmie liczba upraw gwałtownie spadła za sprawą stanowczej polityki talibów. I choć w ub.r. uprawy maku w Afganistanie stanowiły prawie jedną trzecią całkowitej produkcji rolnej pod względem wartości, to ich powierzchnia zmniejszyła się z 233 tys. ha pod koniec 2022 r. do niespełna 11 tys. rok później.

Zupełnie inaczej jest w Mjanmie, gdzie rządząca junta i zwalczający ją rebelianci są w dużym stopniu finansowani z opiumowych zysków. Szacunkowa wartość „gospodarki opiatów" wyniosła 2,4 mld dol. co stanowiło równowartość 4,1 proc. PKB Mjanmy w 2022 r. W wielu regionach tego kraju, szczególnie w tzw. złotym trójkącie położonym w pobliżu Laosu i Tajlandii, rozwinęła się równoległa gospodarka oparta – oprócz upraw maku – na nielegalnych kasynach, domach publicznych i fabrykach broni. Na masową skalę produkuje się również metamfetaminę, przemycaną potem do sąsiednich państw.

Duża część tej równoległej gospodarki znajduje się pod kontrolą lokalnych grup zbrojnych. Głównym obszarem upraw maku jest górzysta, porośnięta dżunglą prowincja Szan, która zajmuje czwartą część powierzchni Mjanmy. To właśnie stamtąd operuje wiele oddziałów rebelianckich, walczących z juntą.

Junta twierdzi, że nie jest w stanie odwojować tych terenów i zlikwidować upraw, jednak zdaniem ekspertów prawda tkwi gdzie indziej. Narkobiznes jest bowiem pokaźnym źródłem zysków nie tylko dla rebeliantów, lecz także dla sprawującego władzę wojskowego reżimu, dlatego nie ma on żadnego interesu w ukróceniu handlu opium.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shuterstock x2

krak1944@gmail.com

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nie wolno nam milczeć

Jan Pietrzak

No i mamy z nowym rokiem nową rzeczywistość. Nie wygląda ona zbyt dobrze, ale nie zaskakuje. Przecież Tusk obiecywał na wiecach, że przyjdą silni ludzie i zrobią porządek... Nikt poza mną tego nie słyszał?

Szefowie państwowych mediów nie bardzo wiedzieli, jak się zachować, by nie zdenerwować wysłanników nowej władzy. W takim emocjonalnym momencie nieznany hochsztapler, machający niby tajnym pismem, wszedł do PR i TV, by wyłączyć sygnał nadajników. Potem dzień po dniu pojawiali się politycy, redaktorzy odważnie protestujący przeciw zamachowi na polskie media, zwołujący demonstracje... Bardzo dobrze! Ale mleko już wykipiało.

Przywołuję te pierwsze godziny bezprawia nie dla rozliczeń, bo nie czuję się kompetentny. Po prostu nie wolno nam milczeć. Agresja tuskoidów dopiero się zaczyna. Potrwa jakiś czas i nie będzie przyjemna. Po bezprzykładnej napaści na wspólną własność Polacy muszą się szybko uczyć, jak postępować, jak bronić swoich wartości i dobytku. Już od jutra.

Rządy Zjednoczonej Prawicy 2015–2023 to był dobry czas dla Polski. Mimo dwóch lat niszczącej epidemii, kolejnych dwóch lat kosztownego „asystowania" walczącej Ukrainie pracowici, energiczni ludzie w rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego pilnowali państwowej nawy. Niefortunny przebieg wyborów nie może przekreślić polskiej przyszłości. Trzeba zahamować akcję zwijania Polski.

Ostatni przykład z brzegu. Minister Kulturkampf ogłosił likwidację regionalnych rozgłośni Polskiego Radia. Kto wykupi te obiekty? Zagraniczne firmy, czyli...? Na tym właśnie polegała tzw. transformacja u progu III RP. Pod hasłami niezbędnej prywatyzacji, liberalizmu, wolnej ręki rynku rozkradano naszą peerelowską chudobę. Wszystkie ideologiczne hasła, pozorujące głębsze intencje, sprowadzają się do tego, jak okraść Polaków.

Przy tej skali złodziejstwa potrzebna jest otoczka dezinformacyjna. Dlatego na początek skasowano polskie media. Media niemieckie w Polsce mają się świetnie i mogą mnie szkalować na okrągło. Ostatnio w sprawie obozów dla imigrantów. Tym tematem zajmę się po otrzymaniu pozwu, co obiecał minister Bodnar. Nie mogę uprzedzać wypadków, bo „silni ludzie" zrobią ze mną porządek. Ordnung muss sein.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Pro domo sua

Dominik Zdort

Kierownictwo Telewizji Polskiej 27 grudnia 2023 r. poinformowało nas o likwidacji Tygodnika TVP, który nasz niewielki zespół redagował przez ostatnie 6 lat. Przez ten czas byliśmy strażnikami kulturowej i cywilizacyjnej misji publicznego nadawcy, tłumaczyliśmy świat, wyjaśnialiśmy, co i dlaczego się dzieje, uciekając od polskich partyjnych wojenek, sięgając głębiej, starając się widzieć więcej.

Nie będę nadmiernie skromny: byliśmy cenieni, i to nie tylko przez naszych szefów oraz współpracowników, lecz także przez czytelników. Ktoś ważny i poważny powiedział, że nasz portal to jedyne intelektualne dokonanie telewizji w ostatnich latach. To przesada, ale z przyjemnością powtarzam tę opinię i dziękuję Jackowi, że pozwolił nam istnieć, choć był z nas bardzo niezadowolony, a źli ludzie podpuszczali go, aby nas zniszczył. Jestem wdzięczny Maćkowi i Kubie, dzięki którym nasz portal mógł powstać, oraz Mateuszowi, że bronił nas do końca.

Jednak największą siłę dało nam grubo ponad 20 mln odsłon w sieci, tym bardziej że nie proponowaliśmy internetowej papki, łatwych sensacji i prostackich clickbaitów, ale pogłębione analizy, wymagające umysłowego wysiłku, poważnego podejścia i zrozumienia. Dlatego jestem wdzięczny czytelnikom, od których ostatnio otrzymaliśmy wyrazy solidarności, i dziennikarzom, dzięki którym zasłużyliśmy na pochwały. Nie traćcie nadziei, być może ciąg dalszy nastąpi.

Wiem, że wymienianie mało znanych nazwisk redaktorów nudzi czytelników. Ale czasem trzeba wspomnieć o tych, dzięki którym teksty świetnych autorów stają się jeszcze świetniejsze. Którzy na redakcyjnych kolegiach wymyślali tematy, a potem szlifowali materiały, tak aby błyszczały w Tygodniku TVP. Przede wszystkim moje najwspanialsze koleżanki. Nie ma w Polsce lepszych redaktorów, więc zapamiętajcie te nazwiska: Benita Waszkielewicz i Beata Zubowicz. Ale też byli wspaniali Filip Memches, Wojtek Stanisławski, Basia Sułek-Kowalska, Monika Małkowska, Piotrek Kościński i Krzysztof Zwoliński.

Miałem jeszcze ochotę, aby wymienić nazwiska paru złych ludzi, zapatrzonych w siebie i swoje kariery, którzy ostatecznie zdecydowali o zniszczeniu Tygodnika TVP. Ale powstrzymam się od mściwości. Durnie pozostaną durniami i ich nazwisk nie warto nagłaśniać.

Autor w latach 2017–2023 był szefem portalu Tygodnik TVP. Wcześniej w latach 2012–2017 kierował „Plusem Minusem", weekendowym wydaniem „Rzeczpospolitej"

krak1944@gmail.com

BRONISŁAW WILDSTEIN

Liberalna demokracja jako neokomunizm

Marsjanin, który postanowiłby się zainteresować dziejami Polski, miałby twardy orzech do zgryzienia. Ci sami, którzy po upadku totalitarnego systemu, terroryzującego Polaków i podporządkowującego ich obcym interesom, blokowali pociągnięcie do jakiejkolwiek odpowiedzialności jego zarządców i nadzorców, 30 lat później nawołują do odwetu na tych, którzy zgodnie z regułami demokracji rządzili wcześniej. W początkach III RP piętnowany był już nie tylko pomysł na rozliczenie nomenklatury, która w imię swoich korzyści realizowała w Polsce moskiewski porządek, ale jakakolwiek próba weryfikacji stanowisk jej członków i ujawnienia ich wcześniejszej aktywności. Próba odebrania nieprawnie zagarniętego Polakom majątku przez dyktatorsko władającą krajem PZPR została nazwana „bolszewizmem" przez Adama Michnika, głównego ideologa III RP, który prawo lustracyjne zestawiał z nazistowskim ustawodawstwem i grzmiał, że nie będzie „walczył bronią nienawiści". Dziś ten sam Michnik i jego organ nawołują do eksterminacji PiS i wycięcia z życia publicznego jego zwolenników.

30 lat temu nie było Onetu czy TVN, ale to Michnik, jego sfora i wasale w rodzaju „Tygodnika Powszechnego" czy „Polityki" wspólnie z politykami głównego nurtu wychowali panoszących się dziś w Polsce wyrobników frontu medialnego i jego zarządców, wykreowali retorykę nienawiści wymierzoną w krytyków III RP, a tym samym zbudowali fundamenty dominującej dziś w naszym kraju doktryny, która jest wariantem lewicowo-liberalnej ideologii emancypacji. Mniej chodzi tu zresztą o konkretne osoby, a o środowiska, chociaż postawy tych pierwszych, np. byłych członków nomenklatury korzystających z amnezji III RP, a dziś nawołujących do rozprawy z PiS, są wymowne.

Gdyby jednak Marsjanin postanowił drążyć tę zagadkę, odpowiedź na nią, jak często, okazałaby się zdumiewająco prosta. Na początku lat 90. wyrozumiałość nowo-starego establishmentu ograniczała się do dawnych komunistów, czyli faktycznie swojego szeroko rozumianego środowiska. Dla przeciwników nie znajdziemy w nim nawet jej śladu.

III RP jest tworem postkomunistycznym nie w tym sensie, że po nim następuje, lecz w tym, że rządzące PRL środowiska po dokooptowaniu części elit opozycyjnych zachowały swoją dominującą pozycję, a peerelowską dyktaturę zastąpiły wyrastającą z niej oligarchią. Sympatia europejskiego establishmentu wskazuje nie tylko tak charakterystyczną solidarność zamordystów, ma ona głębsze, ideowo-polityczne podstawy. Dlatego być może warto byłoby nazwać liberalną demokrację neokomunizmem.

Obecny projekt rewizji traktatów europejskich odwołuje się wprost do manifestu z Ventotene, dokumentu z czasów II wojny światowej autorstwa komunistów, którzy klasyczny marksizm zastąpili „europeizmem". Nie odstąpili jednak od swojego fundamentalnego projektu budowy nowego człowieka. Ma on zostać wyzwolony z więzów tradycji, a więc i państwa narodowego, które stanowi jego formę, co oznacza zasadniczą cywilizacyjną mutację oraz transformację europejskiej kultury.

„Linia podziału pomiędzy partiami postępowymi i reakcyjnymi nie przebiega więc już zgodnie z formalnym kryterium większej lub mniejszej demokracji, lecz wzdłuż całkowicie nowej granicy. Po jej jednej stronie znajdują się poplecznicy starych dążeń, dla których ostatecznym celem walki jest zdobycie politycznej władzy narodowej. Staną się oni – choć nieumyślnie – igraszką sił reakcyjnych, pozwalając, aby rozżarzona lawa pragnień ludu zastygła w starych, skostniałych formach i aby odrodziły się dawne absurdy. Po drugiej stronie linii podziału znajdują się ci, którzy za podstawowe uznali utworzenie stabilnego państwa ponadnarodowego".

Ten cytat z manifestu mówi wszystko. Wobec tak wzniosłego zadania nie trzeba przejmować się formalną demokracją. Władza należy się tym, którzy szczytny cel realizują. Kiedy go osiągną, będzie można przyjąć nawet formalną demokrację, chociaż wówczas, gdy wszyscy będą myśleli tak samo, nie wiadomo, do czego będzie potrzebna. Na razie jednak dla nieoświeconego ludu trzeba stosować jej retorykę. Demokratów nazywać populistami, a oligarchów demokratami. Przeciwników ponadnarodowego państwa w imię wolności należy usunąć z życia publicznego, a ich działania penalizować pod hasłem walki z mową nienawiści. To dlatego żyjemy w świecie odwróconych znaczeń. Komuniści też walczyli o prawdziwą wolność, ludową demokrację i prawo, które miało służyć emancypacji człowieka.

To, co robi dziś w Polsce Tusk, jest nie tylko próbą wpisania Polski w europejskie imperium zarządzane z Berlina, Paryża i Brukseli. To potraktowanie jej jako laboratorium uporania się z niesfornymi narodami. Dlatego nie słuchajmy tego, co Tusk, Hołownia, Michnik czy Lis mówią o sobie. Słuchajmy tego, co mówią o PiS. Wtedy mówią o sobie.

Fot. Andrzej Wiktor

krak1944@gmail.com

Walizka Marzeny Żurek

autorki bajek edukacyjnych dla dzieci, psychodietetyczki

Podczas moich podróży po Polsce nie sposób nie zauważyć, jak wiele dzieci boryka się z problemem nadmiernej masy ciała. Na szczęście coraz więcej osób zdaje sobie sprawę z tego, że prawidłowe odżywianie ma istotny wpływ nie tylko na kondycję fizyczną, lecz także psychiczną najmłodszych. Niestety powszechne przekonanie, że „dziecko z tego wyrośnie" często tylko pogłębia problem. Dlatego zainspirowana tymi obserwacjami zdecydowałam się stworzyć serię kreatywnych warsztatów, które mają na celu poprawę nawyków żywieniowych dzieci. Przedszkola, szkoły, ośrodki kultury, biblioteki stanowią dla nas doskonałą przestrzeń nie tylko do wspólnych rozmów o jedzeniu, lecz także jego samodzielnego przygotowywania i delektowania się posiłkami. To „smakowita mieszanka wybuchowa", która jest tworzona ramię w ramię z uczestnikami. Aby szerzej nieść pomoc, moje zajęcia odbywają się również w przystępnej dla dzieci i rodziców formule online.

KOT

Mam kota syberyjskiego – Tobiego. To właśnie on stał się moją inspiracją i został bohaterem książek dla dzieci. A jako że jestem zmarzluchem, to także mój najlepszy grzejniczek na długie, chłodne wieczory.

KSIĄŻKI DLA DZIECI

Te zabawne, rymowane opowieści o kocich perypetiach przypominają mi o Tobim, który nie może być ze mną w podróży. Dzięki nim czuję, jakby był obok mnie. Pomaga mi dotrzeć do każdego uczestnika warsztatów i go rozweselić.

KSIĄŻKA DLA SENIORÓW

Ta książka jest niezastąpionym kompendium wiedzy żywieniowej dla dojrzalszych czytelników.

krak1944@gmail.com

APARAT

Pozwala utrwalić najpiękniejsze chwile podczas każdej podróży.

OWOCE I WARZYWA

Zawsze mam przy sobie szybkie i zdrowe przekąski, po które mogę sięgnąć w podróży.

LAPTOP

Laptop jest moim podstawowym narzędziem pracy. Umożliwia mi nie tylko tworzenie prezentacji, artykułów, przeprowadzanie konsultacji i warsztatów online, lecz także planowanie kolejnych podróży.

ANALIZATOR SKŁADU CIAŁA

Może wygląda jak zwykła waga, lecz potrafi o wiele więcej.

TELEFON

Choć dla wielu osób telefon jest tylko urządzeniem do dzwonienia i odbierania połączeń, dla mnie jest to prawdziwe centrum organizacji i kreatywności. Pozwala mi skutecznie planować swoje codzienne aktywności, docierać w porę we właściwe miejsca, a także utrzymywać kontakt ze światem. To właśnie na telefonie powstawały pierwsze szkice moich książek.

ENTER, MIKROFON

To zaledwie kilka atrybutów towarzyszących nam podczas warsztatów. Enter zapewnia świetną rozrywkę podczas zdrowej rywalizacji w multimedialnej grze o zdrowie, natomiast mikrofon jest niezbędny przy zabawie do autorskiej piosenki „Hej miauuu", promującej nie tylko zdrowe odżywianie, lecz także aktywność fizyczną i czytanie książek.

ZDJĘCIA

Ta galeria kulinarnej wyobraźni jest dla mnie niezwykłą pamiątką po wspólnie przygotowanych potrawach podczas warsztatów online. Nie brakuje w niej zdrowych zamienników słodyczy, słonych przekąsek, a nawet fast foodów. Oglądając ją, wciąż nie kryję zdumienia, jak wiele potrafią najmłodsi.

MEDAL

To duże wyróżnienie za zdobycie nagrody głównej w XXI Konkursie Świat Przyjazny Dziecku, organizowanym przez Komitet Ochrony Praw Dziecka, w kategorii książki dla dzieci w wieku 0–7 lat za serię „Przygody Tobiego".

ZEGAREK

Po wielogodzinnej podróży bieganie pozwala zrelaksować moje ciało i umysł, a zegarek liczy kolejne spalone kalorie, motywując do dalszego działania.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

Fot. Dawid Kolba, Shutterstock

krak1944@gmail.com

OGNIEM NA WPROST

Zemsta z powietrza

Andrzej Rafał Potocki

Po zniszczeniu okrętu desantowego „Nowoczerkawsk" Tryzubom udało się strącić z nieba 6 samolotów Suchoja o skróconej nazwie Su, zwanych „sukami". Jeden z nich został trafiony nad Rosją koło Kurska, czyli zaraz po starcie do ataku na Ukrainę. To, że Kacap dostanie furii, było więcej niż pewne. Najpierw, tuż po Wigilii, wypuścili na Ukrainę pierwszą falę irańskich dronów. Poszła więc salwa 46 Szahidów. Obrona przeciwlotnicza (OPL) zniszczyła 32. Główne uderzenie zostało przeprowadzone w przedsylwestrowy piątek. Najpierw runęły szahidy w dwóch rzutach (ponoć łącznie 100). O godz. 3.00 wystartowały bombowce strategiczne Tu-95 (aż 18 z posiadanych 50) i wystrzeliły z pokładów 122 (według gen. Załużnego 158) rakiety, w tym 90 manewrujących Ch-101/555/55 (OPL zniszczyła 87). Reszta to 8 Ch-22 (ich prędkość teoretycznie może dojść do sześciokrotności prędkości dźwięku), 5 również prawie hipersonicznych Ch-47M2 kindżałów (100 proc. zestrzelonych), 14 balistycznych S-300, S-400 i iskanderów M, 4 kierowane rakiety Ch-31P oraz jeden Ch-59. Te ostatnie, wystrzelone z Su-34, przeznaczone do niszczenia systemów radarowych i kierujące się na źródło sygnału radarowego, miały na celu wymuszenie na Ukraińcach wyłączenie stacji radiolokacyjnych, co ułatwiło przebicie się pozostałym. Ofiar śmiertelnych było ok. 10, zaś rannych kilkudziesięciu. Kilka osób uznano za zaginione. Zdaniem kanału Ukraine Battle Map, do ataku zużyto prawie jedną trzecią zapasów rakiet Ch-101. Równowartość dwumiesięcznej produkcji. To był jeden z największych, o ile nie największy, atak powietrzny w tej wojnie. Ukraina nie była w stanie zatrzymać takiego natarcia. I przypuszczam, że mało który kraj byłby w stanie. Tyle że Moskwa nie jest w stanie wykonać większej liczby podobnych ataków – jeszcze tylko dwa i przerwa na dwa miesiące.

W odwecie Ukraińcy zaatakowali rakietami leżący na terenie Federacji Moskiewskiej Biełgorod. Według danych Kremla miało zginąć 17 cywili. Na forum ONZ zaraz podnieśli wrzask, że Tryzuby atakują cele cywilne, a „to miała być wojna cywilizowanej Ukrainy z dzikimi Moskalami". Według tej logiki i innych wspierających Moskwę pożytecznych idiotów „Ukraina ma się dać zarżnąć cywilizowanie". Zareagował ambasador Japonii przy ONZ Kazuyuki Yamazaki, który odpowiedział przedstawicielowi Kacapii: „Nie powinniśmy tracić z oczu powodu, dla którego, do cholery, spotykamy się tutaj dzisiaj. Do tej sytuacji w ogóle by nie doszło, gdyby Rosja nie rozpoczęła nielegalnej agresji na Ukrainę". Nic dodać, nic ująć – właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Jedyną korzyścią z tego bestialskiego ataku rakietowego na Ukrainę jest trafienie dronem i spalenie muzeum Romana Szuchewycza we Lwowie. Szuchewycz (ksywa Taras Czuprynka) był w czasie II wojny światowej przewodniczącym referatu bojowego Krajowej Egzekutywy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, szefem Krajowej Egzekutywy OUN-B na Generalne Gubernatorstwo, zastępcą dowódcy batalionu „Nachtigall", kapitanem 201. batalionu Schutzmannschaft, generałem oraz naczelnym dowódcą Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Jako główny dowódca UPA ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za zaakceptowanie rzezi wołyńskiej jako taktyki przeciwko Polakom i przeprowadzenie ludobójczej czystki etnicznej na polskiej ludności cywilnej, w wyniku której ofiarą padło ok. 100 tys. osób, z czego na Wołyniu zginęło 40–60 tys., w województwach lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim 20–40 tys., zaś na ziemiach współczesnej Polski 6–8 tys. Polaków. I tak doszczętnie spłonęło muzeum tego zbrodniarza wojennego oraz ludobójcy wraz z pamiątkami po nim. Mam nadzieję, że nie zostanie odbudowane.

Według nieoficjalnych informacji, pierwsze samoloty F-16 są już na Ukrainie. Mają stacjonować w rejonie Odessy. I właśnie z tą informacją wiążą się plotki z obu stron frontu. Nawet jeśli „efki" faktycznie są na Ukrainie, to operują z bardzo ukrytych lotnisk (informację o bazowaniu koło Odessy należy traktować jako zasłonę dymną), w dodatku pod silną ochroną amerykańskich systemów przeciwlotniczych i walki radioelektronicznej (czemu systemy Patriot nagle pojawiły się pod Krynkami w okolicach Chersonia?). Atak bombowy na rosyjskie magazyny koło Nowej Kachowki miał wykonać właśnie F-16 i dlatego, wbrew dotychczasowej praktyce i procedurom, Rosjanie wysłali do walki cały klucz samolotów Su-34 bez osłony z ziemi. Ktoś liczył na upolowanie grubego zwierza, nie wiedząc o tym, że właśnie wchodzi w pułapkę. „Efka" miała być asekurowana z ziemi przez baterie Patriotów, które zdjęły z nieba intruzów. Są to informacje nieoficjalne, ale jedno z tego jest pewne: trzy ruskie „suki" zaliczyły glebę.

Współpraca „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

krak1944@gmail.com

Klarowne demokratyczne zasady państwa prawa

Marta Kaczyńska-Zielińska

Konstytucja RP określa państwo jako dobro wspólne wszystkich obywateli, którzy sprawują władzę zwierzchnią poprzez swoich przedstawicieli i bezpośrednio, głosując w referendum. Art. 2 stanowi, iż Rzeczpospolita jest demokratycznym państwem prawa urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej. We wspomnianym przepisie są zawarte trzy zasady: zasada państwa demokratycznego, zasada państwa prawnego i zasada sprawiedliwości społecznej.

Zasada demokratycznego państwa prawnego została wprowadzona do polskiego porządku prawnego w 1989 r. na mocy noweli obowiązującej jeszcze wówczas konstytucji PRL. Wywalczył ją wielomilionowy ruch społeczny skupiony wokół NSZZ „Solidarność" jako podstawową gwarancję odzyskanej wolności.

Zasada wyrażona w art. 2 ustawy zasadniczej wyznacza sposób działania organów państwa, a także cel, którym jest funkcjonowanie państwa wedle demokratycznych, legalnych i sprawiedliwych zasad. Adresatami zasady demokratycznego państwa prawa urzeczywistniającego zasadę sprawiedliwości społecznej są Sejm i Senat, organy władzy wykonawczej i sądy. Zasada demokratycznego państwa prawa, stanowiąc dyrektywę stanowienia i stosowania prawa, ustala ramy i procedury, wedle których powinno działać państwo, chroniąc obywateli przed arbitralnością organów władzy publicznej.

Zasada demokratyzmu, która ściśle łączy się z realizacją zasady państwa prawa, oznacza wymóg oparcia na regułach demokracji całego procesu tworzenia, interpretowania i stosowania prawa. Prawo może być stanowione wyłącznie przez organy legitymujące się demokratycznym mandatem i na podstawie zgodnych z konstytucją reguł postępowania – tylko w ten sposób jest respektowana zasada zwierzchnictwa narodu. W państwie prawa rządzący postępują według obowiązujących przepisów prawa.

Ustanowiona w art. 7 Konstytucji RP zasada legalizmu wynika z zasady demokratycznego państwa prawa i jest zarazem jego filarem. W orzecznictwie TK jednoznacznie stwierdzono, że dopuszczenie do łamania prawa przez organy władzy publicznej podważa ideę prawa jako systemu wiążących norm postępowania. Obowiązkiem każdego organu władzy publicznej jest działanie na podstawie i w granicach prawa, zaś obowiązkiem prawodawcy jest określenie zarówno podstaw, jak i granic działania organów władzy. Przepis art. 7 konstytucji nakazuje ścisłą wykładnię przepisów kompetencyjnych, co oznacza, że wszystkie bez wyjątku organy władzy publicznej są obowiązane działać wyłącznie w określonym przez przepisy prawa obszarze, a to, co nie jest im wprost dozwolone, należy uznawać za zakazane. Domniemywanie kompetencji organów władzy publicznej jest niedopuszczalne.

Z konstytucyjnej zasady legalizmu wynika także brak możliwości swobodnego przekazywania wykonywania kompetencji własnych przez jeden organ władzy publicznej innemu. Dopuszczalne jest to jedynie na podstawie wyraźnej podstawy prawnej i w jej granicach.

W Polsce obowiązuje zamknięty system źródeł prawa. Gwarancją spójności systemu prawa jest zamknięty katalog źródeł prawa oraz tak często w ostatnich latach przywoływana zasada nadrzędności konstytucji, zasada hierarchii źródeł prawa, nadrzędności ustawy i wykonawczego charakteru aktów podustawowych.

Reasumując, organy demokratycznego państwa prawa muszą przestrzegać porządku prawnego, którego zasady zostały ustanowione w Konstytucji RP, w ściśle precyzujących zasady ustawy zasadniczej ustawach, aktach wykonawczych do ustaw oraz ratyfikowanych przez RP umowach międzynarodowych.

Uchwały Sejmu nie stanowią źródeł powszechnie obowiązującego prawa, podobnie jak uchwały innych podmiotów. Organy państwa nie mogą działać w oparciu o normy wywiedzione z innych podstaw niż obowiązujące w Polsce źródła prawa. Stosowanie przepisów rangi ustawowej rządzi się zaś regułami kolizyjnymi, o których uczą się studenci pierwszego roku prawa. W myśl zasady *lex specialis derogat legi generali* przepisy prawa o większym stopniu szczegółowości mają pierwszeństwo stosowania przed przepisami o bardziej ogólnym charakterze.

Wspomniana zasada ma zastosowanie m.in. do mediów publicznych, realizujących swą misję na innych zasadach niż media komercyjne, których zasady funkcjonowania reguluje w pierwszej kolejności specjalna ustawa, a nie wyłącznie przepisy zawarte w Kodeksie spółek handlowych.

krak1944@gmail.com

Noworocznie

Lech Makowiecki

Bieżące artykuły wiarygodnych publicystów i ekspertów, pisane w oparciu o profesjonalną analizę dostępnych informacji z kraju i ze świata, są pełne rzetelnych prognoz dotyczących zagrożeń, czyhających na nas w nieodległej przyszłości. Globalne przetasowania sił i grup interesów, toczące się wojny (konwencjonalne, hybrydowe), nabrzmiewające konflikty mogące przelać się przez nasze granice – cała ta bezcenna wiedza codziennie jest podawana na tacy: w mediach, internecie, prasie.

I co? I nic! Znakomita większość Polaków nie interesuje się niestabilnością Europy, nie widzi kruchości naszego sojuszu z USA, nie dostrzega nadciągającego armagedonu zmian (migracje, ekologizm, sanitaryzm, genderyzm, neozamordyzm itp.), bo nie interesuje się polityką. Ale prawdziwa polityka dopadnie ich prędzej, niż mogłoby się wydawać! Ludzie żyjący w swych bańkach informacyjnych są formatowani przez drukowane do podświadomości klisze.

W ferworze dyskusji wielokrotnie słyszę od interlokutora ten sam kuriozalny argument: „Nie wiem, nie znam się, nie czytam, nie interesuje mnie to, ale... nie masz racji". To obraza nie tylko inteligencji, lecz także zdrowego rozsądku. Młodzież, która przesądziła o wyniku ostatnich wyborów, patrzy na rzeczywistość z perspektywy knajpek przy pl. Zbawiciela w Warszawie. A tam nikt nie bierze na poważnie możliwości zaatakowania Polski przez Rosję przy pełnej bierności krajów UE. Gdyby jednak się to wydarzyło, jedyną reakcją tzw. lemingów będzie ucieczka na Zachód, by z bezpiecznej odległości kontestować walkę o przetrwanie tych, którzy uciekać nie chcieli bądź nie mogli. Będą oglądać w Deutsche Welle płonącą Warszawę, tak jak my śledzimy dziś relacje z Ukrainy czy Gazy.

PS Pogrążająca się w kryzysie Europa rezygnuje z samarytańskich gestów. Wszędzie obcy, zewsząd przepędzani, będziemy zmuszeni podejmować najgorsze prace za najniższą płacę. I dopiero wtedy zatęsknimy za utraconym rajem – ojczyzną.

Jedyna w Polsce

Z aktorką Marią Świłpą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Ma pani nietypowe nazwisko.

Maria Świłpa: Litewskie (oznacza świszczenie, gwizdanie) jedyne w Polsce. Jeżeli ktoś je nosi, znaczy, że to rodzina. Jak mój starszy brat, student drugiego roku łódzkiej filmówki. Trzykrotnie byliśmy w tych samych szkołach, ale teraz po raz pierwszy jestem wyżej od niego [uśmiech].

Telewidzowie kojarzą panią z serialem „Barwy szczęścia". Jak pani do niego trafiła?

Byłam na trzecim roku, kiedy dostałam rolę dziennikarki, która zaczyna staż w redakcji „Szoku". Weronika to postać kolorowa. Odważna. Wierzy w słuszność swoich działań. Podobnie jak Anna z serialu „Zatoka szpiegów" (premiera w styczniu 2024 r.).

Akcja „Zatoki" rozgrywa się w Gdańsku i Gdyni latem 1940 r. To wyraziste tło.

Fot. TVP

I jakie wspaniałe kostiumy. Miałam to szczęście, że byłam ubierana zarówno w piękne suknie i kapelusze, jak i w stroje bojowe. W tych drugich czułam się lepiej.

Anna wchodzi w niebezpieczne relacje.

Nie wiadomo, na ile jej intencje są szczere, bo przecież jest szpiegiem (po polskiej stronie). Musi cały czas grać. Nie jest to łatwe, zwłaszcza wobec Franza (Bartosz Gelner). Neumann to oficer Abwehry, lecz Anna ma do niego sentyment. Znają się od dziecka, byli sąsiadami, tymczasem ona musi wykorzystać dawną zażyłość, by wciągnąć go w szpiegowską grę.

Czy miasta, w których powstawały zdjęcia, są pani bliskie?

Pochodzę ze Szczecina, ale uwielbiam też Trójmiasto i Warszawę, w której teraz mieszkam. Gdyby nie stolica, na życie wybrałabym Gdańsk.

krak1944@gmail.com

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR x4, A.SKWARCZYŃSKI, AJSTUDIO PHOTOGRAPHY/SHUTTERSTOCK

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

2 Zamów i opłać:

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty SIECI na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: ..... (tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: ..... (tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

To był szok.

Ale nie damy się zastraszyć

W biznesie coś takiego nazwano by wrogim przejęciem, ale w tym przypadku to by było za słabe stwierdzenie. To są po prostu bandyckie metody

Z Michałem Adamczykiem, prezesem Telewizji Polskiej SA, rozmawiają Michał Karnowski i Marcin Wikło

Kiedy pierwszy raz przyszło panu do głowy, że przejmowanie Telewizji Polskiej może mieć siłowy i tak dramatyczny przebieg? Że „silni faceci" Tuska po prostu wtargną do gabinetu prezesa i ukradną antenę?

Michał Adamczyk: Rozmawialiśmy oczywiście z Samuelem Pereirą i Marcinem Tulickim, moimi zastępcami w Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, o tym, jak będzie przebiegało przejmowanie TVP, bo było jasne, że Donaldowi Tuskowi bardzo na tym zależy. I wariant siłowy, wkroczenia przemocą, z podeptaniem wszelkich reguł, był ostatnim, który braliśmy pod uwagę. Nie sądziliśmy, że pójdą aż tak po bandzie. Sądziliśmy, że może będą majstrować przy ustawie o Radzie Mediów Narodowych, że może będą próbować wprowadzić likwidatora, ale oczywiście przy zachowaniu istniejącego w TVP *status quo*. A jednak poważyli się na wyłączenie sygnału TVP Info i wielu anten regionalnych. Ukradli widzom „Wiadomości" i inne programy, zrobili czystkę w ar-

krak1944@gmail.com

Fot. Fratria

chiwach. Przyznaję, że to nas zaskoczyło. Przyzwoity umysł po prostu nie dopuszcza takiego bezprawia.

20 grudnia 2023 r., godz. 11.18 – to moment wyłączenia sygnału Telewizji Polskiej. Jak go pan zapamięta?

To była dobrze skoordynowana i zaplanowana akcja, i jak się okazało, niestety skuteczna. Przełączono sygnał, TVP Info przestało nadawać, wyłączono w tym momencie przepustki pracownikom. To był szok. Ochrona od swoich przełożonych dostała jednoznaczne polecenie, by nie wpuszczać nikogo, komu nie działają karty wstępu. Były osoby, które wówczas na chwilę wyszły do sklepu i już nie mogły wrócić. Jedna z koleżanek wyszła na spotkanie do pobliskiej kawiarni i już jej nie wpuszczono po torebkę z kluczami do domu. Przejęto też system poczty elektronicznej, w jednym momencie pracownicy dostali e-maile, że są zwolnieni z obowiązku świadczenia pracy. Według prawa pracy takie działanie jest nielegalne. W tej sytuacji prawo jest zresztą łamane notorycznie i na wielu płaszczyznach. Liczę, że w przyszłości przeciwko tym uzurpatorom zostanie wniesiony pozew zbiorowy przez tych, którym zabrano możliwość wykonywania obowiązków zawodowych.

W tym newralgicznym momencie piastował pan funkcję szefa TAI. Co postanowił pan zrobić?

Gdy dowiedziałem się, co się dzieje, byłem poza budynkiem. Najpierw pomyślałem, że to jakieś chwilowe problemy techniczne, kłopot z sygnałem, no bo przecież nie siłowe przejęcie. Ale coś mnie tknęło i od razu wróciłem do siedziby TAI na pl. Powstańców Warszawy. Było dużo telefonów, pytań, co się dzieje. Mówiłem, że muszę się zorientować w sytuacji. Szybko wyszło na jaw, że operacja poszła tak sprawnie, bo stoją za tym także służby specjalne.

Nie byłoby to też możliwe bez współpracy z wewnątrz firmy. Wie pan, kto im pomógł?

Tak. Najważniejsze osoby związane z emisją, z techniką, z bezpieczeństwem zostały zwerbowane wcześniej i to przy ich udziale przygotowywano tę operację. A oni przecież pracowali razem z nami. Szczególnie gorzko myślę o jednym z głównych realizatorów, nie chcę wymieniać tutaj nazwiska, ale przecież on dobrze wie, co zrobił. Zdradził też jeden z dyrektorów TAI. Było nas zaledwie czterech, więc wydawało się, że to grono zaufane. Wydawało się. Wiem też, że jest dziewczyna z redakcji „Wiadomości", która miała tylko jedno zadanie: słuchać tego, o czym się mówi w newsroomie. Przeszła na drugą stronę i teraz zdaje raporty, jakie są powiązania między nami i czy ktokolwiek ze starej ekipy „Wiadomości" nadaje się do pracy w nowej konfiguracji. Trzeba ją wprost nazwać kretem. I z zażenowaniem muszę stwierdzić, że taka osoba znalazła się w prawie każdej jednostce, choć na pl. Powstańców było ich mniej niż na Woronicza.

Czy TVP mogła być lepiej zabezpieczona przed takim scenariuszem? A może na coś takiego nie dało się przygotować?

Po czasie muszę z przykrością stwierdzić, że Telewizję Polską można było lepiej przygotować na każdy z możliwych wariantów ataku. Może trzeba było zmienić procedury, na pewno wzmocnić ochronę i być może wymienić ludzi odpowiedzialnych za nadawanie sygnału, jeśli nie mieliśmy do nich 100-proc. zaufania. Szczególnie należało chronić tak newralgiczne miejsce jak emisja. Tymczasem oni weszli tam jak w masło i od razu zadbali, by odbicie tego miejsca z ich rąk nie było tak łatwe. Wezwali policję do budynku, w którym mieści się ośrodek technologii, ustawili patrole prywatnej ochrony.

Policja autoryzuje to bezprawie?

Słyszymy, że „policja nie ingeruje w wewnętrzny spór", pilnuje tylko, by nie dochodziło do jakichś drastycznych scen. Czyli *de facto* ochrania ten nielegalny układ, który bezprawnie przejął antenę.

Telewizja Polska to instytucja, w której przez lata było bardzo wielu szefów, jest więc w niej mocno zaburzone poczucie lojalności. Ale są zapewne osoby, do których ma pan osobisty żal?

Mniejszy żal mam na pewno do ekipy technicznej, operatorów czy montażystów, którzy pracowali z nami, a teraz poszli do nowej drużyny. Ale były osoby, które sprawiały wrażenie, że wszystko jest OK, a dzisiaj już wiem, że przygotowywały tę operację od wielu tygodni. Spotkałem jedną

krak1944@gmail.com

z nich na korytarzu w TAI. Wynosiła jakiś kartonik. Pytam, czy się wyprowadza. Nie, takie świąteczne porządki! Z uśmiechem na ustach pytanie, co u mnie. A teraz jest z uzurpatorami. Tak to wygląda.

Czy miał pan wówczas, tj. 20 grudnia, moment zawahania? Jakąś myśl, że może trzeba odpuścić?

Było dla mnie jasne, że jako kapitan muszę zejść z tego statku ostatni. Że muszę dać przykład i wsparcie ludziom. Z każdym dniem ich ubywa, ale to nie znaczy, że i my mamy stąd odejść. Naprawdę trudno odnaleźć się w prawie opustoszałym gmachu Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. To był budynek, który tętnił życiem. Tutaj na co dzień pracowało 1 tys. osób. A teraz... przeraźliwie pusto. Wchodzisz do newsroomu „Wiadomości" i cisza aż dzwoni w uszach. Wcześniej nigdy tak nie było.

Gdyby w sądzie zapadło korzystne dla was rozstrzygnięcie, czy jesteście gotowi, by podjąć pracę?

Reporterzy są gotowi do natychmiastowego powrotu, ale przewiduję problem ze wznowieniem nadawania sygnału prawowitego TVP Info. Dlatego, że jesteśmy świadkami wywożenia sprzętu z Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Nie sądzę, by robiono to dlatego, że na Woronicza czegoś brakuje. Być może dzieje się tak właśnie po to, by powrót do poprzedniego stanu z dnia na dzień nie był możliwy.

Kto na tym zyskał?

Telewizja TVN24 bardzo walczyła o to, by Donald Tusk powrócił do władzy. Przed wyborami stacja wyszła z płatnej emisji i stała się kanałem otwartym. Nie zrobili tego charytatywnie. Być może to dług, który jest teraz spłacany.

Jak wygląda codzienne życie w siedzibie TAI, w której trwacie? Pan tu praktycznie zamieszkał?

Tak. To jest spowodowane głównie względami praktycznymi, mieszkam dosyć daleko od Centrum, więc gdyby cokolwiek się wydarzyło, potrzebowałbym sporo czasu, by dotrzeć na pl. Powstańców Warszawy. Od 20 grudnia w zasadzie ciągle jestem tutaj. Mam grono osób, które mi pomagają, bliscy dostarczają mi świeże ubrania i potrzebne do normalnego funkcjonowania rzeczy osobiste. Dyżury w systemie rotacyjnym mają parlamentarzyści. Pojawiają się znajomi, dziennikarze innych mediów, których interesuje nasz los. Można porozmawiać, przeanalizować moment, w którym jesteśmy. Szczególnie to sobie cenię, bo to jest czas, który może zaowocować jakimiś nowymi koncepcjami, pomysłami. Kluczowe będzie wyciągnięcie wniosków z błędów, które zostały popełnione, i znalezienie pomysłu na to, jak zagospodarować tych fantastycznych ludzi, tworzących „Wiadomości" i TVP Info.

> Najważniejsze osoby związane z emisją, z techniką, z bezpieczeństwem zostały zwerbowane wcześniej i to przy ich udziale przygotowywano tę operację. Zdradził też jeden z dyrektorów TAI

Macie stały kontakt?

Ekipa „Wiadomości" jest bardzo zgrana. Kontaktujemy się codziennie. Np. Krzysztof Nowina-Konopka, bardzo dzielny reporter, przychodzi na protesty pod gmach TAI z całą rodziną, zagrzewa nas do walki, pyta, czy czegoś nam nie potrzeba, jest gotów do natychmiastowej, wszelkiej pomocy.

Trudne jest takie życie w zamknięciu, w oblężonej twierdzy?

Budynek TAI jest bardzo szczegółowo monitorowany, na każdym piętrze jest bardzo dużo kamer przemysłowych, co zrozumiałe, bo mówimy o infrastrukturze krytycznej. W głównej siedzibie przy Woronicza można w każdej chwili zobaczyć, co się tutaj u nas dzieje. Mamy świadomość, że jesteśmy w ten sposób śledzeni. Gdy przychodzą czasem osoby, które chcą wyrazić poparcie dla mnie, staram się je ostrzec, że wszelkie zbyt wylewne gesty wobec mnie mogą zostać zarejestrowane przez monitoring i użyte przez uzurpatorów przeciwko nim. To jest jak z Orwella, ale dzieje się naprawdę. W ten sposób władza realizuje tutaj, w siedzibie Telewizji Polskiej, swój program „vendetta plus".

Czuje się pan fizycznie zagrożony?

Cały czas liczę się z tym, że ktoś przyjdzie, by mnie stąd wyprowadzić, ale nie spodziewam się scen, które znamy z 2014 r. z redakcji tygodnika „Wprost", do którego wkroczył prokurator w asyście funkcjonariuszy ABW. Donald Tusk i jego ekipa mimo wszystko boi się, by takie sceny nie poszły w świat. Nie wiem, czy chciałby powtórki z tego, co wydarzyło się na 10. piętrze gmachu przy Woronicza. Przepychanki z udziałem szefa ochrony TVP, który zdradził prawowite władze, atakowanie posłanki Joanny Borowiak, czyli siłowe przejęcie gabinetu prezesa.

Dlaczego nie weszli w ten sposób do siedziby TAI, w której rozmawiamy, w której dyżurują posłowie i społeczni obserwatorzy?

Myślę, że do nas nie weszli, bo dotarło do nich, że w swoich redakcjach przebywamy zgodnie z prawem i nie ustąpimy bezprawiu. Gdyby prawo było po ich stronie, to byliby tutaj już 20 grudnia. A nie przyszli. Poza tym ich plan jest jasny: chcą całkowicie wygasić pracę na pl. Powstańców.

Patrząc szerzej, ma pan poczucie, że wokół było i jest więcej zdrady czy lojalności?

Dobre pytanie [dłuższe milczenie]. Poza środowiskiem reporterów więcej zdrady. W naszym dziennikarskim gronie naprawdę dużo jest

krak1944@gmail.com

lojalności, którą wciąż czuję. Wierzymy, że będziemy mogli jeszcze kiedyś opowiadać widzom o tym, co się dzieje w Polsce i na świecie bez cenzury politycznej, jak teraz w TVN czy w tym nowym programie, który jest emitowany w czasie ukradzionym „Wiadomościom".

Jak ocenia pan program „19.30"? O co w nim chodzi?

Chodzi o marną kopię „Faktów". Tematycznie program zbliżony do TVN, ale gorszy, nie tylko technicznie. Wygląda to jak dziennik z początków telewizji kablowej. Sam jestem zdumiony, że to jest tak słabe, przecież na Woronicza są nieograniczone możliwości do zrealizowania takiej produkcji. Ale może tak właśnie ma być? Telewizja publiczna w Polsce ma być zmarginalizowana, jak w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie publiczni nadawcy oddali prawie całe pole spółkom prywatnym. Jeśli pójdziemy tym tropem, to jasno widać, kto na tym puczu zyska politycznie, a kto nakarmi się finansowo.

Naprawdę mieliście poczucie wolności podczas realizowania programu? Przekaz jest taki, że decyzje zapadały w siedzibie PiS przy Nowogrodzkiej, a wy byliście tylko wykonawcami. Jaka jest prawda?

To jest wierutna bzdura, układ i treść programu to była nasza, zespołu, suwerenna decyzja. Spotykaliśmy się codziennie podczas porannych kolegiów, rozmawialiśmy o tym, co ważnego się dzieje, co warto przypomnieć i na tej podstawie powstawały „Wiadomości". Żaden polityk do nas nie dzwonił, żadne instrukcje nie przychodziły.

Telewizja Polska to oczywiście nie tylko Warszawa, lecz także wiele ośrodków regionalnych. Jak tam wyglądała pacyfikacja zlecona przez neowładzę?

W jednym z ośrodków byliśmy naprawdę blisko tragedii. Jedna z prezenterek pogody została wyprowadzona z budynku tylko dlatego, że jest siostrą jednej z prezenterek pracujących w Warszawie, która nie jest lubiana przez obecną ekipę rządową. Usłyszała, że ma się wstydzić swojego nazwiska, na zewnątrz budynku doznała udaru. Na szczęście jej życiu już nic nie zagraża.

Odbijają piłeczkę, mówiąc, że takiego samego czyszczenia kadr, tylko w drugą stronę, dokonywano w 2015 r.

Naprawdę wypraszam sobie jakiekolwiek porównania do tych ludzi. Robiliśmy tak samo, serio? Dziewczyna, o której mówiłem, dostała za swoją siostrę, a tymczasem przez ostatnie lata w ośrodku w Katowicach pracowała spokojnie jako reporterka córka Marka Czyża, który dzisiaj firmuje kradzież „Wiadomości", a przez lata był wobec nas skrajnie krytyczny. Nikomu nie przyszło do głowy, by mieć o to pretensje do pani Zuzanny Czyż.

> Było dla mnie jasne, że jako kapitan muszę dać przykład i wsparcie ludziom. Szybko wyszło na jaw, że operacja poszła tak sprawnie, bo stoją za tym także służby specjalne

Pod siedzibę TAI codziennie wieczorem, nawet w święta Bożego Narodzenia przychodzą widzowie, którzy was wspierają. Jak to odbieracie?

Ludzie widzą, że zabrano im telewizję, którą oglądali i lubili. Pytają, kto teraz będzie informował o tym, że coś złego jest szykowane przeciwko Polsce. Bo przecież inni będą milczeć. Skąd mają się dowiedzieć o niekorzystnych dla Polski decyzjach, które będą zapadać gdzieś za granicą? Albo o decyzjach zapadających w kraju, które będą tuszowane, jeśli mogą obciążać rząd Tuska? Martwią się o Polskę.

Dlaczego zdecydował się pan przyjąć funkcję prezesa TVP w tak trudnym momencie?

O wyborze zarządu Telewizji Polskiej decyduje wyłącznie Rada Mediów Narodowych i to właśnie ten organ powierzył tę zaszczytną funkcję mnie. Zmiana była konieczna, bo trzeba było zacząć działać. W rozmowie z RMN powiedziałem, że będę się starał przywrócić ład korporacyjny i prawny w spółce, sygnał prawowitej telewizji. Mam wrażenie, że moja nominacja nieco ostudziła zapędy uzurpatorów. Wcześniej przecież wyznaczyli na to stanowisko Tomasza Syguta, ale gdy dowiedzieli się, że RMN nominowała mnie, chyba do nich dotarło, że ich wybór może nie znaleźć odzwierciedlenia w KRS. Postanowili więc się wycofać i pójść inną drogą – likwidacji.

Tak można?

Nie można. To także jest działanie nielegalne. Gdy prześledzi się ustawy i statut spółki, to dochodzi się do wniosku, że nie można tak po prostu zlikwidować telewizji publicznej. Gdyby chcieli w legalny sposób zmienić władze spółki, musieliby albo uzyskać większość w Radzie Mediów Narodowych, albo zmienić ustawę. Z tego, co wiem, żadna ustawa nie jest procedowana ani nawet złożona. Wychodząc więc z jednego bezprawia, uzurpatorzy ministra Sienkiewicza weszli na drugą ścieżkę, równie bezprawną.

Co będzie dalej?

Dla mnie stan faktyczny jest jasny, ale dużo będzie zależało od sądu rejestrowego. Prawnicy wskazują, że jest mało prawdopodobne, by jakikolwiek sędzia referendarz wziął na siebie ryzyko potwierdzenia stanu, który nie ma oparcia w prawie. Nie ma powodu, by wpisać likwidatora, a odmówić wpisania mnie, powołanego na prezesa TVP zgodnie z ustawą przez RMN. Tak działo się przy poprzedniej zmianie władz TVP, dokładnie na takiej samej zasadzie znalazł się w rejestrze Mateusz Matyszkowicz, również nominowany przez radę.

krak1944@gmail.com

Jak długo może trwać ta walka?

Tygodnie, a może nawet miesiące. Ta przepychanka jest na rękę uzurpatorom, bo na dłuższą metę ma sprawić, że ludzie nabiorą wątpliwości i pomyślą, że prawda leży gdzieś pośrodku. Otóż nie! Każdy, kto przeczyta przepisy, musi dojść do wniosku, że prawda leży po stronie decyzji Rady Mediów Narodowych.

Najpierw tę tezę forsowali politycy Tuska, wreszcie premier powiedział to wprost na konferencji prasowej: to wy, blokując gmach TAI, jesteście winni temu, że TVP nie może nadawać. I to wy jesteście winni wielomilionowych strat z powodu przerwania programu i nieemitowania reklam. I że za to odpowiecie. Co pan na to?

Pacyfikacja TVP i wyłączenie sygnału odbyło się na polecenie Bartłomieja Sienkiewicza, to on osobiście powinien za to odpowiedzieć. Dlatego jako prezes TVP zdecydowałem o złożeniu pozwu przeciwko niemu personalnie, w którym domagamy się od niego 45 mln zł za działania, które naraziły publicznego nadawcę na ogromne straty. Są one szacowane na ok. 5 mln zł dziennie, TVP Info nie nadawało przez dziewięć dni.

A osobiste groźby wobec was? Jak je traktujecie?

Próbuje się nas zastraszyć. Nas, czyli mnie, Samuela Pereirę i Marcina Tulickiego. Ale nie robi to na nas wrażenia, nie damy się. Wiemy, że jesteśmy ostatnią przeszkodą, którą chcieliby usunąć, by przejąć całą TVP. Dlatego szukają wszelkich sposobów, by nas nie tylko zastraszyć, lecz także poniżyć w oczach opinii publicznej, przedstawić nieprawdziwe fakty na nasz temat czy przypisać nam jakieś najniższe motywacje, np. zachłanność. Powiem jedno – gdybym chciał wyjść z telewizji z naprawdę dużymi

pieniędzmi, to otrzymałem sygnał, że byłoby to możliwe.

Jak pana kuszono?

Jedna z osób, która wciąż pracuje w TAI, przekazała mi, że ci, którzy przejęli telewizję, są gotowi dogadać się w kwestii rozwiązania umowy. Usłyszałem, że dobrze by było, gdybym porozumiał się z Tomaszem Sygutem odnośnie do warunków odejścia i po prostu stąd odszedł. A drugi komunikat był taki, że jeśli się nie dogadam, to oni są w stanie zaatakować mnie tak, że już się nie podniosę. Ubeckie metody. Rozmów nie podjąłem i chwilę później wypłynął dokument o naszych zarobkach w TVP.

Sporych, choć w dużych telewizjach tak się zawsze zarabiało. W komercyjnych jeszcze więcej.

Przyznaję, że są to duże pieniądze, bo od maja 2023 r. miałem dwa kontrakty, jeden prezenterski na prowadzenie „Wiadomości" i innych programów, a drugi dyrektorski na szefowanie Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Suma obu tych umów daje ok. 60 tys. zł na rękę miesięcznie. Ale wprowadzaniem w błąd jest mówienie, że załatwiliśmy sobie taką kasę i jej teraz bronimy. Wynagrodzenie najważniejszych dziennikarzy TVP czy prezenterów najważniejszego programu informacyjnego Telewizji Polskiej było właśnie takie, a czasem nawet większe, również przed 2015 r.

W dokumencie, który przesłały neowładze TVP na interpelację posła Dariusza Jońskiego, są wyższe kwoty. Z czego to wynika?

To sprawna manipulacja, próba zawyżenia kwot, by były one jak najbardziej szokujące. W moim przypadku dodali jeszcze pieniądze z sześciomiesięcznej odprawy za zerwany kontrakt prezenterski i podatek VAT. A do kwoty, którą miał zarabiać Marcin Tulicki, dodano, nie wyszczególniając tego w dokumencie, honorarium za kilka filmów, które zrobił dla TVP. Gdyby nie robił nic poza wypełnianiem obowiązków wicedyrektora TAI, to te kwoty byłyby znacznie niższe.

Po 1989 r. byliśmy świadkami wielu zmian rządów w kraju i wielu zmian w zarządach Telewizji Polskiej. Ale nikomu do tej pory nie przyszło do głowy, że uchwała Sejmu, decyzja ministra, plus siła policji to może być sposób na kradzież anteny publicznego nadawcy. Dlaczego poważyli się na to ludzie Donalda Tuska?

Nie jest przypadkiem, że ministrem kultury został podpułkownik służb specjalnych. Postawiono przed nim zadanie nielegalnego przejęcia mediów publicznych i on je realizuje. Widać presję, jaką Donald Tusk próbuje wywrzeć na swoim podwładnym. Już na zawsze zostaną z nami obrazki z sali

Fot. Andrzej Wiktor

krak1944@gmail.com

plenarnej, gdy zniecierpliwiony premier jakby popędzał ministra, jakby mówił, że miało być szybko i bez rozgłosu, a zrobiła się afera.

Jak zareagowało środowisko dziennikarskie?

Zastanawia mnie postawa wielu dziennikarzy. Mogą nas nie szanować, mogą nie szanować TVP, która przez osiem lat nadawała inny rytm niż ten, który oni prezentowali. Ale dlaczego nie chcą stanąć w prawdzie? Wczytać się w przepisy i powiedzieć: OK, nie podobała nam się TVP, ale działania pana Sienkiewicza są bezprawne. Udają, że nie widzą i nie wiedzą. A spora część środowiska dziennikarskiego przyjęła pacyfikację TVP z aplauzem, niektórzy dopingują do jeszcze bardziej bezprawnych działań.

Jesteśmy w momencie historycznym?

Podeptane zostały wszelkie reguły prawa, mamy sytuację, którą starsi widzowie i czytelnicy pamiętają z okresu stanu wojennego. Wtedy zdjęto programy, które nie ukazywały się przez jakiś czas, a potem wystartowały w zupełnie nowej odsłonie. Na długo sygnał w ogóle przerwano. Od 42 lat powtarzamy, że w TVP nie było „Teleranka", myślę, że od teraz, opisując realia grudnia 2023 r., zaczniemy mówić: nie było „Wiadomości". Ten moment już przeszedł do historii, właściwa ocena przyjdzie zapewne po jakimś czasie i nie mam wątpliwości, że będzie druzgocąca dla rządu Donalda Tuska. Władza tej większości, nie zapominajmy o Władysławie Kosiniaku-Kamyszu, Szymonie Hołowni, Włodzimierzu Czarzastym i Robercie Biedroniu, nie będzie trwała wiecznie. Przyjdzie moment, gdy winni bezprawia zostaną ukarani.

W korespondencji na grupie „Wejście", skupiającej osoby dokonujące przewrotu w mediach, padło takie zdanie: „Pachnie stanem wojennym, ale lepszy krzyk 50 niż dowód na bezsilność władzy". Sądzą, że nigdy nie stracą władzy?

Liczą zapewne na to, że z czasem ta sprawa przycichnie, coraz rzadziej będzie się do niej wracać. Nie będzie też komu o tym mówić na dużej antenie, jeśli pacyfikacja TVP zostanie domknięta sądowym wpisem. Tusk od nas rozpoczął domykanie systemu medialnego wokół siebie, by wrócić do stanu sprzed 2015 r. Przypomnijmy przesłuchanie Bronisława Komorowskiego w sprawie Wojskowych Służb Informacyjnych. Uznano, że nie należy informować o sytuacji, w której urzędujący prezydent staje przed sądem, choć przecież jest to informacja dnia, tygodnia, a może nawet miesiąca.

> Niszczenie archiwów pokazuje iście bolszewicką zaciekłość. Najpierw zniknęły materiały dokumentujące szkodliwą prorosyjską politykę poprzedniego rządu Donalda Tuska

Tak teraz mają wyglądać media?

Możemy się spodziewać tego, że ważne dla Polek i Polaków informacje, które są niewygodne dla władzy, będą po prostu pomijane. Rząd Tuska zaczął od wiatrakowej wrzutki lobbingowej i TVP zdążyła jeszcze o tym poinformować. Potem nastąpiła pacyfikacja telewizji publicznej i już przyjęty w Brukseli pakt migracyjny przeszedł prawie bez echa. I tak, kawałek po kawałku, nasza wolność będzie odkrawana.

Ambasador USA w Polsce Mark Brzezinski to głośny admirator wolności mediów. Zadzwonił?

Nie! [śmiech] I nie spodziewam się jakiegokolwiek pytania z jego strony.

A może któryś z polityków np. Trzeciej Drogi zainteresował się bezprawiem w TVP?

Z polityków poza parlamentarzystami PiS, którzy tutaj dyżurują, nie odezwał się nikt. Ale z sygnałów, które do mnie docierają, wynika jasno, że posłowie PSL czy Lewicy, mówię o tych szeregowych, nie o liderach, są mocno zniesmaczeni tym, co z nami zrobiono. Używam delikatnego określenia, w rzeczywistości padają o wiele grubsze słowa. Ale publicznie milczą, bo boją się, że nigdzie już ich nie zaproszą.

Z internetu usuwane są programy publicystyczne i filmy. Jaki jest cel tych działań?

To iście bolszewicka zaciekłość. Najpierw zniknęły materiały dokumentujące szkodliwą prorosyjską politykę poprzedniego rządu Donalda Tuska. Nie znajdziemy już dokumentów, które wyświetlały konszachty tych polityków z Brukselą czy Berlinem, co prowadziło do utraty przez Polskę suwerenności. Mamy już nie pamiętać o aferach rządu PO-PSL. Zdemolowano TVP World. Nadając z kraju przyfrontowego, w języku angielskim informowaliśmy o tym, co się dzieje na Ukrainie. W wielu miejscach na świecie informacji o wojnie szukano właśnie u nas. I ta nowa, uzurpatorska władza pozbawia teraz widzów tej możliwości. W biznesie coś takiego nazwano by wrogim przejęciem, ale w tym przypadku to by było za słabe stwierdzenie. To są po prostu bandyckie metody.

Jak to się odbije w światowych rankingach wolności prasy?

To rzeczywiście jedne z najbardziej zafałszowanych zestawień. Przez ostatnie osiem lat w Polsce był prawdziwy pluralizm w zasięgu pilota telewizyjnego. Nie podobała się TVP, wybierałeś TVN. I odwrotnie. A jednak w tych zestawieniach spadaliśmy, co w alarmistycznym tonie podnoszono na forach krajowych i europejskich. Teraz, skoro już udało się spacyfikować TVP, można się spodziewać, że powrócimy na szczyt tego rankingu. Przecież to jakiś absurd.

krak1944@gmail.com

Marek Błoński

Tomasz Sygut

Juliusz Kaszyński

Sylwia Gregorczyk-Abram

Spisek przeciwko państwu polskiemu

Grupa „Wejście" to bodaj pierwszy w historii III RP udowodniony na tak wczesnym etapie przypadek grupy, która zawiązała się po to, by przeforsować bezprawie. Skoro poszli na taki rympał w sprawie mediów publicznych, to dlaczego mieliby się zatrzymać w przypadku konstytucyjnych urzędów?

MAREK PYZA

Czy Tusk mógł to przeprowadzić inaczej? Tak, ale oznaczałoby to konieczność odsunięcia przejęcia Telewizji Polskiej, Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej o co najmniej kilka tygodni. Gdyby jego ekipę tworzyli państwowcy i mieli czyste intencje, zrobiliby to za pomocą ustaw. Do przeprowadzenia zmian w mediach wykorzystaliby mechanizmy zapisane w konstytucji. Możliwe nawet, że znaleźliby tu sojusznika w osobie prezydenta, który – jak powszechnie wiadomo – nie był entuzjastą TVP w takim kształcie, w jakim funkcjonowała przez ostatnie lata.

Scenariusz zgodny z prawem był więc na stole. Ale nawet go nie rozważali. Od razu założyli, że w grę wchodzą tylko rozwiązania siłowe. Napisali zamordystyczny plan (zapewne jeszcze przed wyborami), ustawili zaprzyjaźnionych prawników do autoryzowania bezprawia, a następnie zrekrutowali grupę dziennikarzy do jego wykonania.

Czy można nazwać to inaczej niż spiskiem przeciwko państwu polskiemu?

SPISKOWCY

„Pachnie stanem wojennym, ale lepszy krzyk 50 niż dowód na bezsilność

krak1944@gmail.com

władzy". To zdanie z komunikatora WhatsApp przylgnie do spiskowców, ale i do Bartłomieja Sienkiewicza oraz Donalda Tuska. Nie tylko pokazuje ono, że ta ekipa nie cofnie się nawet przed rozwiązaniami rodem z PRL, lecz także jest w stanie zorganizować do pomocy oddział „dziennikarzy" (pisanych w cudzysłowie, bo w przypadku tak ciężkiego naruszenia zasad etyki zawodowej trudno poważnie traktować ich jak ludzi wykonujących ten zawód zaufania publicznego).

Co wiemy o tej grupie? Kto w niej jest? Z publikacji dziennikarza Marcina Dobskiego dowiadujemy się przede wszystkim o osobach, które siłą miały zostać wepchnięte na stanowiska prezesów mediów publicznych. Przyjrzyjmy się im.

Tomasz Sygut – pseudoprezes TVP, który został wyciągnięty przez Sienkiewicza z zarządu Miejskich Zakładów Autobusowych w Warszawie, gdzie przez ostatnie lata zajmował się taborem i rozkładami jazdy stołecznej komunikacji miejskiej, wiernie służąc prezydentowi Rafałowi Trzaskowskiemu. Portal wPolityce.pl jako pierwszy już 16 listopada informował, że to właśnie Sygut ma zostać namiestnikiem Sienkiewicza przy ul. Woronicza.

Sygut wciąż widnieje w KRS jako członek zarządu MZA. Jego nazwisko jako członka władz miejskiej spółki nadal znajduje się na stronach MZA. Kiedy przestał pełnić tę funkcję (jeśli przestał)? I czy w trakcie pracy dla platformerskiego prezydenta Warszawy przygotowywał już „na sucho" wydania nowego, uzurpatorskiego programu dezinformacyjnego w TVP lub rekrutował do pracy w telewizji dziennikarzy, dyrektorów, negocjował z nimi kontrakty itd.?

Zanim Sygut przeszedł do miejskiej spółki (w 2019 r.), był redaktorem naczelnym Nowa TV (to ze studia tej stacji nadawany jest program „19.30"). Wcześniej przez cztery lata pracował w TVP.

Z dziennikarza stał się więc trybikiem w lokalnym układzie władzy politycznej, by jak gdyby nigdy nic nagle wrócić do mediów i dostać w zarząd największą spółkę medialną w Polsce.

Paweł Majcher – pseudoprezes Polskiego Radia. Sienkiewicz zna go być może najlepiej ze wszystkich spiskowców, a prawie na pewno Majcher najlepiej wśród spiskowców zna Sienkiewicza. Wszak w latach 2013–2014 był jego rzecznikiem prasowym i szefem gabinetu politycznego. Nie ma chyba bardziej usłużnej funkcji w otoczeniu polityka.

Wydawało się, że gdy po latach pracy w radiu (a był m.in. prezesem Radia Wrocław i członkiem zarządu Polskiego Radia) przeszedł do świata polityki, już nie wróci do mediów. Ale skoro Bartłomiej Sienkiewicz realizuje medialny zamach stanu tak brudnymi metodami, jak widzimy od tygodnia, to nominacja dla swojego politycznego przybocznego nie jest tu wcale największym grzechem.

Marek Błoński – pseudoprezes Polskiej Agencji Prasowej. Wcześniej przez ponad dwie dekady reporter PAP na Śląsku, a jednocześnie szef związku zawodowego Solidarność w PAP i przewodniczący Rady Pracowniczej w Agencji. Człowiek, który pod koniec pierwszego dnia zamachu na Polską Agencję Prasową był najbardziej zainteresowany tym, by otrzymać w sekretariacie swojego prawowitego szefa voucher na taksówkę.

Jak ujawniliśmy na portalu wPolityce.pl, w noc poprzedzającą Wigilię Błoński osobiście napisał i opublikował w serwisie informacyjnym PAP depeszę, w której pisał o sobie w trzeciej osobie i przekonywał, że agencja ochrony pomagająca w pacyfikacji PAP została wynajęta legalnie.

Juliusz Kaszyński – pseudoczłonek zarządu Polskiego Radia. Wcześniej – właściwie od zawsze – w TVN24. Jak słyszymy od ludzi, którzy pracowali z nim przy Wiertniczej, człowiek w pełni oddany tej stacji. Wytrzymał tam wiele lat bez możliwości występowania na ekranie, a marzył o tym od zawsze.

– Raczej się do tego nie nadawał, bo „nie mieścił się w tefałenowskim kanonie piękna", ale w końcu mu się udało. Skorzystał na tym, że w TVN24 skończyły się rządy Adama Pieczyńskiego i Justyny Pochanke. Ten pierwszy konsekwentnie nie dopuszczał go na wizję. Gdy jednak szefostwo kanału informacyjnego po wielu latach się zmieniło, Kaszyński wszedł do środowiska zarządzających TVN24 i wreszcie zaczął się pojawiać przed kamerą. To dosyć sprawny wydawca, o niezłym głosie, więc rozumiem wydanie mu rozkazu przejęcia Polskiego Radia. Lecz na ile go znam, dam sobie palec obciąć, że jego ambicją jest bycie gwiazdą telewizji, a nie menedżerem w radiu – mówi nam osoba, która długo współpracowała z Kaszyńskim. Czyżby więc były pracownik TVN24 zgodził się wziąć udział w tej brudnej operacji tylko po to, by w przyszłości zasłużyć na „kopa w górę" na ważną funkcję do Telewizji Polskiej?

Mikołaj Kozak – pseudoprzewodniczący Rady Nadzorczej PAP. To on poinformował swoich kompanów na tajnej grupie: „Dzwonili z OKO.press. Powiedziałem im jak jest". Co dokładnie im powiedział? Dowiadujemy się z krótkiej notki na portalu OKO.press opublikowanej niespełna 20 min po powyższej wiadomości: „Nie możemy dostać się do swoich miejsc pracy [...]. Odwołani członkowie kierownictwa PAP wraz z posłami PiS blokują nam dostęp do gabinetów i dokumentów. W tej chwili jest tu m.in. Przemysław Czarnek. Razem z nowym prezesem PAP Markiem Błońskim i naszymi pełnomocnikami nie mamy jak pracować" – skarżył się lewackiemu serwisowi Kozak, uzurpując sobie stanowisko w Radzie Nadzorczej PAP.

Mikołaj Kozak to prawnik, partner w kancelarii Kulpa Kozak. Na stronie firmy czytamy o nim:„ Klientów reprezentuje w sprawach o skomplikowanym, wielowątkowym charakterze. Występuje w sprawach przestępczości zorganizowanej, przestępczości gospodarczej (white collar crimes), przestępczości narkotykowej oraz prania brudnych pieniędzy. Prowadzi również sprawy z zakresu ochrony dóbr osobistych, błędów medycznych i wypadków komunikacyjnych".

Jest też zastępcą Rzecznika Dyscyplinarnego Izby Adwokackiej w Warszawie. Kogo zastępuje? Annę Mikę-Kozak. Prywatnie – swoją żonę.

Sylwia Gregorczyk-Abram – współtwórca stowarzyszenia Wolne Sądy, które w ostatnich latach tak mocno

Fot. Paweł Wodzyński / EastNews, Juliusz Kaszyński / EastNews, archiwum, Shutterstock

krak1944@gmail.com

krzyczało o rzekomym łamaniu praworządności w Polsce. Prawdziwa gwiazda mediów sprzyjających obecnej władzy, kreowana na autorytet w kwestiach prawnych. Jej nazwisko przewijało się podczas spekulacji o nowym ministrze sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska. Ostatecznie został nim Adam Bodnar, dobry znajomy Gregorczyk-Abram.

Oboje widzieli się jeszcze 19 grudnia, dzień przed realizacją zamachu na media. Gregorczyk-Abram napisała wówczas na platformie X (d. Twitter): „Spotkanie ministra sprawiedliwości @Adbodnar i wiceministrów z przedstawicielami środowisk prawniczych i NGO zaangażowanych w obronę praworządności. Nie byliśmy w budynku MS przy Al. Ujazdowskich 8 lat! Czas wspólnie naprawić państwo prawa!".

Następnego dnia zaczęli „naprawiać" – poprzez bezprawie, jakiego wcześniej nie widzieliśmy. Minęło ledwie kilka dni, a panią Gregorczyk-Abram mogliśmy zobaczyć w studiu uzurpatorskiego TVP Info jako eksperta podsumowującego mijający rok.

Patryk. Nie wiemy, kim jest ten mężczyzna, ani nawet jakie jest jego nazwisko. Ale możemy domniemywać, że to nie ostatni członek tajnej grupy, która współpracuje w zamachu na publiczne media.

NIEUDOLNI

Podkreślmy – poznaliśmy ledwie drobny wycinek korespondencji grupy „Wejście". Mamy więc bardzo szczątkowe informacje zarówno jeśli chodzi o jej skład, jak i plany. Jednak nawet te okruchy mówią już bardzo dużo.

Sama nazwa grupy jest znamienna. Pokazuje, że tu nie chodzi o „uzdrowienie" którejkolwiek ze spółek medialnych, lecz przejęcie wszystkich za jednym – nomen omen – zamachem. Na polityczny sygnał wchodzą wszyscy. W tym samym momencie. Według tego samego bezprawnego scenariusza. Mają wejść, okopać się, zrobić czystki i trwać dla dobra partii matki, czyli Platformy Obywatelskiej.

O ich marnej jakości świadczy nie tylko kuriozalna wymiana zdań – okazuje się, że nie znają fundamentalnych pojęć i spierają się np. o to, czy siedziba PAP jest infrastrukturą krytyczną – ale przede wszystkim fakt, że dali się przyłapać. A konkretnie Marek Błoński, który przy wielu świadkach prowadził korespondencję na grupie „Wejście". To jego nieostrożność pozwoliła uzyskać dowód, że cała operacja jest skoordynowana, a przejęcie wszystkich trzech spółek mediów publicznych wykonuje współpracujące towarzystwo. Współpracujące nie dla dobra tych mediów, ani nawet swojego – bo przecież udział w tym bezprawiu jest kompromitujący dla każdego dziennikarza czy prawnika – lecz dobra polityków.

> Sama nazwa grupy – „Wejście" – jest znamienna. Pokazuje, że tu nie chodzi o „uzdrowienie" spółek medialnych, lecz przejęcie wszystkich za jednym, nomen omen, zamachem. Na polityczny sygnał wchodzą wszyscy. W tym samym momencie. Według tego samego bezprawnego scenariusza

Powtórzmy za jednym ze spiskowców: „Pachnie stanem wojennym, ale lepszy krzyk 50 niż dowód na bezsilność władzy".

Można domniemywać, że ich korespondencja jest bardzo bogata. Wzajemnie się wspierają, nakręcają, inspirują. Ustalają, jak krok po kroku pacyfikować media. I co mówić publicznie, by Polacy za bardzo nie protestowali przeciw operacji Tuska i Sienkiewicza.

Powtarzają więc te same kłamstwa, zaserwowane na konferencji prasowej przez Donalda Tuska. Wszystko sprowadza się do haseł, które znalazły się również w tajnej instrukcji dla grupy „Wejście". Ujawniliśmy ją na portalu wPolityce.pl. Kartka, która wypadła z kieszeni Markowi Błońskiemu, to zestaw pseudoprawniczych argumentów, rzekomo uzasadniających medialny pucz. Są zebrane w sześciu punktach. Każdy zawiera kłamstwo.

KOMISJA ŚLEDCZA WS. SPISKU?

Nic dziwnego, że posłowie opozycji zapowiadają powołanie w przyszłości komisji śledczej do zbadania bezprawnej pacyfikacji mediów publicznych. Prokuratura prowadzi już co prawda kilka postępowań ws. nielegalnych działań Bartłomieja Sienkiewicza i jego przybocznych, ale nie można wykluczyć, że później, wraz z kolejnymi przejęciami w państwowych instytucjach, te śledztwa zostaną zamiecione pod dywan.

Na razie żaden z członków tajnej grupy „Wejście" nie zdobył się na odwagę potwierdzenia w niej swojej obecności. Wszyscy nabrali wody w usta i dalej realizują Sienkiewiczowski plan, do złudzenia przypominający praktyki wschodnich reżimów.

Dlatego trzeba domagać się wyjaśnień i stawiać pytania. Ile jeszcze jest takich grup? Czy istnieje grupa „KRS", w której planuje się bezprawne przejęcie Krajowej Rady Sądownictwa? Albo grupa „Trybunał", w której omawia się plany siłowego wejścia do Trybunału Konstytucyjnego? A może na popularnym komunikatorze funkcjonuje grupa „Pałac", na której omawiane są działania wypełniające stricte definicję zamachu stanu i pozbawienie urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej? Czy Tusk spróbuje siłą usunąć Andrzeja Dudę z funkcji głowy państwa? Przecież dla obecnego premiera – jak mówił w kampanii wyborczej – prezydentem w 2020 r. został Rafał Trzaskowski.

Jeszcze kilka tygodni temu brzmiałyby one absurdalnie. Dziś są upiornie adekwatne.

Można powiedzieć, że krzyczący od kilku lat o łamaniu konstytucji wreszcie się doczekali. W Polsce nastał czas bezprawia, rządy nagiej siły. Firmuje je premier, skrywający pod wyreżyserowanym uśmiechem zamordyzm i posługujący się podpułkownikiem służb specjalnych, oddelegowanym na odcinek mediów oraz grupą spiskowców. Jeśli ich plan się powiedzie, demokracja w naszym kraju naprawdę umrze.

krak1944@gmail.com

ORLEN

CZY WIESZ, ŻE...

produkty ORLEN dostępne są w blisko 100 krajach, na 6 kontynentach?

krak1944@gmail.com

Tak wyglądał zamach na media

Relacja z wydarzeń

Telefon przed 4.00 rano przerwał nasz sen w jednym z telewizyjnych gabinetów. „Weszli do PAP" – rzucił nasz informator. Z TVP Info do PAP na hulajnogach jechało się trzy minuty. W środku łyse osiłki torowały drogę nowym władzom, co przypominało sceny z jakiegoś postsowieckiego kraju, gdzie oligarchowie zajmują niezależne instytucje

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

19 grudnia 2023 r. wieczorem sejmowa większość przyjęła uchwałę medialną, w której wezwała „wszystkie organy państwa Rzeczypospolitej Polskiej" do „przywrócenia ładu konstytucyjnego w TVP, Polskim Radiu i Polskiej Agencji Prasowej". Jednym z adresatów uchwały jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Uchwała nie ma mocy prawnej, jest właściwie deklaracją, ale to na nią powoływali się organizatorzy siłowego przejęcia mediów.

Posłowie PiS jeszcze tego samego wieczoru udali się do budynków mediów publicznych, przewidując siłowe zajęcie tych instytucji. Przewidywania okazały się słuszne.

krak1944@gmail.com

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Fratria

SIŁOWE PRZEJĘCIE

20 grudnia o godz. 10.44 Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego kierowane przez Bartłomieja Sienkiewicza opublikowało komunikat o odwołaniu rad nadzorczych i zarządów TVP, Polskiego Radia i PAP. Nie poinformowano, kto ma zasiadać w nowych gremiach. Procedura odbyła się z pominięciem ustawy o krajowej radiofonii i telewizji, była bezprawna. W zwykłych spółkach można wymieniać władze od razu, ale w przypadku mediów publicznych obowiązuje ustawa wymieniająca Krajową Radę Radiofonii i Telewizji oraz Radę Mediów Narodowych jako organy decyzyjne.

O godz. 11.18 kadry działu technicznego TVP bezprawnie wyłączają sygnał TVP Info. Wypowiedź na żywo redaktora Marka Formeli na temat zamachu na media zostaje przerwana, pojawiają się reklamy. Minutę później redaktor TVP Info Adrian Borecki ogłasza w programie Agrounia komunikat o tajemniczym wyłączeniu sygnału, próbuje informować widzów o sytuacji, ale po 33 sek. także ten sygnał zostaje przerwany.

Do budynku przy ul. Woronicza wkraczają oddziały policji, na czele której do gabinetów wchodzą uzurpatorskie władze TVP – neoszef Rady Nadzorczej mecenas Piotr Zemła, neoprezes TVP Tomasz Sygut, neodyrektor TAI Grzegorz Sajór, neoszef „Wiadomości" Paweł Płuska i późniejszy prowadzący nowy serwis informacyjny Marek Czyż. Legalny prezes TVP Mateusz Matyszkowicz siłą zostaje zmuszony do opuszczenia gabinetu. Ochroniarz, który opowiedział się za uzurpatorską władzą, podczas wkraczania do gabinetu poturbował posłankę Joannę Borowiak. Zdjęcia kordonów policji i barierek otaczających gmach przy Woronicza obiegły świat. Widzieli to czytelnicy i widzowie politico.eu, „Financial Times", Bloomberga oraz BBC, o łamaniu prawa pisano nawet w Izraelu.

> 20 grudnia o godz. 11.18 kadry działu technicznego TVP bezprawnie wyłączają sygnał TVP Info

Analogiczna sytuacja w Polskim Radiu zakończyła się opuszczeniem przez dyrektor Agnieszkę Kamińską gabinetu i budynku PR. Do radia wkracza nowa ekipa.

Także do siedziby PAP przy ul. Brackiej wraz z siłami ochrony i policją wchodzi nowa ekipa z neoprezesem Markiem Błońskim na czele. Obecnym tam politykom PiS udaje się zatrzymać wejście do gabinetów poprzez domaganie się podstawy prawnej, na mocy której PAP miałaby zmienić władze.

WE WSPÓŁPRACY Z TVN

Portal Wirtualne Media podał, że pracownicy TVN, którzy przechodzą do mediów publicznych, dostali specjalną formułę zwolnienia z zakazu konkurencji. To kolejny dowód na to, że w stacji z Wiertniczej od dawna wiedzieli o zamachu na media. Jej wozy transmisyjne pojawiają się zawsze wtedy, gdy ma nastąpić akcja policji, ochroniarzy i uzurpatorskich władz, ale nie publikują nagrań z brutalności ochrony – czekają na wpadkę polityków PiS, przemilczają gangsterkę ludzi ministra Sienkiewicza. Z TVN do przejmowanych siłą mediów przechodzą Paweł Płuska, Juliusz Kaszyński, Joanna Dunikowska-Paź, Tomasz Marzec, zaś z Polsatu: Wioleta Wramba, Piotr Jędrzejek, Małgorzata Nowicka-Aftowicz, Bartek Cebeńko, Milena Borkowska, Jarosław Kret.

Wyłączenie sygnału TVP Info sprawia, że spółka traci na samych tylko reklamach ok. 2 mln zł każdego dnia. Widzowie zmieniają kanały, średnia minutowa oglądalność stacji TVN24 rośnie z 320 do 660 tys. Jednostronny przekaz głównego nurtu informuje o wydarzeniach w mediach publicznych jako o „okupacji budynków przez posłów PiS". Skoro kanał informacyjny mediów publicznych został pogrzebany, to rośnie konkurencja – na szczęście oprócz liberałów dobre wyniki odnotowuje TV Republika i telewizja

krak1944@gmail.com

wPolsce.pl. Zresztą sama sytuacja stanowi przesłanie dla widzów – wspierajcie wyżej wymienione kanały!

OBRONA MEDIÓW PUBLICZNYCH

Na pl. Powstańców Warszawy pozostają dyrektorzy TAI: Michał Adamczyk, Samuel Pereira, Marcin Tulicki, ale tracą faktyczną kontrolę nad większością budynku. Sprawy ochrony czy techniki obsługiwane są z gmachu przy Woronicza. 150 pracowników TAI traci nagle dostęp do przejść w budynku, instytucja jest sparaliżowana, niektórym wyłącza się przepustki z minuty na minutę, czasem ktoś wyszedł na papierosa czy po bułki i nie mógł już wrócić. Jedna dziennikarka zostawiła w pokoju klucze do mieszkania i nie mogła ich odzyskać. Wszystko to następowało nagle, bez wyjaśnień, w atmosferze chaosu i niepewności.

Strategia na obronę resztek niezależności była klarowna: w budynku mieli pozostać parlamentarzyści, w ramach interwencji poselskiej pilnując, czy nie dochodzi do łamania prawa – siłowego zajmowania instytucji albo innych nadużyć władzy. Razem z nimi czekali dziennikarze, zwłaszcza prawej strony, którzy uczciwie informowali o nocnych szarpaninach z niby-ochroną. Poselskie immunitety oraz dziennikarskie nagrania wideo i zdjęcia miały odstraszyć uzurpatorów – chyba skutecznie.

Pod siedzibą TVP przy ul. Woronicza zebrała się pierwsza manifestacja w obronie mediów publicznych, ale w większości innych mediów została pominięta, a w internecie – wyśmiana. Duch monoprzekazu z czasów pierwszego Tuska powrócił ze zdwojoną siłą.

W środę, 20 grudnia, po raz pierwszy od początku emisji (czyli od 1986 r.) w TVP nie było „Teleexpressu" oraz (pierwszy raz od 1991 r.) „Panoramy". O godz. 19.30 zamiast „Wiadomości" na ekranie pojawił się nieznany szerszej publiczności Marek Czyż i dziwną opowieścią próbował wyjaśnić, że zamiast „propagandowej zupy" będzie przedstawiał „czystą wodę", a zamiast „obrazu" świata – „fotografię".

Gmach przy pl. Powstańców Warszawy został otoczony kordonem policji, dwa z trzech wejść zostały zamknięte, a ochrona przestała wpuszczać niektórych pracowników. Noc upłynęła w oczekiwaniu na siłowe wejście do następnych budynków.

UZURPATORZY I OBROŃCY

Od 20 grudnia w budynku PAP zaczęli pojawiać się prawnicy przedstawiający się jako członkowie nowych władz. Z 21 grudnia pochodzi najwięcej nagrań prawnych dyskusji pomiędzy mecenasami od Sienkiewicza a politykami PiS, którzy nie dopuszczali ich do pomieszczeń, nie uzyskawszy podstawy prawnej. Prezes PAP Wojciech Surmacz potwierdził, że pozostaje na stanowisku wbrew uzurpatorom.

20 grudnia po raz pierwszy od początku emisji (czyli od 1986 r.) w TVP nie było „Teleexpressu" oraz (pierwszy raz od 1991 r.) „Panoramy". O godz. 19.30 zamiast „Wiadomości" na ekranie pojawił się nieznany szerszej publiczności Marek Czyż

W budynku TAI trwały ustalenia na temat strategii wobec neozarządu. Całodobowo w budynku przebywał dyrektor Adamczyk, w obawie przed niewpuszczeniem go do instytucji, gdyby choć na chwilę ją opuścił. Pereira i Tulicki byli w gmachu rotacyjnie. W pierwszych dniach zamachu na media w tej trójce zapanował swoisty kryzys – niejasny był status prezesury TVP, bo Mateusz Matyszkowicz już jej nie chciał, a panowie nie chcieli działać samowolnie. Chcieli najpierw uzyskać informację, kto będzie legalnym prezesem, skoro nie był nim Tomasz Sygut, powołany właściwie jednoosobowo przez ministra kultury. To na te dni przypada stan zawieszenia – triumwirat Adamczyk–Pereira–Tulicki byli zdeterminowani, by bronić mediów, ale nie podejmowali działań w kierunku odzyskania faktycznej kontroli nad telewizją. Wkrótce miało się to zmienić.

W czwartek, 21 grudnia, o godz. 19.30 ruszył serwis informacyjny nowo mianowanej ekipy w przejętej TVP. Został on przyjęty raczej krytycznie, zwłaszcza po zbagatelizowaniu tematu samego przejęcia TVP oraz jakości technicznej programu. Później ujawniono, że nowe „Wiadomości", które zmieniły nazwę na „19:30", zostały zrealizowane w prywatnym studiu. Kolejny podmiot prywatny okazał się więc beneficjentem zajmowania mediów publicznych.

Tego wieczoru po raz drugi pod budynkiem TAI i PAP pojawiły się manifestacje w obronie mediów publicznych i było już jasne, że stanie się to codziennym zwyczajem na czas ostatecznego wyjaśnienia ich statusu.

TVP Info pozostała bez sygnału i emisji programów.

NOCNY ATAK NA PAP

W nocy, z 21 na 22 grudnia, ok. godz. 3.00 do gmachu PAP przyjechała grupa prawników chcących zająć gabinety Agencji. Towarzyszyło im 11 ochroniarzy. Okazało się jednak, że tylko 5 należało do firmy Art Security, natomiast 6 z nich było – wedle późniejszych doniesień portalu wPolityce.pl – funkcjonariuszami tajnych służb. Do budynku wdarł się neoprezes Marek Błoński i członek neoRady Nadzorczej Bartosz Przeciechowski. Towarzyszyli im anonimowi ochroniarze. To wtedy zadzwonił do nas informator, bo my akurat czuwaliśmy w TAI. To wtedy doszło do kuriozalnej sceny, gdy Bartosz Przeciechowski na czele trzech niezidentyfikowanych osiłków wbiegał po schodach pod osłoną nocy, chcąc zająć swój gabinet. Powstrzymały go zawiłe korytarze PAP (źle skręcił) oraz rejestrowanie zajścia przez Samuela Pereirę i przeze mnie.

Zachowanie liberalnych mediów cechowała skrajna tendencyjność. Tak sensacyjne zajścia jak nocny szturm na gabinety nie został wyemitowany, zaś przybyły na miejsce Polsat już tytuło-

krak1944@gmail.com

wał Marka Błońskiego „prezesem". I oto o godz. 5.00, po dwugodzinnym wdzieraniu się do biura, dziennikarzy stać było tylko na rozmowę... o pracy zdalnej w Agencji. O dziwaczną porę wkroczenia do PAP nikt nie pytał, jakby siłowe przejmowanie instytucji było normalne. Na pytania o charakter zajmowania stanowiska Błoński odwrócił się plecami.

Przed godz. 6.00 neowładze opuściły budynek.

Tego dnia redaktor Magdalena Rigamonti podczas rozmowy w studiu portalu onet.pl stwierdziła, że propozycje pracy w neoTVP składają dziennikarzom politycy. Wywołało to lawinę komentarzy o upolitycznieniu uzurpatorskiej ekipy.

KONIEC BIERNOŚCI W TAI

23 grudnia redaktor Marcin Dobski z salon24.pl ujawnił istnienie „Grupy Wejście" – wspólnej komunikacji i koordynacji prawników oraz urzędników mianowanych do mediów publicznych przez ekipę Tuska. W tym gronie znaleźli się m.in.: Marek Błoński, Paweł Majcher, Juliusz Kaszyński, Sylwia Gregorczyk-Abram. Ta ostatnia jest adwokatem, która od lat była zaangażowana w zwalczanie rządów Zjednoczonej Prawicy. Wyciekł też fragment rozmowy, w którym autorzy zamachu na media nawiązują do stanu wojennego: „PAP to przecież obiekt krytyczny. Wiem, że pachnie stanem wojennym, ale lepszy krzyk 50 niż dowód na bezsilność władzy".

Mateusz Matyszkowicz zrezygnował z funkcji prezesa TVP, co oznaczało, że pełniącym obowiązki prezesa zostaje przewodniczący Rady Nadzorczej Maciej Łopiński (na mocy wcześniejszej uchwały Rady nr 148/X/2023). Sytuacja prawna zaczęła się klarować, więc także w TAI triumwirat dyrektorski zasiadł do przeglądu pracowników, którzy otwarcie lub skrycie pozostali przy prawowitej władzy oraz we współpracy z prawnikiem wystosowano kilkadziesiąt pism do różnych instytucji.

Wieczorem do siedziby PAP przyjechała ekipa ochroniarska, próbując dostać się do środka. Grupa posłów PiS, nie otrzymawszy podstawy prawnej, nie przepuściła ich dalej.

BOŻE NARODZENIE Z TVP

W niedzielę, 24 grudnia, rano w budynku TVP Info pojawili się niezidentyfikowani mężczyźni. Bez identyfikatorów pracowniczych i bez oznakowania firmy ochroniarskiej. Zamknięto jedno z wejść, otwarto drugie, zabroniono parlamentarzystom wchodzić z asystentami, przestano wpuszczać pracowników. To wtedy rozpuściliśmy wici z prośbą o wsparcie – te zmiany wskazywały na przygotowania do czegoś większego. Na miejsce przyjechało silniejsze przedstawicielstwo PiS z Jarosławem Kaczyńskim, Mariuszem Błaszczakiem i Markiem Suskim. Wkrótce regularne zasady wpuszczania do budynku zostały przywrócone.

> Portal Wirtualne Media podał, że pracownicy TVN, którzy przechodzą do mediów publicznych, dostali specjalną formułę zwolnienia z zakazu konkurencji. To kolejny dowód na to, że w stacji z Wiertniczej od dawna wiedzieli o zamachu na media

Wieczorem w siedzibie TAI odbyła się wigilia pilnujących budynku parlamentarzystów, dziennikarzy i pracowników. Media liberalne z wielu wydarzeń – także bezprawnych – w gmachu TVP Info do opisu na czołówkach wybrały opłatek i pasterkę w sali konferencyjnej. Zamach na media był bagatelizowany, do rangi skandalu urosło jedzenie pierogów i modlitwa.

W dzień Bożego Narodzenia w obu spornych budynkach było względnie spokojnie, jednak tego dnia Dobski odkrył poważne nieprawidłowości w akcie notarialnym dotyczącym walnych zgromadzeń TVP, PAP i PR. Akt został sporządzony 19 grudnia, ale powoływał się na uchwałę, która została przegłosowana o godz. 22.13. Z powodu złożoności procedur i późnej pory (kancelaria i jej biurowiec są o tej porze zamknięte) przypuszcza się, że akt notarialny został podpisany przed podjęciem sejmowej uchwały, a więc w samym dokumencie poświadczono nieprawdę. Podpada to pod art. 271 Kodeksu karnego. Władza nie musiała się jednak z tego tłumaczyć, bo nikt z liberalnych dziennikarzy nie naciskał, zaś media konserwatywne nie są wpuszczane na konferencje prasowe, np. Donalda Tuska.

CZEKAJĄC NA KRS

We wtorek, 26 grudnia, zebrała się Rada Mediów Narodowych, która wybrała Michała Adamczyka na prezesa TVP. Tego dnia nowy szef telewizji publicznej wygłosił komunikat w sprawie zaprowadzania porządków w mediach, porozumiano się także z częścią pracowników z ul. Woronicza. Główny gmach TVP jest silnie obstawiony przez policję, wprowadzono dodatkowe kontrole i sprawdzanie gości telewizyjnych wydarzeń, bowiem nowa ekipa czuje się niepewnie i ewidentnie boi się utraty władzy.

Tymczasem z prawnego punktu widzenia sprawa jest prosta – obie ekipy czekają na to, kogo referendarze z KRS wpiszą do rejestru: Syguta czy Adamczyka. Aż dziw, że w tej sprawie urzędnicy zwlekają, przecież chodzi o spółkę o strategicznym znaczeniu, wartą miliardy złotych. Mianowanie Adamczyka przestraszyło nie tylko neowładze TVP, lecz także ministra kultury. To właśnie w odpowiedzi na ten krok Rady Mediów Narodowych Sienkiewicz dzień później postawił TVP, PAP i Polskie Radio w stan likwidacji. Znowu zrobił to bezprawnie, bo jego intencją nie jest likwidacja, lecz przejęcie władzy, ale też te spółki są chronione zapisami w konkretnych ustawach. Ekipa Tuska jednak nie może ich zmienić bez współpracy z prezydentem, woli więc działać siłą, jak w Rosji lat 90. ub.w.

Myślicie może, że zamordyzm nowego premiera cofa nas do czasów jego poprzednich rządów? Wiele wskazuje na to, że nadchodzące czasy będą nową formą autorytaryzmu – liberalną, pełną nienawiści krytej retoryką o uśmiechniętej, szczęśliwej Polsce i oklaskiwanej przez koniunkturalistów z potężnych koncernów medialnych.

krak1944@gmail.com

Jak Tumanowicz

Gdy 20 grudnia 2023 r. o godz. 19.30 wygłosił dwuminutowe oświadczenie w imieniu ekipy tworzącej „neoWiadomości" w TVP1, znów stał się gwiazdą mediów. Tego chciał zawsze. I nie przeszkadza mu firmowanie własnym obliczem bandyckiego przejęcia mediów publicznych przez rząd Donalda Tuska

MARCIN WIKŁO

Jeśli ktoś pracuje w mediach 30 lat, to zna mnóstwo ludzi. I ludzie znają jego. Gdy ktoś jak Marek Czyż stara się konsekwentnie zmierzać na dziennikarski szczyt, to liczy się też z tym (albo wręcz na to liczy!), że będzie się o nim mówić. I mówi się. Czasem dobrze, czasem źle. Ryzyko zawodowe.

– Zastrzegam, nie wiem czy to prawda, ale kiedyś się z tego śmialiśmy. W Wikipedii jest napisane, i Marek zawsze to podkreślał, że urodził się w Cieszynie. To piękne, stare, historyczne miasto [prawa miejskie od 1217 r., 33,5 tys. mieszkańców – przyp. red.]. A ja słyszałem, że tak naprawdę w Goleszowie (wieś w powiecie cieszyńskim). To niby niewielka różnica, 20 min samochodem, ale brzmi trochę gorzej, co nie? – słyszę to od człowieka, który pracował z Czyżem jeszcze w latach 90. Zawsze widział w nim niezwykle ambitnego dziennikarza, jak to się mawiało „aspirującego wyżej". Zawsze.

Ta historia o naprawdę drobnej korekcie w życiorysie, nawet jeśli nieprawdziwa, bardzo pasuje moim rozmówcom do sylwetki człowieka, który tak brawurowo wrócił do zbiorowej świadomości widzów pacyfikowanej właśnie Telewizji Polskiej.

STAN ZAMORDYZMU

Zanim Marek Czyż wygłosi wieczorem swe niesławne oświadczenie, zatrzymajmy się na chwilę w momencie, gdy bezprawnie przejęto sygnał Telewizji Polskiej. 20 grudnia, w środę, dokładnie o godz. 11:18 i 33 sek. nastąpiła podmiana – antenę TVP Info przerwał sygnał TVP1. Właśnie wtedy Marek Formela, redaktor naczelny „Gazety Gdańskiej", komentował działania ministra kultury, który na

krak1944@gmail.com

podstawie uchwały Sejmu postanowił zmienić władze telewizji publicznej.

„Minister Sienkiewicz, który postanowił naganem wprowadzić własny porządek do mediów..." – tyle zdążył powiedzieć dziennikarz. Stacja informacyjna przestała nadawać zarówno w eterze, jak i w aplikacjach, a nawet poprzez stronę internetową. Posypały się porównania do odebrania Polakom telewizji w 1981 r., natychmiast przypomniano postać Marka Tumanowicza, który wieczorne wydanie „Dziennika Telewizyjnego" prowadził wówczas w mundurze Ludowego Wojska Polskiego. 20 grudnia 2023 r. wieczorem na skradzionej antenie wystąpił Marek Czyż.

„Jak państwo z pewnością zauważyli, zaszły pewne zmiany, więc mają państwo prawo oczekiwać wyjaśnień" – rozpoczął prezenter. Potem była mowa o tym, że obywatele płacący na publiczne media powinni dostać od niej informacje, a nie propagandę. „Dlatego proponuję państwu, jak sądzę, uczciwą umowę. Od jutra »Wiadomości« będą państwu prezentowały fotografie świata i dnia. Z wszystkim, co przyniesie. Fotografie, a nie obraz, bo to nie jest to samo. [...] Zamiast propagandowej zupy chcemy państwu zaproponować czystą wodę" – zapewnił Marek Czyż.

Moi rozmówcy, jego dalsi i bliżsi znajomi, nie są zdziwieni tym, że chce brać udział w tym przewrocie. – Wykorzystał moment, znów jest na topie. A że ten moment był akurat taki... niedobry? Cóż... Życie – słyszę.

PIERWSZY GŁOS

W zasadzie każdy, kogo pytam o Marka Czyża, opowiada mi o nim, ale jednocześnie też o Kamilu Durczoku, z którym się przyjaźnił.

– To był tandem. Z tym że Kamil zawsze był z przodu, a Marek o krok za nim – opowiada kolejna osoba. O Czyżu ma zresztą dobre zdanie. Miły i kulturalny, elokwentny. To się powtarza. I jeszcze jedno – moi rozmówcy z zakłopotaniem wspominają, że w towarzystwie mówiło się też często o... aparycji Marka Czyża.

– Moje pierwsze skojarzenie, gdy rzuca mi pan to nazwisko? Zdolniejszy od Kamila Durczoka, ale... mniej ładny. I mniej cwaniakowaty, nie aż taki bajerant. To dlatego nie zrobił większej kariery niż Kamil, zawsze był w jego cieniu. Ale sam pan przyzna, że mimo „radiowej" urody, głos ma przyciągający – to już kolejny rozmówca, który dobrze pamięta początki Marka Czyża w poważnych mediach, czyli w Radiu TOP w Katowicach, do którego przyszedł (razem z Durczokiem) z bagażem doświadczenia z rozgłośni studenckich.

– Do dzisiaj nie wiem, jak to się stało, ale gdy w lutym 1993 r. startowaliśmy z TOP-em, to pierwsze słowa do słuchaczy wypowiedział Marek Czyż. W sumie powinien to zrobić Durczok, bo to on już wtedy był bardziej uznawany za gwiazdę, ale chyba spękał i oddał to Markowi. To było ogromne zdziwienie – słyszę opowieść sprzed 30 lat. Wówczas, po zapowiedzi Marka Czyża, poleciał serwis informacyjny przeczytany przez Klaudię Plutę i utwór „Africa" zespołu TOTO.

Po trzech dekadach, gdy redaktor otwierał „neoWiadomości", po jego zapowiedzi nie poleciało nic. Pierwszy program „19.30" widzowie obejrzeli dopiero nazajutrz.

BEZ SKRUPUŁÓW

O Marku Czyżu rozmawiałem z kilkunastoma osobami, każda z nich zna go osobiście.

–TOP to było radio z solidarnościowym rodowodem, budowane na jakimś etosie. To miała być wylęgarnia prawicowych talentów, a wyszło, co wyszło. Ale prawdą jest też, że wówczas podziały były zupełnie inne, byliśmy my i oni, czyli czerwoni. Kiedy on się zrobił taki „demokratyczny"? Chyba jednak trochę później – opowiada mi znajomy Czyża. A później była Telewizja Katowice, poszli tam oczywiście razem z Durczokiem.

– Przeszedł w redakcji całą ścieżkę – od reportera do prezentera, to była dobra szkoła. Zawsze uważałem go za megaprofesjonalistę, ale jednocześnie za skrajnego cynika – to kolejna opowieść.

– Z TVP Katowice dosyć szybko ruszyli, oczywiście z Kamilem, do Warszawy, gdzie prezesem był już chyba Robert Kwiatkowski. I okazało się, że nie jest dla nich problemem, po doświadczeniu w radiu związkowym, wejść między czerwonych i świetnie się tam odnaleźć. Koniunkturalizm? Oczywiście, że tak! Co więcej, uważam, że to mu zostało, bo pamiętam też dobrze kolejny zwrot Marka Czyża – to już historia z 2006 r., gdy prezesurę w Telewizji Polskiej po Janie Dworaku obejmował Bronisław Wildstein.

– Wymyślono, że ośrodki regionalne będą się opierały na osobowościach i właśnie Markowi zaproponowano, by został twarzą lokalnego programu informacyjnego. Dostał wówczas niezłe pieniądze i od razu na to przystał. I nie przeszkadzało mu ani odrobinę, że to się działo za pierwszego PiS, że Maciek Wojciechowski, czyli szef ośrodka, był kojarzony z tym środowiskiem jeszcze od czasu Porozumienia Centrum. Hop i już był gdzie indziej, ale wciąż na antenie – uśmiecha się mój rozmówca. I prosi, by wysłuchać o jeszcze jednym zakręcie.

Bo nasz bohater dosłownie chwilę później był już w TVS, regionalnej stacji stworzonej z wielkim rozmachem, by była konkurencją dla TVP Katowice. Co ciekawe, 29 marca 2008 r. po godz. 10.00 to Marek Czyż razem z zespołem Śląsk

Fot. Shutterstock, TVP

krak1944@gmail.com

powitał widzów podczas inauguracyjnego programu. Ściągnął go tutaj, wprost z „pisowskiej" telewizji publicznej, dyrektor programowy Sławomir Zieliński. „Zielek" (członek Socjalistycznego Związku Studentów Polskich i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) zasłynął tym, że w stanie wojennym współdecydował o kształcie Programu III Polskiego Radia. Podczas podróży Jana Pawła II do Polski w 1983 r. nakazał, aby w relacjach nie mówić „Ojciec Święty", tylko „papież", a zamiast słowa „pielgrzymka" używać „wizyta". I to właśnie za nim Czyż poszedł w 2011 r. do TVP Info, w którym znów rozgościli się na spółkę czerwoni z liberałami.

ZNÓW NA ŚLĄSKU

Osoby, z którymi rozmawiam, twierdzą zgodnie, że to ostatnie rozstanie Marka Czyża z TVP z 2016 r. spowodowało, że dziennikarz się zradykalizował i jest dziś już tak otwarcie antypisowski, choć jego odejście odbyło się nadzwyczaj spokojnie. Była rozmowa w gabinecie szefa Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, stwierdzenie, że nie mieści się w nowej koncepcji budowania redakcji i uściśnięcie dłoni na koniec. Bez takich scen i emocji, jakie zafundowali wszystkim np. Hanna Lis czy Jarosław Kulczycki. A jednak Czyż postanowił dopisać sobie odrobinę kombatanckiej legendy i z jednej strony potwierdzał, że sam zrezygnował z pracy, z drugiej – obwiniał o to nowego prezesa TVP Jacka Kurskiego i polityków PiS, którzy rzekomo domagali się jego odejścia.

To w istocie był czas sporej wymiany kadr na Woronicza (siedziba główna TVP) i na pl. Powstańców Warszawy (siedziba TAI). Część osób została zwolniona (niektórzy dyscyplinarnie), największa grupa odeszła za porozumieniem stron z naprawdę sowitymi odprawami, a część zrezygnowała sama.

Poseł Paulina Hennig-Kloska (wówczas z Nowoczesnej Ryszarda Petru) w interpelacji do ministra kultury i dziedzictwa narodowego wymieniała nazwiska tych, którzy rozstali się z TVP i pytała, „czy osoby te zostały zwolnione lub przesunięte z przyczyn politycznych". Wśród bronionych przez obecną minister od wiatraków był także Marek Czyż, choć on z Telewizją Polską nie rozstał się na dobre. Wrócił ponownie na Śląsk, do TVP Katowice, gdzie pomocną dłoń znów podał mu Maciej Wojciechowski. Nie sądzono wówczas, że Czyż potraktuje tę pomoc tak instrumentalnie, że redakcję, którą zna tak dobrze, potraktuje jak punkt odbicia do skoku w bok, gdy tylko nadarzy się okazja.

WYJŚCIE Z CIENIA

Część osób dziwi się, że tak dobry dziennikarz (o jego warsztacie mówią sporo i dobrze) ostatnie lata spędził poza dużymi mediami. Przyczyny podają dwie – nie było już żadnych szans (chyba nie chciały tego obie strony), by wrócić do „pisowskiej" TVP, a w mediach drugiej strony miejsce na szczycie na dobre zajął Kamil Durczok.

> Moi rozmówcy, jego dalsi i bliżsi znajomi, nie są zdziwieni tym, że Czyż chce brać udział w tym przewrocie. – Wykorzystał moment, znów jest na topie. A że ten moment był akurat taki... niedobry? Cóż... Życie – słyszę

– Różnica między nimi jest zasadnicza. Kamil jechał coraz bliżej krawędzi. A nie słyszałem, żeby Marek kogoś skrzywdził, żeby komuś świnię podłożył – to kolejny głos.

Gdy Kamil Durczok szedł, biegł, jechał z piskiem opon na szczyt, nie oglądając się na nikogo, nie szanując ludzi ani własnego zdrowia, kariera Czyża kulała. Włączył się jako redaktor naczelny w projekt wymyślony przez przyjaciela. Naprawdę dobrze zapowiadający się portal Silesia24.pl okazał się jednak klapą i dużą stratą finansową dla Durczoka. Czyż próbował zaistnieć w internetowej rozgłośni Halo Radio, ale jego zasięg to zdecydowanie nie było coś, co satysfakcjonowałoby wciąż aspirującego redaktora. Nawet gdy w styczniu 2022 r. został dyrektorem informacji Radia ZET, też było jasne, że to nie na długo.

Kamil Durczok zmarł 16 listopada 2021 r.

– Marek ciężko to przyjął. Wydaje mi się, że to, co robi teraz, to wypełnianie ostatniej woli kumpla: przyp...dalać PiS-owi, ile się da – słyszę. – Niby wychodzi z jego cienia, ale przecież w gruncie go naśladuje. Kamil też jeździł samochodem i wyrzucał z siebie wszystko, co mu leżało na wątrobie.

WIELKI NAUCZYCIEL

Markowi Czyżowi udało się w ostatnich latach zgromadzić pewną publiczność na kanale YouTube. Najbardziej liczy się skrajnie antypisowski przekaz.

17 października, dwa dni po wyborach parlamentarnych, nagranie jest wyjątkowo radosne. Czyż teatralnie otworzył okno, mówi, że przychodzi czas na wietrzenie. Analizował też przyczyny porażki PiS. Według niego jedną były media: „Sądziliście, że uda wam się udowodnić Polakom, że misję mediów publicznych postrzegają jako taką, która polega na wylewaniu całych łgarstw przez całą dobę przez różnego rodzaju intelektualnych inwalidów i moralnych pokurczy z placu Powstańców i Woronicza 17?"

16 listopada: „Pan, panie Kaczyński jest człowiekiem, któremu na koniec powinienem jak zwykle życzyć »szerokości«. Ale pan nie ma prawa jazdy (sarkastyczne parsknięcie). Taki z pana Europejczyk...".

19 grudnia redaktor Czyż cieszy się, że młodzi chcą oglądać obrady Sejmu i występy pana marszałka: „Oczywiście ktoś tam może syknąć, [...] że Hołownia ma tylko maturę. No, być może. Ale tak się składa, że napisał więcej książek niż niektórzy z was w tym PiS w ogóle przeczytało. Posługuje się polszczyzną, której nie rozumiecie".

* * *

Pomijając niedociągnięcia techniczne, które przy każdym nowym projekcie mogą doskwierać na początku, pierwsze wydania dziennika „19.30" (już nie „Wiadomości", jak się okazało) były po prostu bardzo słabe, a zainteresowanie nim szybko opadło. O bezstronności nie mówmy, bo nie ma o czym. No cóż, nie udało się przemienić zupy w krystalicznie czystą wodę. Cudu nie było. A miał być. Czyż nie?

krak1944@gmail.com

Rewanżyści i postępowcy

Trzonem rządu Tuska są dwie frakcje ministrów. Frakcja pierwsza to ci, których misją jest przeprowadzenie operacji analogicznej do denazyfikacji po II wojnie światowej albo dekomunizacji po rozpadzie Sowietów. Frakcja druga to ci, którzy mają nieść nowe gwarancje wolności

JAN ROKITA

Po grudniowym exposé Donalda Tuska w jego obozie politycznym pojawiły się wątpliwości, czy aby sformułowana tam ideologia nowego rządu nie jest nazbyt anachroniczna jak na potrzeby dzisiejszego elektoratu centrolewicy.

Charakterystyczna w tej mierze była analiza portalu OKO.press, w której z impetem zaatakowano Tuska za to, że październikowe zwycięstwo centrolewu chce wpisać „w heroiczną tradycję Solidarności z JP II w klapie". To „rozjeżdża się z oczywistym doświadczeniem" – pisał lewicowy publicysta, zarzucając premierowi, iż „w takim imaginarium nie ma miejsca dla ludzi młodych, a zwłaszcza kobiet".

Nietrudno pojąć, iż dla zaciekłej aktywistki Czarnych Parasolek albo młodzieńca wytresowanego w kpinach z „janiepawlenia" Tusk opowiadający w Sejmie, iż to teraz Solidarność odnosi prawdziwe zwycięstwo nad ZOMO, musi się wydać jakimś niezrozumiałym jaskiniowcem. A muszę przyznać, że także mnie (choć patrzę na rzecz z innej ideowej perspektywy) cała ta stylizacja Tuska na prawego dziedzica Solidarności, który przewodzi „pokojowemu buntowi na rzecz wolności i demokracji" (to cytat z exposé), też zdała się stylizacją sztuczną, mało wiarogodną, a przede wszystkim oderwaną od dzisiejszych realiów.

WYZWOLEŃCZY „RZĄD TYMCZASOWY"

A jednak po upływie kilku tygodni widać, że premier ma wyraźny cel w trzymaniu się owej narodowowyzwoleńczej opowieści. Co prawda trudno na serio przypuścić, iż sam Tusk wierzy w jej prawdziwość, choć to akurat nie ma znaczenia. Na użytek polityki liczy się tylko to, jaką opowieść o polskich realiach Tusk uważa za propagandowo przydatną i mogącą objaśniać jego intencje oraz plany. Bo taką właśnie ideologią będzie się posługiwać teraz zarówno sam szef rządu, jak i skupiony wokół niego centralny ośrodek władzy oraz propagandy. Tym razem, w przeciwieństwie do niegdysiejszej minimalistycznej doktryny „ciepłej wody w kranie", ma to być bardziej ambitna ideologia wyzwalania kraju z okowów niewoli i – co kluczowe – oczyszczania go ze złogów „ancien régime'u". Tusk doszedł do wniosku (albo taki wniosek podyktowali mu spin doktorzy), iż jedyna ideologia pozwalająca mu efektywnie legitymizować zamierzoną politykę to ideologia swoistego „rządu tymczasowego", któremu właśnie udało się, pośród burz historii, oswobodzić kraj i teraz stoi przed wyzwaniem zbudowania na nowo jego podstaw.

Jak postępuje taki „rząd tymczasowy"? Oczywiście nie formułuje strategii reform ustrojowych czy społecznych. I czuje się zwolniony z odpowiedzi na wielkie pytania o państwo czy gospodarkę. Takie jak choćby to, czy jest za oszczędnościami, czy redystrybucją, za zieloną rewolucją czy tradycyjnymi źródłami energii, za wielkimi projektami infrastrukturalnymi czy przeciw nim, za państwem narodowym czy europejskim. Owszem, to pytania, które stawia przed krajem współczesna rzeczywistość. Tyle tylko, że dla wyzwoleńczego „rządu tymczasowego" są one przedwczesne. Skoro bowiem dopiero co nastąpiło wyzwolenie, to ponad tymi wszystkimi pytaniami dziś dwa doraźne wyzwania, którym musi sprostać nowa władza. Pierwsze – to rozliczenie przeszłości, a Tusk zna dobrze opłakane skutki błędu „grubej kreski". Drugie – to ustanowienie nowych gwarancji wolności, która do tej pory była tłumiona.

Tym dwóm wyzwaniom podporządkowano logikę grudniowej mowy programowej Tuska, czego nie dostrzegli jej krytycy w obozie władzy. Ale, co ważniejsze, ta sama logika zdeterminowała kształt rządu, jak i jego dotychczasowe posunięcia oraz przyszłe zamiary. Te przynajmniej, które zostały ujawnione opinii publicznej.

Trzonem rządu są dwie wyraziste frakcje ministrów, z których każda ma mocne poczucie misji. Frakcja pierwsza to ci, których misją jest przeprowadzenie trudnej operacji analogicznej do denazyfikacji po II wojnie światowej albo dekomunizacji po rozpadzie Sowietów. Właśnie tu tkwi geneza „solidarnościowych" odniesień w mowie Tuska. Frakcja druga

krak1944@gmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

to ci, którzy mają nieść nowe gwarancje wolności. To dzięki nim mają zostać przezwyciężone „upiory średniowiecza", z taką odrazą wspominane przez samego premiera. Poza tymi dwiema frakcjami są jeszcze w rządzie pojedyncze wolne elektrony, które, przynajmniej z założenia Tuska, nie mają odegrać istotnej roli w jego strategii.

FRAKCJA PIERWSZA

Trzon frakcji pierwszej tworzą ministrowie Kierwiński, Siemoniak, Sienkiewicz, Bodnar, Budka i Grabiec ze wsparciem Domańskiego i Sikorskiego. To rewanżyści, których misją jest oczyszczenie państwa ze złogów „ancien régime'u". Trudno nie dostrzec, że negocjacje koalicyjne były tak prowadzone, aby członkowie rządu z rewanżystowskimi zadaniami byli ludźmi od lat bezwzględnie podporządkowanymi i zależnymi od Tuska. Jedynym wyjątkiem jest minister sprawiedliwości i całkiem możliwe, że jak przyjdzie co do czego, to szef rządu może być zmuszony szukać kogoś bardziej zdeterminowanego do zawsze ryzykownej dla kariery brudnej roboty. Tusk już za poprzednich rządów, gdy ta posada nie była obarczona aż takim ryzykiem, miał skłonność do udawania intencji niezależności resortu sprawiedliwości, więc powoływał tam takich ludzi, jak Ćwiąkalski czy Czuma, by jednak tego w końcu pożałować i zastąpić ich wiernopoddańczym Budką.

Mówiąc w skrócie: Kierwiński i Siemoniak mają ubezpieczać siłowo oraz agenturalnie te operacje czyszczenia państwa, przy których trzeba łamać prawo, a zatem grozi opór, bijatyka, a w złym wariancie także konieczność użycia przemocy na większą skalę. Ale jak pokazał kazus telewizji, istotniejsza od nagiej przemocy jest tu misja wykorzystania agentury, dzięki której operacje oczyszczające mogą przybierać formy bardziej łagodne. Sienkiewicz, co oczywiste, ma sfinalizować przejęcie mediów, lecz jego zadanie jest wyjątkowe i szersze (o czym poniżej).

Przed Bodnarem stoi karkołomna misja dania satysfakcji rozgorączkowanemu lobby sędziowskiemu, którego zaangażowaniu Tusk w znacznym stopniu zawdzięcza październikowe zwycięstwo. Ale którego się też obawia, świadom, iż skala rewanżystowskich zapędów może zdestruować wymiar sprawiedliwości tak bardzo, iż nikt nie będzie mógł doprowadzić do końca banalnego procesu sądowego. Bodnar ma być dość twardy, aby nie przestraszyć się pozaprawnych kroków, których domaga się lobby sędziowskie, ale zarazem ma nie przesadzić aż tak, aby sądy stanęły, a świat zewnętrzny zorientował się, że zamach na wymiar sprawiedliwości, owszem, dokonał się w Polsce, ale dopiero teraz.

Budka ma zapewnić Tuskowi pełnię władzy nad spółkami skarbu państwa. Czyli ma zrobić coś, czego przez osiem lat nie potrafił Kaczyński, zmuszony do balansowania pomiędzy PiS-owskimi frakcjami, zabijającymi się nawzajem w walce o pieniądze z tych spółek. Oczyszczanie ze złogów „ancien régime'u" to jednak tylko połowa misji Budki. Zapewne znajdzie się on pod presją liberalnych ekonomistów, aby cofać skutki ośmiu lat etatystycznej polityki, zwiększając mikroekonomiczną rolę rynku. Jest jasne, że etatysta Tusk, który tak samo jak Kaczyński chce rządzić wielkimi koncernami, nie pozwoli na to. Budka będzie zatem musiał wykorzystywać każdą okazję, stworzoną niegdyś przez PiS, aby wciskać do spółek ludzi Tuska, maskując tę praktykę na przemian a to retoryką rewanżystowską, a to znów rynkową. Misja nie do pozazdroszczenia.

W końcu Grabiec – ma egzekwować ustawowe uprawnienia samego premiera, o ile te pozwalają mu samemu oczyszczać państwo, tak jak to się już stało przy okazji podporządkowanych szefowi rządu instytutów badawczych. Ale też stosunkowo młody Grabiec zyskał chyba zaufanie Tuska na tyle, iż zlecane mu będzie koordynowanie akcji rewanżystowskich, które (tak jak przy telewizji) będą wymagać międzyresortowej cichej współpracy. Polskie centrum rządu ma niestety słabo wy-

krak1944@gmail.com

kształcone instrumentarium takiej koordynacji, o czym swego czasu trafnie pisał Sienkiewicz pod hasłem „państwa teoretycznego". Rola Grabca może zatem się okazać istotna, tym bardziej że nietypowo Tusk zdjął zeń główny obowiązek szefa premierowskiej kancelarii, jakim była odpowiedzialność za sprawne wypracowywanie decyzji Rady Ministrów, zwłaszcza gdy idzie o ustawodawstwo. Tym razem do tego zadania został powołany odrębny minister Berek.

Sikorski będzie dołączać do frakcji rewanżystowskiej, jeśli sprawy szłyby na tyle ostro, że proces czyszczenia wymagałby międzynarodowej osłony. Na razie takiej potrzeby nie będzie, więc szef MSZ może się zająć procesem oczyszczania dyplomacji, skądinąd niełatwym, bo alternatywne kadry, którymi dysponuje, to często starcy, wychowani jeszcze na moskiewskich wzorach.

Z kolei Domański okaże się potrzebny do oczyszczania dopiero wtedy, gdy Tusk zechce się zamachnąć na bank centralny. Zresztą patrząc na rzecz ogólnie, misja ministra finansów jest w obecnym rządzie wyjątkowo nieczytelna. Tusk nie stworzył (wzorem premierów Millera czy Morawieckiego) żadnego „własnego" instrumentarium do kształtowania polityki gospodarczej, zwłaszcza gdy idzie o stronę wydatkową budżetu. Wygląda więc na to, że ma się tym zająć na własną rękę resort przy Świętokrzyskiej. Tyle tylko, że Domański nie ma ani żadnej pozycji politycznej, ani autorytetu w świecie ekonomistów, dzięki którym mógłby odegrać podmiotową rolę w kształtowaniu polityki. Inercja na tym polu, co nie byłoby zresztą w Polsce nowością, wydaje się więc całkiem możliwa.

FRAKCJA DRUGA

Druga wielka misja takiego „rządu tymczasowego" to odbudowa wolności. Rzecz jednak w tym, iż swobody polityczne w Polsce nie wymagają odbudowy, więc trzeba ustanowić nowy, podmieniony koncept wolności. Jak wiadomo, dziś nie jest o to trudno, bo szerząca się postępowa poprawność polityczna zdołała już unieważnić klasyczne prawa człowieka, takie jak choćby wolność słowa czy wyznania, podkładając w ich miejsce ideologię obyczajowego libertynizmu i wyzwolenia ludzkości spod tyranii chrześcijańskiej religii. To fakt znamienny, że skoro tylko władza wdała się w konfrontację o panowanie nad telewizją, premier niezwłocznie zwołał konferencję prasową, anonsującą wolnościowy projekt o związkach gejów. Oczyszczanie państwa nie może się bowiem dziać samo dla siebie, lecz przez platformowych wyborców ma być widziane jako środek służący gruntowaniu nowej postępowej ideologii wolności.

> Kierwiński i Siemoniak mają ubezpieczać siłowo oraz agenturalnie te operacje „czyszczenia" państwa, przy których trzeba łamać prawo, a zatem grozi opór, bijatyka, a w złym wariancie także konieczność użycia przemocy na większą skalę

W tym przypadku wyszło zresztą na jaw, że Tusk nie całkiem kontroluje tę drugą kluczową frakcję w swoim rządzie, czyli postępowców. To przecież oni winni byli wystąpić z przygotowanymi ideologicznymi projektami w chwili ryzykownego dla władzy kryzysu telewizyjnego. Tak się nie stało, a kluczowa figura z tej frakcji – minister rodziny Dziemianowicz-Bąk pozwoliła sobie nawet na delikatny dystans wobec czyszczącej operacji telewizyjnej, deklarując w Polsacie, iż owa operacja przebiega w sposób „daleki od ideału".

Oprócz minister Dziemianowicz-Bąk trzon frakcji postępowców stanowią Nowacka i Kotula oraz grający istotną rolą także na tym polu Sienkiewicz. Dziemianowicz-Bąk – co ma tu znaczenie – jest intelektualistką wywodzącą się z Partii Razem i reprezentującą tę grupę w globalnym rewolucyjnym ruchu DiEM (gdzie gwiazdami są taki figury, jak filozof Žižek czy ekonomista Warufakis), żyjącym nadzieją na obalenie całego liberalnego i kapitalistycznego porządku na Zachodzie. Nowacka zawędrowała do Tuska z antychrześcijańskiego Ruchu Palikota, czyniąc to zresztą z nieskrywanego oportunizmu. Z kolei patronem politycznym Kotuli jest działacz gejowski Robert Biedroń.

Rządową misją frakcji feministek jest wyostrzenie sporu o kulturę i religię w Polsce do takiego punktu, w którym sam Tusk będzie mógł się zaprezentować jako polityk światopoglądowo umiarkowany. Niemniej jedyna klarowna i zwarta agenda programowo-legislacyjna rządu należy właśnie do frakcji postępowców. A jedyny całościowy projekt ideowy to plan „unowocześnienia", ale nie państwa i jego dysfunkcjonalnych instytucji, lecz polskiego społeczeństwa.

Minister Sienkiewicz, skądinąd słusznie traktowany jako ideolog trzeciego rządu Tuska, odegra zapewne sporą rolę jako czynnik spajający obie misyjne frakcje rządowe. Obserwatorzy często przeoczają fakt, iż Sienkiewicz jest politykiem, który przez długie lata pozostawania w opozycji, włożył istotny ideologiczny wysiłek, aby obozowi Tuska, niegdyś deklarującemu konserwatyzm kulturowy, nadać skrajny wektor antyreligijny. To właśnie w publicystyce Sienkiewicza została sformułowana teza, wedle której ideowa prężność katolicyzmu jest źródłem słabości i kłopotów Polski w Europie, a osłabienie religii winno się stać kluczowym celem polskiej polityki. Sienkiewicz był też jedynym politykiem, który domagał się siłowego wkroczenia policji do kurii biskupich i skonfiskowania na rzecz państwa archiwów kościelnych. Gwałtowne usunięcie dyrektora Zachęty, który do tej prestiżowej państwowej galerii miał czelność wpuścić malarstwo sakralne, jest tylko zwiastunem nowej polityki. A w zestawieniu z niedoświadczonymi w realnej polityce rządowymi feministkami to właśnie minister kultury może się okazać antyreligijnym czołgiem frakcji postępowców. Tak jak już okazał się czołgiem frakcji rewanżystów.

krak1944@gmail.com

Dzielące feminatywa

Prof. Grażyna Majkowska z UW zauważyła, że „jesteśmy w takim momencie, w którym używanie żeńskich nazw zawodów lub niechęć wobec nich, stają się podstawą do przewidywania preferencji politycznych i światopoglądu człowieka. Język stał się narzędziem utrwalania podziałów społecznych i wyrażania sympatii politycznych". Zgadzam się z prof. Majkowską, że to zjawisko bardzo niepokojące

Fot. Andrzej Wiktor

krak1944@gmail.com

Ministerka czy ministra?

Z dr. hab. Henrykiem Dudą, profesorem KUL, kierownikiem Katedry Języka Polskiego w Instytucie Językoznawstwa, rozmawia Dorota Łosiewicz

Część kobiet, które stanęły na czele resortów, chce publicznie używać formy żeńskiej ich funkcji. Czy razi to pana jako językoznawcę?

Henryk Duda: Jako językoznawcę mnie to nie razi, ponieważ jako językoznawca żyję z opisywania zmian zachodzących w języku. Jestem historykiem języka, więc obserwuję i opisuję jego zmiany. To jest nauka. Jednak każdy językoznawca jest jednocześnie użytkownikiem języka i wówczas na procesy zachodzące w języku może patrzeć nieco inaczej niż uczony. To, co nie razi językoznawcy, może już razić użytkownika języka. Spójrzmy na problem z dwóch perspektyw: ogólnej i szczegółowej. Jeśli chodzi o tę pierwszą, to tworzenie feminatywów w języku polskim mnie nie razi ani nie dziwi, bo to jest normalny proces w językach słowiańskich. Te języki mają wbudowany mechanizm, który pozwala w miarę potrzeb tworzyć nowe słowa, w tym nazwy żeńskie, czyli feminatywy. Skoro pojawiła się grupa kobiet, która zajmuje stanowiska niegdyś niedostępne dla kobiet, to naturalnie poszukuje się nowych nazw, odpowiadających nowej rzeczywistości społecznej i kulturowej.

A jakie są te kwestie szczegółowe?

Np. pytanie, za pomocą jakiego formantu utworzyć konkretny feminatyw. Ministerka czy ministra? Jeśli użytkownik zdecyduje się na konkretną formę, wówczas powinien być konsekwentny w odmianie.

Tej konsekwencji zabrakło np. w exposé premiera Tuska, który używał wszystkich form i odmian.

Jeśli za mianownik weźmiemy feminatyw „ministerka", wówczas konsekwentnie: ministerka, ministerki, ministerce, ministerkę, ministerką, ministerce, ministerko! Jeśli zaś decydujemy się na „ministrę", wówczas odmieniamy: ministra, ministry, ministrze, ministrę, ministrą, ministrze, ministro! O tym, jaka forma się przyjmie, zadecyduje uzus, czyli zwyczaj, praktyka. To użytkownicy języka zdecydują, która forma zyska status normy. Uzus ma to do siebie, że jest oporny wobec sugestii i odgórnych prób narzucania rozwiązań. Językoznawcy np. od lat walczą z różnymi błędami językowymi, a potem i tak okazuje się, że te błędy zwyciężają i w końcu trzeba je zaakceptować. Klasyczny przykład to odmiana zaimka „ta". Widzę „tę książkę" czy „tą książkę"? Walczyliśmy ponad 100 lat, by prawidłowa forma brzmiała „tę książkę". A jednak normą staje się „tą książkę". Feminatywa są naturalne w języku. Problem jest gdzie indziej. Nie w samych formach, na których użycie się zdecydujemy.

Gdzie więc?

W sporze, który wyrażają. Prof. Grażyna Majkowska z UW zauważyła ostatnio, że „jesteśmy w takim momencie, w którym używanie żeńskich nazw zawodów lub niechęć wobec nich, stają się podstawą do przewidywania preferencji politycznych i światopoglądu człowieka. Na tej podstawie definiuje się rozmówcę. Wiadomo, że ten, kto nie używa feminatywów, to konserwatysta, a ten komu na ich obecności w języku zależy, to osoba o poglądach lewicowych".

Czyli język utrwala nam podziały polityczne i społeczne? Pamiętamy, jak nerwowo zareagowała marszałek Elżbieta Witek, gdy jeden z dziennikarzy użył wobec niej formy „marszałkini". Poprosiła, by stosować konstytucyjną formę „marszałek Sejmu". A dzisiejsze panie minister czy też ministry raczej czują się urażone użyciem formy „pani minister".

Język stał się narzędziem utrwalania podziałów społecznych i wyrażania sympatii politycznych. Zgadzam się z prof. Majkowską, że to zjawisko bardzo niepokojące. Używanie feminatywów motywuje się zwykle, co nie budzi zastrzeżeń, etycznie, tzn. chodzi o równość płci, m.in. o likwidację niewidoczności kobiet, nazewnictwo odpowiadające ich roli w społeczeństwie. I z pewnością w pewnym momencie ruchu feministycznego tak było. Natomiast dziś w Polsce ta kwestia zeszła na drugi plan. Ci, którzy walczą o feminatywa, zwłaszcza panie minister, ministerki czy ministra, robią to mniej z powodów etycznych, a bardziej z powodów politycznych. Chodzi o zasygnalizowanie, po której stronie sceny politycznej ktoś się lokuje. Podobnie jest z dziennikarzami, działaczami politycznymi i wyborcami. Ten podział na używających i nieużywających feminatywów wiąże się z podziałami politycznymi. Borys Jegorow, badacz z tartusko-moskiewskiej szkoły semiotycznej, podzielił kultury na utrwalające i burzące. Utrwalające są pełne treści, w tych kulturach wszystko jest znakiem i wszystko znaczy. Kultury burzące chcą zerwać z przeszłością, zniszczyć ją, by zbudować coś nowego. Jest jednak tak, że kultury burzące, które walczą ze znakami przeszłości, w tym przypadku byłby to aktualnie obowiązujący sposób nazywania kobiet w języku polskim, natychmiast się semiotyzują. Spójrzmy na przykłady. W mojej młodości spodnie „szwedy" czy długie włosy w czasach wczesnego Gierka były symbolem kontestacji tradycyjnej kultury, ale dziś to już nie jest znak kontestacji, tylko moda. Podobnie noszenie spodni przez kobiety: kiedyś to był znak kontestacji, a dziś to coś normalnego. To, co dziś jest znakiem kontestacji, jutro będzie znakiem kultury konserwatywnej. Obserwuję tych, którzy walczą o feminatywa. Ich forsowanie z jednej strony, a odrzucanie z drugiej zostało przez nich wbudowane w opozycję kultura burząca–kultura utrwalająca. Przeciwnicy feminatywów zostali zepchnięci do roli obrońców tradycyjnej kultury, ich zwolennicy mają być tymi,

krak1944@gmail.com

którzy budują coś nowego, lepszego. Długofalowo to oni wkrótce będą nową ortodoksją i będą kontestowani. Krótkofalowo prowadzi to do społecznej polaryzacji oraz zwiększania napięć i to jest bardzo niepokojące. Zwłaszcza gdy tyle mówimy o potrzebie dialogu, pojednaniu, wspólnej przyszłości. Jednocześnie za pomocą języka świadomie wzmacnia się i utrwala podziały.

A może by to napięcie zmniejszyć, należałoby brać pod uwagę wolę osób, do których się zwracamy? Jeżeli wiemy, że komuś zależy na formie żeńskiej sprawowanej funkcji, to jej używać, a jeśli ktoś woli formy tradycyjne, to stosować tradycyjne?

A co w sytuacji, gdy spotkamy na ulicy osobę, o której woli nic nie wiemy? Lub jeśli spotkamy osobę, która wolałaby, żeby wobec niej używać neutratywów, czyli form neutralnych płciowo? Od razu mamy ryzyko konfrontacji. Bo jeśli ktoś na starcie nie użyje feminatywu wobec osoby, która sobie tego życzy, jest skreślony jako ten z innej bajki. Podobnie w przypadku nie użycia neutratywu. Jestem za (do)wolnością w nieco innym sensie. Tzn. żeby wybór formy pozostawić użytkownikom języka. Język rozwija się spontanicznie. W imię społecznego konsensusu powiedziałbym tak: dajmy użytkownikom języka prawo wyboru. Ale ta zasada powinna działać wobec wszystkich stron publicznego dyskursu. Czyli strona chętniej używająca feminatywów powinna pozostawić drugiej stronie dowolność w wyborze formy i odwrotnie. Jednak jeśli kobieta zostaje szefową resortu, powinna się zastanowić, czy forsowanie feminatywów w odniesieniu do jej osoby jest na miejscu. Jako minister, ministerka czy ministra powinna pamiętać, że reprezentuje nie tylko tych, którzy głosowali na jej partię. Jest urzędnikiem wszystkich Polaków. Tu dochodzimy do pytania: jak ustalać wspólny zwyczaj? W sytuacji, w której już nastąpiło takie nacechowanie kulturowe, że ci, którzy nie używają feminatywów, to konserwatyści, a ci, którzy ich używają, to liberałowie i lewica, wówczas ustalenie wspólnego zwyczaju jest bardzo trudne, wręcz niemożliwe. Tu już feminatywa to broń, miecz, a to nie zachęca do poszukiwania kompromisu.

> Obserwuję tych, którzy walczą o feminatywa. Ich forsowanie z jednej strony, a odrzucanie z drugiej zostało przez nich wbudowane w opozycję kultura burząca–kultura utrwalająca. Przeciwnicy feminatywów zostali zepchnięci do roli obrońców tradycyjnej kultury, ich zwolennicy mają być tymi, którzy budują coś nowego, lepszego

Spójrzmy na aspekt prawny. Zgodnie z art. 151 Konstytucji RP członkowie rządu składają wobec Prezydenta RP następującą przysięgę: „Obejmując urząd Prezesa Rady Ministrów [wiceprezesa Rady Ministrów, ministra], uroczyście przysięgam, że dochowam wierności postanowieniom Konstytucji i innym prawom Rzeczypospolitej Polskiej, a dobro Ojczyzny oraz pomyślność obywateli będą dla mnie zawsze najwyższym nakazem". Część pań minister wybrała jednak formę żeńską rzeczownika minister. Pojawiły się więc głosy, że to ślubowanie może być nieważne. Jak pan patrzy na ten problem?

Takie stanowisko przedstawił np. były prezydent Bronisław Komorowski, który powiedział, że preferuje formy zapisane w Konstytucji RP. Prawnicy, jeśli będą chcieli, mogą przeprowadzić dowód na poparcie każdej tezy. Zarówno o ważności, jak i nieważności ślubowania. Osobiście myślę, że takie ślubowanie jest ważne, choć może w stosownych przepisach na przyszłość należałoby stworzyć możliwość prawną używania feminatywów i spór stałby się bezprzedmiotowy. Problem, o którym mówimy, po raz pierwszy pojawił się pod koniec XIX w. na jednym z uniwersytetów rosyjskich. Pisał o nim znany polski językoznawca Jan Niecisław Ignacy Baudouin de Courtenay, wtedy profesor rosyjskich uniwersytetów. O co chodziło? W ówczesnym prawie zapisano, że „stanowisko docenta może objąć...". Prawnicy interpretowali zapis literalnie. Docent, czyli mężczyzna, więc uznawano, że kobieta nie mogła objąć stanowiska docenta. To była kazuistyka. Nie od dziś wiadomo, że istnieje coś takiego, jak generyczne użycie rzeczowników męskich. W aktach prawnych formy męskie nazywają i kobietę, i mężczyznę. I do pewnego czasu to nie budziło wątpliwości, ale dyskusję rozpoczął kazus z uniwersytetów rosyjskich. Dlatego Baudouin de Courtenay się tym zajął. Jest książka prof. Jolanty Szpyry-Kozłowskiej pt. „Nianiek, ministra i japonki. Eseje o języku i płci". Pani profesor od lat zajmuje się lingwistyką płci, m.in. problemem niesymetryczności w języku. I do niej odsyłam zainteresowanych tą problematyką. Generyczne użycie rzeczowników męskich w znaczeniu ludzi w ogóle jest kością niezgody. Na razie nie udało się wymyślić takich środków formalnych, które wyeliminują generyczne użycia form męskich. Nie sądzę, by w najbliższym czasie udało się stworzyć całkiem nowy język, w którym swoje szerokie zastosowanie znalazłyby postulowane przez niektórych językoznawców neutratywa, czyli takie formy fleksyjne, które nadawałyby się do nazywania np. funkcji bez związku z płcią. Jeśli dana

krak1944@gmail.com

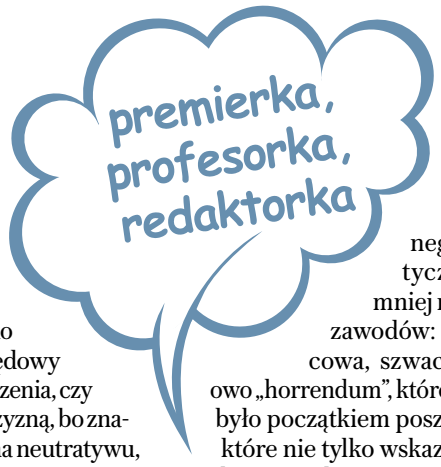

kobieta mówi o sobie „jestem ministrą” lub „jestem ministerką”, mówi to jako kobieta, podkreślając swoją płeć. A przecież stanowisko ministra jest bezpłciowe. Jeśli ktoś jako minister podpisuje urzędowy dokument, to nie ma znaczenia, czy on jest kobietą, czy mężczyzną, bo znaczenie ma funkcja. Nie ma neutratywu, którego można by użyć w tej sytuacji. Nie mamy go, ponieważ do tej pory nie był potrzebny. W życiu codziennym nie były potrzebne takie subtelne rozróżnienia. Obrót prawny na wysokim poziomie zawsze jest umowny, nadbudowany nad powszechnym zwyczajem. To, co w zwyczaju łatwo się rozpowszechnia, w języku prawnym musi być uzgadniane.

Skoro jesteśmy przy historii, to żeńskie końcówki nie są neologizmem, a elementem języka, który towarzyszy nam od lat. W „Poradniku Językowym” z 1911 r. w artykule autorstwa Romana Zawilińskiego czytamy, że używanie męskich końcówek przy pisaniu czy mówieniu o kobietach to „horrendum, które podnosi głowę coraz śmielej i urąga nie tylko językowi polskiemu, lecz nawet logice prostej”. Może szerokie używanie feminatywów sprawiłoby, że język byłby bardziej inkluzywny?

Opinia, którą pani przytoczyła, jest często przywoływana. Rzecz dotyczy tego, że w przeszłości tworzono feminatywa w sposób seryjny. W pewnym momencie zaczęto odchodzić od feminatywów na rzecz form „pani profesor”, „pani redaktor”, „pani minister”. Spójrzmy na tę kwestię w szerszej perspektywie. Ówczesne feminatywa, moim zdaniem, nie spełniały swojej funkcji i to trwa do dziś. Pewna część kobiet nie chce, by używać wobec nich feminatywów, bo to odbiera powagę funkcji, np. profesorka, redaktorka. Bo jest różnica powagi między profesorką jako nauczycielką w liceum i profesorką jako pracownicą uniwersytetu. Te feminatywa brzmią zbyt potocznie. Pewnie dlatego, że kojarzą się z formami języka potocznego, którego dotyczą najczęściej mniej nobliwych nazw zawodów: praczka, krawcowa, szwaczka. Być może owo „horrendum”, które pani przytacza, było początkiem poszukiwania form, które nie tylko wskazywałyby na kobietę, a jednocześnie nie kojarzyły się z brakiem powagi. Sufiks -ka w języku polskim jest wielofunkcyjny i tworzy także wyrazy zdrobniałe. Trzeba widzieć więc cały ten szeroki kontekst kulturowy. To wcale nie znaczy, że nowe feminatywa z sufiksem -ka się nie utrwalą. Ale te procesy są długotrwałe i wymagają przyzwyczajenia użytkowników języka i konwencjonalizacji.

> Językoznawcy np. od lat walczą z różnymi błędami językowymi, a potem i tak okazuje się, że te błędy zwyciężają i w końcu trzeba je zaakceptować. Klasyczny przykład to odmiana zaimka „ta”. Widzę „tę książkę” czy „tą książkę”? Walczyliśmy ponad 100 lat, by prawidłowa forma brzmiała „tę książkę”. A jednak normą staje się „tą książkę”

Używając rzeczownika „minister” w rodzaju męskim, i tak wiemy, czy mówimy o kobiecie, czy o mężczyźnie.

Słowa takie jak „profesor” czy „minister” mają dwa znaczenia. Można, a może trzeba, spojrzeć na nie inaczej. „Minister” to mężczyzna, który objął tekę ministra. To także kobieta, która została szefem ministerstwa. To są wyrazy o tej samej genezie, homonimiczne, czyli tak samo brzmiące w mianowniku. Jednak te dwa wyrazy w zależności od płci mają całkiem inną charakterystykę gramatyczną. Odmieniamy: ten minister, tego ministra, temu ministrowi, tego ministra, z tym ministrem, o tym ministrze. Natomiast „minister” w odniesieniu do kobiety, która została szefem resortu, ma mianownik: ta minister i jest rzeczownikiem nieodmiennym: ta minister, tej minister, tej minister, tę minister, z tą minister, o tej minister. W zależności od płci ten wyraz inaczej zachowuje się gramatycznie i wymaga innej składni. Ten minister przyszedł, powiedział, ale ta minister powiedziała. Nie jest więc tak, że na gruncie języka, używając rzeczownika w formie męskiej, nie potrafimy odróżnić, czy mówimy o kobiecie, czy o mężczyźnie. Wrócę jeszcze do wspomnianego Jana Niecisława Ignacego Baudouina de Courtenay. On jako pionier lingwistyki feministycznej zauważył, że tworzenie feminatywów to przejaw dyskryminacji kobiet. Dlaczego? Bo tworząc feminatyw, podkreślamy, że kobieta jest wtórna. Tak się dzieje, gdy tworzymy nazwę żeńską od formy męskiej rzeczownika. Coś, jak – mówiąc jego słowami – w micie biblijnym, gdzie kobieta została stworzona z żebra Adama. Dzisiejsi zwolennicy feminatywów nie patrzą na problem w ten sposób, gdyż zwyciężył symetryzm, czyli zasada, że jak jest równo, to jest dobrze. Każdy problem lingwistyczny jest złożony i zakorzeniony w kontekstach historycznych. Dziś przestaliśmy zwracać uwagę na te kulturowe zaszłości z powodu silnej opozycji między grupami używającymi feminatywów i tymi, którzy nie są im przychylni. Co więcej, wybieramy środki językowe, by pokazać, kto należy do naszej wspólnoty komunikacyjnej. Proszę zauważyć, że np. o Beacie Szydło nigdy nie powiedziano i nie napisano „premierka”. I raczej nie dlatego, że ona sama domagała się używania tej czy innej formy, ale dlatego, że była kojarzona ze środowiskiem konserwatywnym. Napisanie o niej „premierka” byłoby jej dowartościowaniem z perspektywy tej kultury burzącej.

krak1944@gmail.com

Lewicowa zmiana w edukacji i nauce może upośledzić nasz kraj na dekady. Bo czy wszystko w szkole może być lekkie, łatwe i przyjemne?

Lewa edukacja

STANISŁAW JANECKI

O absolwentach cenionych amerykańskich uczelni mówi się, że o ich wykształceniu i kompetencjach najlepiej świadczy to, że precyzyjnie wiedzą, czego nie wiedzą. A co można powiedzieć o lewicowej zmianie w polskiej edukacji i nauce? Tu ideałem mogłoby być to, że absolwenci nie wiedzą, co wiedzą i czy coś w ogóle wiedzą. A to dopiero początek zmian na gorsze. Dlatego na gorsze, bo ani skład kierownictw ponownie rozdzielonych resortów edukacji i nauki, ani ujawniane fragmentarycznie ich plany nie zapowiadają niczego dobrego. A to nie jest zapewne ich ostatnie słowo.

To, że w ramach podziału łupów w rządzie lewica (nie tylko Nowa Lewica) otrzymała edukację i naukę, jest celowym zamysłem Donalda Tuska. Chodzi o to, by całkowicie przestawić wajchę w obu tych dziedzinach i uczynić je polem ideologicznej wojny. To część szerszego planu z zakresu inżynierii społecznej, w którym już dzieci mają być tak ukształtowane, żeby w ogromnej większości były postępowe. Każdy życiowy wybór ma być ideologiczny, a zwyciężać ma ideologia liberalno-lewicowa jako optymalna, bo będąca docelowym etapem rozwoju ludzkości. Wszelki konserwatyzm ma być przedstawiany nie tylko jako historycznie przebrzmiały, lecz także szkodliwy dla społeczeństwa i jego przyszłości. Docelowo lewicowa rewolucja w edukacji, kontynuowana na studiach, ma wychować przede wszystkim wiernego konsumenta. A jeśli ma też wychować wyborcę, to dla niego nie będzie właściwie wyboru, gdyż wszelki inny niż lewicowo-liberalny znajdzie się pod presją (jak student prawa na UW Oskar Szafarowicz). Towarzyszyć temu będzie doprowadzenie do obniżenia do 16 lat czynnego prawa wyborczego, żeby „na zawsze" utrwalić lewicowo-liberalne rządy i podobny światopogląd, traktowany wręcz jako państwowy.

Postępowość w edukacji oraz nauce czy też lewicowo-liberalny skręt doprowadziły do kryzysu w obu tych dziedzinach na Zachodzie, szczególnie w nauczaniu i studiowaniu przedmiotów ścisłych, które coraz częściej są uznawane za narzędzie represji i panowania, więc coraz rzadziej wybierane.

W Polsce pod rządami Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy deklaratywnie szkoła oraz uczelnia mają być odideologizowane, ale realnie to odideologizowanie ma polegać na wy-

Fot. Andrzej Wiktor

krak1944@gmail.com

cinaniu tradycji chrześcijańskiej, patriotyzmu i podstawowych wartości związanych z polskością. A tak się stanie, gdy do szkół wejdzie „nowoczesność" pojmowana jako postępowość w wersji bliskiej marksizmowi.

BEZMYŚLNA DECZARNKIZACJA

2 styczniu 2024 r. w Radiu Zet Katarzyna Lubnauer, wiceminister edukacji, chyba najpełniej po zmianie władzy przedstawiła zamiary jej resortu. Znamienne, że za bardzo ważne uznała, żeby „postawy programowe zostały odchudzone nawet do 20 proc., czyli żeby zniknęło od 5 do 20 proc. treści. Również [ważna jest] kwestia ograniczenia liczby lektur, na co bardzo narzekają uczniowie i nauczyciele". Wygląda na to, że ideałem szkolnego korpusu wiedzy jest jakiś kadłubek, tak żeby uczniowie się nie przemęczali, a nauczyciele nie stresowali.

Można zasadnie przypuszczać, że do wycinki pójdą zagadnienia najtrudniejsze, bo zabierają uczniom i nauczycielom najwięcej czasu. Wiedzę oraz metodę mają zastąpić rzeczy praktyczne, choć kojarzone raczej z domem rodzinnym, podwórkiem czy kręgiem rówieśniczym, a nie szkołą. Katarzyna Lubnauer tak to opisała: „Dziś, kończąc szkołę, młodzi ludzie nie wiedzą nawet, czy mają predyspozycje, by zostać krawcem albo dentystką. Szkoła powinna nauczyć prostych domowych czynności, naprawy kontaktu, żebyśmy jako dorośli nie czuli się bezradni wobec prostych wyzwań". W szkolnej „pracowni manualnej" stałby m.in. rower, a „uczeń umiałby wymienić dętkę, naprawić poluzowany łańcuch".

Wiceminister Lubnauer pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy, że taki praktyczny model edukacji dla Polaków przewidywali niemieccy okupanci podczas II wojny światowej. Żeby Polacy nadawali się do prostych prac fizycznych, bo wiedza to zbyteczny balast, tym bardziej że mogłaby prowadzić do buntu. Polska 2050 nie jest tak przyziemna, dlatego w programie „Edukacja dla przyszłości" proponuje „leśne lekcje" i realizację projektów zamiast zajęć w ławkach, kolorowe paski na świadectwach (można zostać docenionym np. za aktywizm), otwarcie szkół na zwierzęta (można przyjść z psem).

Przerobiona na „nowoczesną" polska szkoła ma, wedle planów lewicy, nauczać mniej historii, a więcej teraźniejszości, czyli „edukacji seksualnej, uczącej, jak budować dojrzałe, pełne szacunku relacje". Poza tym „edukacji pracowniczej, bo to szkoła powinna przekazać młodym ludziom, jak chronić się przed wyzyskiem". Lekcje religii muszą wrócić do kościoła, a jak wrócą, to „zrobią w planie lekcji miejsce na języki". A zaoszczędzone pieniądze można przeznaczyć na ciepły posiłek w szkole dla każdego ucznia. Przecież, jak to ujęła obecna minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, wcześniej kandydatka na ministra edukacji, „pełne brzuchy uczniów są dla nas ważniejsze niż pensje dla księży". Zanim lekcje religii zostaną wyeliminowane ze szkół, wiceminister Lubnauer uważa, że „nie powinny być między innymi lekcjami. Jedna lekcja religii po albo przed lekcjami, bez oceny z religii liczonej do średniej". I takie zmiany weszłyby od 1 września 2024 r.

Pozbycie się lekcji religii nie rozwiązuje problemu odciążenia dziecka – praktycznie od wszystkiego. Jak twierdzi Katarzyna Lubnauer, „nie może być tak, że dziecko nie ma praktycznie weekendu, bo w każdy piątek ktoś zadaje mu coś na poniedziałek". Ten problem zniknąłby, gdyby poniedziałek był wolny, ale na to się nie zanosi. Na razie przynajmniej wiadomo, że „w przypadku klas 1–3 prace domowe nie mają sensu". Bo „realnie to nie jest zadanie tylko dla dzieci, ale i dla rodziców. Tego nie powinno być. W przypadku starszych dzieci trzeba prace domowe znacząco ograniczyć".

Powinno się, skoro nawet prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski skarży się, że już nie daje rady uczyć się tego, co nauczyciele zadają jego dzieciom. Będą więc ograniczenia w zadawaniu prac domowych, i to „w trybie rządowym". Wszyscy koalicjanci są zgodni, że w nowej szkole oceny powinny być opisowe, bo cyfry się źle kojarzą, szczególnie te o niższej wartości.

ZBYT TRUDNE – DO LIKWIDACJI

W programie Polski 2050 postulowano, by „traktowana po macoszemu filozofia wskakiwała w miejsce obficie nauczanej religii. Zamiast geografii – interdyscyplinarna nauka o Ziemi i wszechświecie, zamiast biologii – wiedza o życiu. Definicje z programu wylecą, a w miejsce pociągów z lekcji fizyki, którym trzeba obliczyć miejsce spotkania, wjadą zadania o bardziej praktycznym wymiarze". Akurat te pociągi były bardzo praktyczne, ale może chodzi o to, żeby obliczyć, kiedy pociąg zjawi się np. w Kutnie, jeśli z Warszawy Centralnej wyjdzie powiedzmy o godz. 15.00. Wszystko, co trudne, tylko odstręcza od szkoły, dlatego – wedle projektu partii marszałka Hołowni – „egzaminy w dzisiejszej formule nie przystają do szkoły bez ocen cyfrowych".

Własne rady na wszystko ma Koalicja Obywatelska proponująca, by lekcje „zaczynały się zawsze na pierwszą zmianę, najpierw te bardziej wymagające, choć z odchudzonym programem". A potem ciepły posiłek. „Nie musi być zaraz dwudaniowy obiad, wystarczy czasem zupa i kanapka" – objaśnia wiceminister Katarzyna Lubnauer. Jeśli lekki może być obiad, to tym bardziej podręczniki: „Nie ma żadnych przeszkód, żeby wszystkie podręczniki miały swój odpowiednik elektroniczny,

krak1944@gmail.com

dostępny w postaci licencji dla każdego dziecka aż do zakończenia nauki" – zapewnia Lubnauer. No i zamiast laptopów tablety, bo te pierwsze kojarzą się z ministrem Przemysławem Czarnkiem. A „na tablet można wgrać aplikacje do pracy grupowej, do testów – i ograniczyć możliwość wgrywania innych, niepożądanych". Pożądane są za to pracownie w szkołach: doświadczalne, manualne i muzyczne, by „nauka była mniej pamięciowa, a bardziej praktyczna". Np. dlatego, że „dzieci chcą być youtuberami, tiktokerami", a w „pracowni muzycznej poznają radość śpiewania, tworzenia muzyki, niekoniecznie z nut". To zrozumiałe: czytanie nut może być zbyt dużym wysiłkiem. Wystarczy „rozwijać empatię" tak potrzebną w „zawodach opiekuńczych – nauczyciela, pielęgniarki". Katarzyna Lubnauer słyszała, że „informatycy z Doliny Krzemowej posyłają dzieci do szkół, w których nawet nie ma zajęć cyfrowych". Za to pewnie uczniowie kleją tam przebite dętki rowerowe.

W lewicowej szkole trzeba raz na zawsze skończyć z „wkuwaniem na pamięć", gdyż zamiast tego od razu rozwinie się „krytyczne i twórcze myślenie oraz praca w grupie". A grupa już załatwi kwestie „edukacji obywatelskiej, obejmującej elementy wiedzy o rynku pracy i prawach pracowniczych, edukacji zdrowotnej, w tym wiedzy o seksualności, zdrowiu psychicznym, zdrowym trybie życia i odżywianiu oraz profilaktyce chorób zakaźnych".

No i nie obejdzie się bez „edukacji klimatycznej", czyli każdy będzie mógł zostać Gretą Thunberg. Wszelkie typy edukacji przyjdą łatwo, gdyż po zlikwidowaniu zadań domowych „uczniowie będą mieli dostęp do szerokiej oferty bezpłatnych zajęć pozalekcyjnych w szkole". I do domu będą wracać tak wyszkolone, żeby nie musieć już nic robić.

Lewica chce zatrzymać falę odejść uczniów do szkół niepublicznych, tym bardziej że wielu jej przedstawicieli wykształciło już tam swoje dzieci. Wiele wskazuje na to, że lewicowa „nowoczesna" szkoła to obniżenie wymagań, a docelowo zniesienie ocen, gdyż są one dyskryminacyjne i antymotywacyjne. Za to szkoły zostaną szeroko otwarte przed organizacjami pozarządowymi, które mają dokonać zmiany światopoglądu, żeby nie było, iż to państwo zajmuje się wdrukowywaniem „postępowego" światopoglądu. Tyle tylko, że zapowiadane zmiany oznaczają wielkie pranie mózgów dzieci i młodzieży. Sprzyja temu powołanie na minister edukacji Barbary Nowackiej, zaś na wiceministrów edukacji Katarzyny Lubnauer i Joanny Muchy. Pod ich rządami rysuje się nie perspektywa wielkiego skoku polskiej edukacji na miarę tego w Korei Południowej, lecz perspektywa wielkiej demolki takiej szkoły, jaką znaliśmy przez ostatnie 35 lat.

NAUKOWE MODNE BZDURY

Lewicowe przestawienie wajchy w szkołach wyższych pójdzie łatwo, gdyż one w większości już są „nowoczesne", czyli postępowe. A będą jeszcze bardziej postępowe, gdy zacznie się masowe tworzenie nowych kierunków, które przez wielu uczonych nie są w ogóle uznawane za naukę, a co Alan Sokal i Jean Bricmont w książce „Modne bzdury" nazywają nawet antynauką, np. studia o inności, dialogika, filozofia spotkania oraz mocno już zakorzenione na uniwersytetach studia genderowe. W polskiej nauce grozi nam to, co się dzieje np. w USA, gdzie za „nowoczesnością" i „postępem" idzie cenzura oraz dyskryminacja, a nawet represjonowanie „konserwatywnych" naukowców. „Nienowoczesne" badania nie są finansowane, kontrakty nie są przedłużane, a wręcz wyrzuca się z pracy konserwatywnych uczonych. Realne są obawy, że większość grantów pójdzie na pseudobadania, niemające żadnego wpływu na rozwój, innowacyjność czy konkurencyjność Polski.

> Przerobiona na „nowoczesną" polska szkoła ma, wedle planów lewicy, nauczać mniej historii, a więcej teraźniejszości, czyli „edukacji seksualnej, uczącej, jak budować dojrzałe, pełne szacunku relacje". Poza tym „edukacji pracowniczej, bo to szkoła powinna przekazać młodym ludziom, jak chronić się przed wyzyskiem"

Nauce w naszym kraju grozi coś takiego, co dzieje się w niektórych stanach USA, gdzie np. matematykę uważa się za narzędzie dominacji białej rasy, która wymyśliła tę dyscyplinę, dlatego nie-biali powinni mieć różne przywileje albo powinni być zwolnieni z części obowiązków. Polskiej szkole, a jeszcze bardziej uczelniom, to wszystko grozi zwiększeniem już i tak dużego dystansu od najlepszych, drastycznym pogorszeniem konkurencyjności oraz innowacyjności. Jest paradoksem i w jakimś sensie marnotrawstwem, że mamy w Polsce wysoki wskaźnik scholaryzacji (studiuje wysoki odsetek osób w wieku akademickim), a trudno jest o fachowców w dziedzinach decydujących o pozycji państwa, badań, innowacji. Studiowanie staje się wtedy hobby zamiast przygotowywać do zawodu, zamiast zapewniać dobre wykształcenie.

Są małe szanse, że tym tendencjom przeciwstawi się nowy minister nauki Dariusz Wieczorek. Nie ma on przecież doświadczenia w kierowaniu badaniami czy kierowaniu jednostkami naukowymi. Raczej baśniowo brzmią też zapewnienia, np. Trzeciej Drogi (jeszcze w kampanii wyborczej), że rząd Donalda Tuska przeznaczy 6 proc. PKB na edukację, a na naukę i szkolnictwo wyższe 2 proc. Bajką jest też zapowiedź finansowania badań poza wpływem polityki, podobnie jak zagwarantowanie wolności nauki oraz powołanie komisji niezależnych od polityków, które będą decydować o grantach na podstawie merytorycznej oceny projektów. Widać raczej dążenie do pełnej kontroli uczelni oraz skłonność do represjonowania wszystkiego i wszystkich, którzy nie wpiszą się w lewicowy paradygmat. Doświadczenie Zachodu pokazuje, że jest to nie tylko ślepa uliczka, ale wręcz zapowiedź katastrofy. Jeśli negatywne tendencje w edukacji nałożą się na te na uniwersytetach, lewicowa zmiana w tych dyscyplinach będzie Polskę drogo kosztować i na dekady upośledzi nasz kraj pod wieloma względami.

krak1944@gmail.com

Miasta dla bogatych

Wytyczenie stref czystego transportu w największych aglomeracjach zwiastuje stopniowe obniżanie standardu życia mniej zamożnych Polaków, z których wielu już wkrótce nie wjedzie własnymi samochodami do centrów miast. Za to ci najbogatsi będą mieli wygodniej – ich nie dotkną żadne restrykcje, bo nowym, drogim autem dojadą przecież wszędzie. Będą na nich czekać znacznie luźniejsze ulice oraz wolne miejsca parkingowe

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Od nowego roku opłata paliwowa – rodzaj podatku pobieranego od producentów i importerów paliw – wzrosła o 13,2 proc. Zatwierdzona przez rząd Tuska podwyżka tej opłaty oznacza niewielki wzrost cen benzyny i oleju napędowego, choć – co trzeba przypomnieć – obecny minister infrastruktury Dariusz Klimczak, będąc jeszcze w opozycji, domagał się jej obniżenia.

Trudno jednak oczekiwać od obecnych władz jakiejkolwiek konsekwencji czy odpowiedzialności za wypowiedziane wcześniej słowa. Tylko ktoś bardzo naiwny może dziś oczekiwać, że rząd Tuska będzie wywiązywał się ze złożonych obietnic. Jest tylko jedna rzecz, którą Tusk traktuje naprawdę poważnie. To zemsta na poprzednikach wyrażona w wulgarnym haśle „j...ć PiS". Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie.

Co się zaś tyczy opłaty paliwowej, to jest ona zaledwie preludium do znacznie mocniejszego uderzenia w portfele obywateli, nie tylko zresztą kierowców. Szykowany projekt podatku od aut spalinowych oraz wytyczenie stref czystego transportu w największych miastach zwiastują bowiem stopniowe obniżanie standardu życia mniej zamożnych Polaków, z których wielu już wkrótce nie wjedzie własnymi samochodami do centrów miast. Za to ci najbogatsi będą mieli wygodniej – ich nie dotkną żadne restrykcje, bo nowym, drogim autem dojadą wszędzie. Będą na nich czekać znacznie luźniejsze ulice oraz wolne miejsca parkingowe.

ZAKAZ WJAZDU

W Warszawie i w Krakowie strefy czystego transportu zostaną uruchomione już w połowie br. Władze obu miast zakładają stopniowe zaostrzanie restrykcji wobec posiadaczy aut. W pierwszym etapie, czyli od lipca 2024 r. będą obowiązywać przejściowe regulacje, pozwalające na wjazd do strefy starszym samochodom. W Warszawie będą dopuszczone auta benzynowe z silnikami spełniającymi normę Euro 2 i diesle z normą Euro 4, a w Krakowie odpowiednio benzynowe spełniające normę Euro 1 i Euro 2 w przypadku diesli.

Dwa lata później – od lipca 2026 r. – normy zostaną zaostrzone. Do obu miast wjadą tylko samochody benzynowe z normą Euro 3 oraz diesle z normą Euro 5. Warszawa w przeciwieństwie do Krakowa poinformowała już o dalszych etapach restrykcji, które rozpisano aż do 2032 r., gdy wjazd do strefy będzie dozwolony wyłącznie dla aut benzynowych z silnikiem spełniającym normę Euro 6 i diesli z normą Euro 6d.

Wszystkie te restrykcje nie dotyczą oczywiście samochodów elektrycznych lub zasilanych wodorem, których – ze względu na wysoką cenę i niskie walory użytkowe – jest w Polsce jak na lekarstwo. Przewidziany jest także wyjątek dla osób, które 1 lipca 2024 r., a więc w dniu uruchomienia strefy, przekroczyły 70. rok życia. Będą one mogły nadal korzystać ze swojego starego samochodu spalinowego pod warunkiem, że jest on ich własnością i same siedzą za jego kierownicą. Restrykcje nie obejmą też kilku innych kategorii, w tym motocykli, samochodów zabytkowych oraz pojazdów komunalnych lub należących do służb publicznych.

krak1944@gmail.com

Problemem jest jednak nie tylko zakres ograniczeń, lecz także ich zasięg. W Krakowie strefa czystego transportu ma objąć całe miasto z wyłączeniem tranzytowych autostrad. W Warszawie były podobne przymiarki, bo wstępnie zakładano, że zakaz rozciągnie się na dwie trzecie powierzchni stolicy, co dawałoby w efekcie bodaj najbardziej rozległą strefę czystego transportu w Europie. Ostatecznie wycofano się z tego pomysłu i zakazy obejmą Śródmieście wraz z częściami przyległych dzielnic. Prawdopodobnie władze stolicy z nadania PO uznały, że w roku wyborów samorządowych i europejskich lepiej nie szarżować z tak wielką strefą czystego transportu, bo może to kosztować sporo wyborczych głosów.

> Nikt nie kazał samorządom tworzyć gigantycznych obszarów z zakazem wjazdu dla starszych aut. To, jak one będą wyglądać, jest więc suwerenną decyzją władz Warszawy czy Krakowa

Poszerzenie strefy jest jednak nadal możliwe, tyle że po wyborach. Rządząca Warszawą ekipa Rafała Trzaskowskiego wcale tego nie wyklucza, a całkiem wprost zapowiadają to działacze stołecznej lewicy. Może się więc okazać, że już wkrótce korzystanie z samochodu będzie w Warszawie luksusem dostępnym wyłącznie dla najbogatszych.

PRZYWILEJE DLA WYBRANYCH

Warszawska strefa czystego transportu, nawet w zatwierdzonej w tym momencie okrojonej wersji, oznacza duże trudności nie tylko dla warszawiaków, lecz także dla przyjezdnych, zwłaszcza dla pracujących w stolicy mieszkańców sąsiednich gmin. Osoby mieszkające wewnątrz strefy będą zwolnione z jej rygorów do 2028 r., ale po tym czasie również one będą miały do wyboru: kupić nowe auto (najlepiej elektryczne), albo, jeżeli ich możliwości finansowe na to nie pozwolą, przesiąść się do komunikacji publicznej, na rower lub polegać na własnych nogach.

O ile jednak mieszkańcy Warszawy dadzą sobie jakoś radę, o tyle życie tych, którzy przyjeżdżają tu do pracy z okolicznych miejscowości, stanie się bardzo uciążliwe, bo nie otrzymają niczego w zamian. Nic nie zapowiada bowiem, że w dającej się przewidzieć przyszłości aglomeracja warszawska (nie mówiąc już o krakowskiej czy innych miast) otrzyma doskonale funkcjonującą komunikację miejską i – co równie ważne – podmiejską. Berlin czy Paryż mogły pozwolić sobie na ograniczenie ruchu aut, bo dysponują siecią szybkich kolei podmiejskich, takich jak S-Bahn czy RER. Dzięki temu nie ma sensu pchać się do miasta samochodem, bo znacznie szybciej dojedzie się transportem zbiorowym. W Polsce o takim standardzie komunikacji publicznej możemy tylko pomarzyć.

Uderza to przede wszystkim w różnorodny sektor usługowy, zapewniający codzienne życie miast. Cała ta współczesna czeladź: kurierzy, sprzedawcy, gosposie czy kelnerzy obsługujący bogatą hipsterkę wylegującą się z laptopem przy porannym bajglu przybywa do pracy swoimi starymi samochodami nierzadko z odległych miejscowości. Teraz to będzie bardzo utrudnione. Jednak nadętych lemingów niewiele to obchodzi. Ich przecież wprowadzane restrykcje nie dotyczą. Mają bowiem wystarczająco dużo pieniędzy, aby kupić sobie nowe auto – spełniające najbardziej wyśrubowane normy środowiskowe – i pojechać nim, dokąd tylko zechcą.

Wielu z nich uważa zresztą, że miasto powinno służyć głównie im. Że współczesny miejski i podmiejski proletariat nie powinien zaśmiecać im pejzażu, korkować ulic, zajmować chodników. To trochę tak jak z osławioną tłuszczą, która za 500+ wybrała się na wakacje i przeszkadzała Agacie Młynarskiej w uprawianiu jogi nad Bałtykiem.

Fot. Longfin Media / Shutterstock

krak1944@gmail.com

Dlatego najbogatsi wspierają strefę czystego transportu. Dzięki niej zmniejszą się korki, a oni zawsze znajdą miejsce do zaparkowania pod ulubioną knajpą czy sklepem. I nie psuje im humoru świadomość, że usługujący im pracownik tejże knajpy czy sklepu będzie musiał pozostawić swoje auto na rogatkach miasta. Przeciwnie, uważają to za naturalny stan rzeczy. Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie.

SPOŁECZEŃSTWO DWÓCH PRĘDKOŚCI

To oczywiście prawda, że w Warszawie jest za dużo samochodów. Pod koniec 2021 r. było tu zarejestrowanych ponad 2 mln aut, a więc więcej niż zameldowanych mieszkańców. I nawet jeśli odliczymy od tej liczby pojazdy leasingowane czy flotowe, to i tak liczba samochodów na warszawskich ulicach jest zatrważająca – dochodzą bowiem auta zarejestrowane w innych rejonach kraju. Korki są codziennością, a znalezienie miejsca do zaparkowania często graniczy z cudem. W rezultacie na ulicach i chodnikach panuje chaos i anarchia. Nie oznacza to jednak, że tego rodzaju problemy powinno się rozwiązywać decyzją administracyjną – a właśnie taki charakter ma wprowadzenie stref czystego transportu – i na jej podstawie zmuszać ludzi do pozbycia się swojego mienia. Taka polityka trąci bolszewizmem.

Najbardziej istotne jest jednak to, że podważanie prawa własności nie obejmie każdego, lecz wyłącznie tych słabszych i mniej zamożnych, którzy finansowo nie są w stanie sprostać narzuconym rygorom. Prowadzi to do powstania społeczeństwa dwóch prędkości i utrwala podział na uprzywilejowane elity oraz usługujących im bezwolnych pariasów.

Tym bardziej irytujące jest tłumaczenie restrykcji walką o klimat. Nie, klimat na świecie nie zależy od liczby samochodów jeżdżących po ulicach polskich miast. Amazońska dżungla nie uschnie z powodu korków w Warszawie. To tylko propagandowa wrzawa. Wmawia się nam, że musimy zmienić nasze życie, aby uratować planetę. Tak się jednak składa, że dotkliwość tych zmian będzie zależeć od stanu konta – średniacy zbiednieją, ubodzy wpadną w całkowitą ruinę, podczas gdy najbogatsi napchają ich kosztem swoje kieszenie. Na fundamencie polityki klimatycznej został bowiem zawarty sojusz między radykałami, zmierzającymi do przebudowy zachodniego społeczeństwa, oraz wielkim kapitałem, który szuka nowych pól eksploatacji i chce dobrze zarobić.

Nic więc dziwnego, że lewica, która już dawno temu stała się częścią uprzywilejowanej elity, twardo forsuje zmiany uderzające w uboższą część społeczeństwa. Jedyne, co aktywiści mają do zaproponowania właścicielom starych aut, w większości mniej zamożnym ludziom, to przepustka, która pozwala im przez cztery dni w roku wjechać do strefy czystego transportu z powodów losowych. Np. do szpitala lub aby podwieźć dziecko na egzaminy maturalne. To żałosny ochłap, który doskonale ilustruje naturę współczesnej lewicy, całkowicie zblatowanej z aroganckim, liberalnym fajnopolactwem.

> Sprawująca władzę w stolicy PO ochoczo obsługuje interesy najbogatszych. Tak było w przypadku dzikiej reprywatyzacji, tak jest również w przypadku strefy czystego transportu

UDERZENIE PO KIESZENI

Władze Warszawy, podobnie jak wielu innych miast, nie grzeszą profesjonalizmem. I choć zwykle nie potrafią rozwiązać najprostszych spraw, to w kwestii strefy czystego transportu okazały się nadzwyczaj sprawne i dynamiczne.

Wyjaśnienie tego fenomenu wydaje się dość proste. Otóż sprawująca władzę w stolicy PO ochoczo obsługuje interesy najbogatszych. Tak było w przypadku dzikiej reprywatyzacji, gdy wyrzucano lokatorów, aby zaspokoić mafię urzędniczo-prawniczą, tak bywa w przypadku deweloperów, tak jest również w przypadku strefy czystego transportu, która służy nielicznym. Miasto ma należeć do jego najbogatszych mieszkańców i przede wszystkim zaspokajać ich potrzeby. Pozostali muszą się temu podporządkować. Nie jest to zresztą fenomen Warszawy, taka jest przecież polityka PO na szczeblu całego kraju.

Platforma tłumaczy się tutaj, że wprowadzanie stref czystego transportu nie jest jej inicjatywą. Bo to rząd Morawieckiego, negocjując z Unią Europejską KPO, zgodził się na ich utworzenie. To oczywiście prawda, tyle że to był błąd poprzedniego rządu, zupełnie niepotrzebne ustępstwo, tym bardziej że Unia i tak nie zamierzała – jak dziś wiemy – dotrzymywać żadnych ustaleń. Jednocześnie jednak UE nie narzucała Polsce dokładnego kształtu stref. Nikt nie kazał samorządom tworzyć gigantycznych obszarów z zakazem wjazdu dla starszych aut. To, jak one będą wyglądać, jest więc suwerenną decyzją władz Warszawy czy Krakowa. Poza tym tylko ktoś mało rozgarnięty mógłby sądzić, że gdyby Tusk był wówczas u władzy, to sprzeciwiłby się tego rodzaju żądaniom Unii.

Podobnie jest z podatkiem od aut spalinowych, który ma zostać wprowadzony do końca tego roku. To także wymóg Unii. Jego wysokość nie jest jeszcze znana, ale wiadomo, że im auto starsze, tym podatek będzie wyższy, a to oznacza, że najbardziej uderzy po kieszeni mniej zamożnych. Warto jednak dodać, że dokładny wymiar podatku zależy od decyzji polskiego rządu. Gdyby na jego czele stał Mateusz Morawiecki, prawdopodobnie stawka byłaby najniższa z możliwych. Ale teraz nie ma takiej pewności. Ekipa Tuska nie będzie przecież miała żadnych skrupułów, aby uderzyć w uboższych, ponieważ – w jej mniemaniu – odpowiadają oni za osiem lat rządów PiS. Chyba że z powodów wyborczych uzna, że to się politycznie nie opłaca.

krak1944@gmail.com

Jak odnowić nadzieję?

Opozycja totalna (jak sama się z dumą określiła) tworzy dziś władzę totalną. To nie jest tylko władza polityczna w Polsce oparta na koalicyjnej większości sejmowej i tworzeniu rządu po wygranych wyborach. To jest także pełna kontrola nad pozostałymi gałęziami władzy. Teraz są one wszystkie razem zgięte pod jednym ciężarem – ciężarem monowładzy

ANDRZEJ NOWAK

Oprócz ustawodawczej (Sejm), wykonawczej (rząd), ten system uzupełnia władza sądownicza (wcześniej w stanie rebelii przeciw dwóm pierwszym), a także tzw. czwarta władza: nad mediami, które obecny obóz rządzący ma przynajmniej w 95 proc. po swojej stronie.

Nowy rząd ma pełne poparcie samorządów we wszystkich większych miastach w Polsce, wcześniej skutecznie frondujących władzę rządu centralnego. Ma również za sobą piątą władzę, jaką w stosunku do Polski dysponuje i z każdym rokiem coraz mocniej używa Unia Europejska oraz jej instytucje. Co bodaj jeszcze ważniejsze, rząd Donalda Tuska płynie z prądem, przeciw któremu (przynajmniej w niektórych kwestiach) próbował utrzymać Polskę rząd Zjednoczonej Prawicy. Metafora owego prądu czy nurtu odnosi się do rewolucji albo – jak kto woli – przemiany cywilizacyjnej, która zmienia świat „zachodni" zgodnie z rytmem kolejnych szaleństw ideologicznych, wcielających nowe wersje marksistowskiej walki klas (ras, płci, generacji, gatunków, natury z człowiekiem, człowieka z naturą itp.). Teraz będziemy płynąć w owym głównym nurcie szybciej. Będzie łatwiej. Łatwiej tej władzy. Wielka synergia, na którą składają się wszystkie wymienione tutaj czynniki, ułatwiają szczególny rodzaj panowania: nad słowami i ich znaczeniem, nad zbiorową wyobraźnią i emocjami.

* * *

Doskonały przykład dostarczył premier nowego rządu w telewizyjnym orędziu noworocznym. Zapowiedział w nim „pojednanie" i „odbudowę wspólnoty" przez zemstę („rozliczymy zło"). Ogłosił: „Szczęśliwej Polski już czas!". Lider partii, która zajęła nie pierwsze, lecz drugie miejsce w wyborach i zyskała poparcie 30 proc. głosujących jako szef rządu koalicyjnego opartego łącznie o mandat 53 proc. wyborców ogłasza nie tylko zawieszenie logiki, lecz także „osobiście gwarantuje" obowiązek powszechnej radości i szczęścia, także dla 47 proc. tych czynnych współobywateli, którzy nie udzielili mandatu wyborczego jego koalicji. Gwarantuje szczęście przez ukaranie, przez odebranie głosu. Przez działania takie, jak akcja siłowego „wyzwalania" TVP, Polskiego Radia, PAP, jak

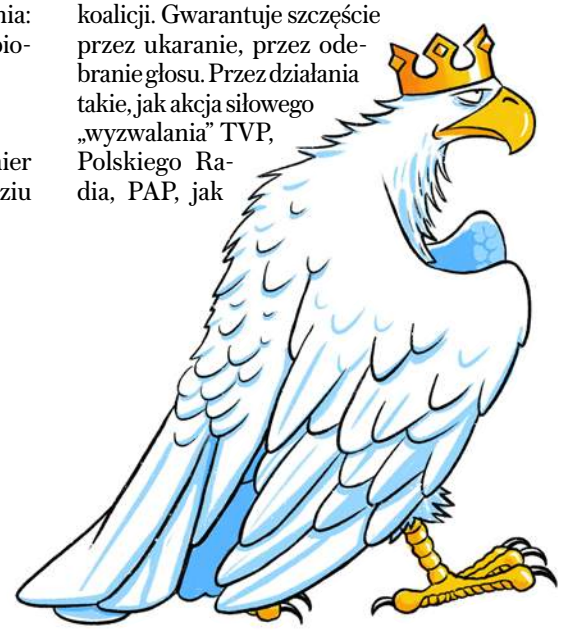

krak1944@gmail.com

przygotowywana od dawna wyprawa „mocnych ludzi" na gabinet prezesa NBP, również zapowiedziane przez obecnego premiera podważenie mandatu Prezydenta RP. „Dla mnie prezydentem jest Rafał Trzaskowski" – słowa Donalda Tuska z wiecu przed parlamentarnymi wyborami nie były rzucone na wiatr.

* * *

Tuż przed 15 października w rozmowie z Radiem Wnet pozwoliłem sobie na hipotezę, iż liderowi Koalicji nazywającej się Obywatelską nie idzie tylko o władzę zdobytą przez mandat wyborczy, lecz o wojnę domową. Niestety, hipoteza zdaje się potwierdzać. Owa wojna zaczęła się – w obecnej jej fazie – już dawno, z chwilą upokarzającej dla Donalda Tuska przegranej w starciu wyborczym o prezydenturę RP z Lechem Kaczyńskim w 2005 r. Wtedy uruchomiono przemysł nienawiści i pogardy, delegitymizujący nie tylko nowego prezydenta, ale 54 proc. ogółu polskich wyborców, którzy oddali głos na „niewłaściwego" kandydata. I tak już przez 18 lat, bez przerwy.

Choć Lech Kaczyński już zginął dawno, pod Smoleńskiem, wojna domowa była prowadzona dalej w czasie pierwszego rządu Donalda Tuska (do 2014 r.) pod hasłem „serdecznej kontroli" oraz „budowania mostów". Potem był okres ośmiu lat „opozycji totalnej". Teraz będziemy mieli „pojednanie" i „odbudowę wspólnoty".

Pierwszym sprawdzianem celu i metody nowego etapu „pojednania" stało się wykluczenie mediów, które byłyby gotowe pełnić swoją kontrolną i krytyczną funkcję wobec władzy nie tylko politycznej, lecz także sądowniczej, „nietykalnych" z europejskiego parlamentu i brukselskich komisji oraz – paradoksalnie – wobec władzy medialnej globalnych właścicieli słów i wyobraźni. To jest teraz pierwszy, można tak chyba powiedzieć, front wojny – o demokrację i wolność, o utrzymanie kontaktu ludzi z rzeczywistością. To strasznie wytarte słowa.

> Obrona prawa do rzeczywistości staje się w tej sytuacji pierwszym obowiązkiem opozycji. Sprawa jest niezwykle poważna i pilna. Potrzebna jest więc tu i teraz opozycja dobrze zorganizowana, sprawna, zdolna do skutecznego oporu przeciw totalnej władzy, która dopiero testuje granice swych możliwości

Pozwolę sobie jednak przypomnieć w tej sprawie nieuwikłane w obecną młóckę polityczną w Polsce uwagi sprzed lat Barbary Toporskiej, znakomitej pisarki (towarzyszki życia Józefa Mackiewicza): „Demokracja nie rozstrzyga sporu o rację, ale też nie neguje istnienia racji i znaczenia poszukiwań racji. Stąd wywodzą się prawa opozycji partyjnej i indywidualnej. [...] Wolność słowa nie jest do szczęścia potrzebna ogromnej większości ludzi. Ale jest potrzebna społeczeństwu, i to nie tylko kulturze, lecz jak najbardziej polityce, gdzie błędy zdarzają się częściej, wychodzą na wierzch szybciej, a płacą za nie wszyscy. Więc o czym rozstrzyga większość? Jedynie o tym, kto będzie rządził do następnych wyborów, które nie zadecydują, kto miał czy ma rację w sporze, ale tylko: kto dostał mandat do administrowania interesami państwa przez następną kadencję. [...] Bez rzetelnej informacji demokracji nie ma. Najbardziej tajne i nieskrępowane wybory są fikcją przy zatajeniu przed opinią publiczną tego, co się dzieje. [...] We wszystkich sporach można znaleźć platformę kompromisu lub przynajmniej wzajemnego szacunku. Oprócz sporów o rzeczywistość. [...] Zdrową opinię publiczną poznaje się po tym, że nikt nie potrzebuje odwagi cywilnej do wypowiadania swoich własnych sądów".

Obrona prawa do rzeczywistości staje się w tej sytuacji pierwszym obowiązkiem opozycji. Sprawa jest niezwykle poważna i pilna. Potrzebna jest więc tu i teraz opozycja dobrze zorganizowana, sprawna, zdolna do skutecznego oporu przeciw totalnej władzy, która dopiero testuje granice swych możliwości.

* * *

Zarazem jednak ta sama opozycja nie może odkładać pytania o to, dlaczego otwarła drogę do sytuacji, w której się znaleźliśmy? Bez takiego rachunku sumienia, a także wynikających z niego zmian w sposobie działania, trudno sobie wyobrazić sukces tej opozycji w kolejnych wyborach. Pod tym względem kluczowe będą (tak jak były 20 i 10 lat wcześniej) już wybory prezydenckie w 2025 r. Czasu nie jest więc dużo.

Nie wiemy, czy zewnętrzne siły, zainteresowane dalszym ograniczeniem suwerennych możliwości Polski lub jej całkowitym uprzedmiotowieniem (o czym wprost mówią nasi wschodni sąsiedzi) i korzystające z jej systematycznego osłabienia wojną domową, pozwolą nam jeszcze na swobodny wybór. Powinniśmy teraz jednak działać tak, jakbyśmy ten wybór mieli. I walczyć o jego zachowanie na przyszłość.

krak1944@gmail.com

* * *

Powtórzmy: pierwszym krokiem w stronę przywrócenia nadziei na skuteczność działania jest naprawa własnych błędów. Niezwykle celnie wskazał na tę potrzebę prof. Andrzej Waśko w powyborczej analizie na łamach najnowszego numeru dwumiesięcznika „Arcana". Tu przytoczę tylko najważniejsze składniki jego diagnozy. 15 października, jak pisze, sfalsyfikował trzy tezy, na których rząd Zjednoczonej Prawicy budował swoją strategię: 1. najważniejsza dla wyborców jest gospodarka; 2. wybory wygrywa się w Końskich (więc możemy całkowicie zlekceważyć mieszkańców wielkich miast, tzw. inteligencję, cokolwiek teraz to słowo znaczy); 3. ten wygrywa wybory, kto dobrze rządzi. To były trzy iluzje.

Co wobec tego stanowiło źródło strategicznego niepowodzenia? „Walczyliśmy z Putinem, z Niemcami i z Targowicą – ale przegraliśmy z dziećmi, które zostały uprowadzone przez upolityczniony show-biznes", pisze prof. Waśko. Można więc wszystko zwalić na „cywilizacyjną zmianę"? Owszem, ona jest faktem i potężnym czynnikiem, wpływającym na polityczny dryf Zachodu. Nie znaczy to jednak, że nic nie można zrobić. Trzeba, po pierwsze: starać się, po drugie: nauczyć się pozyskiwać wciąż nowych zwolenników, nawet w takich, niewątpliwe trudnych dla prawdy, powagi i racjonalnej argumentacji, czasach.

Osiem ostatnich lat nie zostało pod tym względem w pełni wykorzystanych. Nie wsparto skutecznie żadnych projektów, które pozwoliłyby zbudować silne, niezależne od władzy politycznej, ośrodki medialne, zdolne konkurować z największymi telewizjami czy portalami, które „uprowadziły" umysły i wyobraźnię nie tylko dzieci, lecz także większości dzisiejszych 40-, 50-latków. Ważniejsze jednak było jeszcze coś innego, coś, co Andrzej Waśko nazywa sanacyjną postawą („dla Polaków można zrobić wszystko – z Polakami nic"): „technokratyczna metoda, przejęta z rynku reklamy, przedstawiania partii rządzącej jako »firmy«, świadczącej usługi dla Polaków. Dla Polaków nie jako obywateli, tylko jako klientów, którzy mają na tę firmę głosować dlatego, że ona ich lepiej obsłuży".

Pozwolę sobie powtórzyć nie tylko część diagnozy, lecz także konkluzji redaktora naczelnego „Arcanów": „Konieczne są praktyczne posunięcia – nie hasła – zmierzające do odbudowy porozumienia wewnątrz patriotycznej części społeczeństwa. Trzeba ograniczyć wodzowski monolog i wrócić do dialogowej formy stosunków wewnątrz własnego obozu. Ludziom potrafiącym myśleć politycznie i aktywnym trzeba dać poczucie, że mogą realnie partycypować w pracy dla Polski. Trzeba takich ludzi szukać wszędzie, bo wszędzie oni są. Także w miastach, wśród pracowników nauki, kultury i oświaty, wśród studentów i młodzieży. Trzeba efektywnie spolaryzować te środowiska pod względem instytucjonalnym, to znaczy wielkiej falandze lewicowo-liberalnych koterii, mediów i organizacji pozarządowych, które potrafią uwodzić młodzież i zastraszać władze uniwersytetów, przeciwstawić nowe ośrodki naszej własnej samoorganizacji".

* * *

Jak to jednak zrobić, kiedy cała opozycja (z wyjątkiem tych, którzy zgodzą się przyjąć rolę koncesjonowanych „reprezentantów prawicy" na salonach łaskawej władzy) jest wypychana poza obszar publicznego działania? Od czego zacząć? Na czym skupić wysiłki, by nie dać się usunąć z tego obszaru? Skorzystajmy z podpowiedzi, jakiej udzielić mogą niedawno opublikowane wyniki badania Laboratorium Poznania

Fot. KPRM, Shutterstock

krak1944@gmail.com

Politycznego Instytut Psychologii PAN: „Czy i jak identyfikujemy się z Polską?". Solidne badanie na reprezentatywnej próbie 1504 Polek i Polaków w wieku 18–96 lat ujawniło grupę, 14 proc. badanej próby, określonych jako „Zawstydzeni Polską". Inne wyróżnione grupy to: „Spełnieni Demokraci" (20 proc.), „Otwarci Tradycjonaliści" (23 proc.), „Zaangażowani Konserwatyści" (15 proc.) oraz – szczególnie liczni – „Wycofani Pesymiści" (28 proc.).

Weźmy pod uwagę najliczniejszą grupę: „Wycofanych Pesymistów". Zgodnie z analizą wyników tego badania „są to osoby raczej skoncentrowane na własnym, codziennym życiu niż na sprawach kraju". To najmłodszy z wyróżnionych segmentów, w którym najwięcej jest osób aktywnych zawodowo. Rząd 13 grudnia nie mógłby powstać tylko dzięki milionom oddanych dwa miesiące wcześniej głosów „Zawstydzonych Polską" (tych, którzy potwierdzają hasło lidera: „polskość to nienormalność") oraz „Spełnionych Demokratów". Potrzebne mu były głosy także jakiejś części „Otwartych Tradycjonalistów" oraz właśnie „Wycofanych Pesymistów". Tych ostatnich „totalnej opozycji" udało się zmobilizować, by w ogóle poszli do urn wyborczych. To, że głosowali za zmianą przeciwko władzy trwającej już od ośmiu lat, można zrozumieć wręcz jako naturalny odruch wśród zniechęconych, niezainteresowanych uważną obserwacją życia publicznego. Teraz, jak sądzę, ta grupa będzie nie mniej liczna niż przed wyborami 15 października. Jakość i praktyczne skutki rządów Donalda Tuska dla tzw. zwykłych ludzi można było poznać już w latach 2007–2015. Obiecywane podwyżki zapewne nadejdą szybko, nie tylko zarobków nauczycieli, ale jeszcze większe – cen, a prawdopodobnie także wieku emerytalnego. Emocji związanych ze społecznymi skutkami tak realizowanych rządów nie uda się raczej w całości zneutralizować „serdeczną kontrolą" rządu i jego propagandystów. W następnych wyborach parlamentarnych, a może nawet już w tych prezydenckich z 2025 r. „Wycofani Pesymiści" mogą nie wziąć tak licznie udziału, a w każdym razie mała wydaje się szansa, by z entuzjazmem poparli obóz rządzący i jego kandydatów. Dla obecnej opozycji istotne jest pytanie, czy będzie umiała dotrzeć do tej, prawdopodobnie rosnącej, grupy potencjalnych wyborców, dać im nadzieję, że warto jednak zagłosować: za zmianą.

Nie wiem, ilu jest „Otwartych Tradycjonalistów" w gronie wyborców Trzeciej Drogi (z PSL), ale musiało ich być dostatecznie dużo, by zapewnić tej formacji ponad 3 mln głosów. Nie wiem też, jak wyglądają proporcje między „otwartością" a „tradycjonalizmem" w tej grupie i jak będą wyglądały w czasie kolejnych wyborów, ale wydaje mi się, że o ile tradycja (polska, chrześcijańska) zachowa u części tych wyborców istotne znaczenie, o tyle trudno będzie ją pogodzić już po kilkunastu miesiącach realizowania wspólnej polityki z ministrami Joanną Scheuring-Wielgus, Krzysztofem Śmiszkiem, Adamem Bodnarem, Katarzyną Kotulą (ministra ds. równości). Trzeba będzie wybierać. I tu potrzebna jest wiarygodna oferta obecnej opozycji dla tej grupy wyborców.

Wreszcie 1,5 mln głosów oddanych na Konfederację. Jeśli ktoś największe zagrożenie dla Polski (czy też okazję do autopromocji) widzi w chanukowych świecach, to oczywiście o porozumienie jest trudno. Wśród wyborców Konfederacji większość tworzą jednak z pewnością ludzie, którym nie tylko własne dobro, ale również wspólne – Polski – leży na sercu. Racjonalnie oceniając rzeczywistość, już po kilkunastu miesiącach „serdecznej kontroli", którą otoczy ich nowa władza, będą mogli dojść do przekonania, że warto szukać porozumienia z pozostałą, większą częścią opozycji. Oczywiście pod warunkiem, że owa opozycja będzie gotowa do współpracy.

By dotrzeć do nowych zwolenników i nie stracić dotychczasowych, potrzebna jest umiejętność grania skrzydłami. W sytuacji wojny totalnej, którą nowa władza wydaje cieszącej się największym poparciem wyborców formacji politycznej i blisko 8 mln jej wyborców, potrzebna jest gotowość do ostrej, twardej walki o praworządność, o wolność słowa, o demokrację, o Polskę

* * *

By dotrzeć do nowych zwolenników i nie stracić dotychczasowych, potrzebna jest umiejętność grania skrzydłami. W sytuacji wojny totalnej, którą nowa władza wydaje cieszącej się największym poparciem wyborców formacji politycznej i blisko 8 mln jej wyborców, potrzebna jest gotowość do ostrej, twardej walki o praworządność, o wolność słowa, o demokrację, o Polskę. I ludzie, którzy są gotowi taką walkę organizować i prowadzić w pierwszym szeregu. Tacy jak prof. Przemysław Czarnek czy dr Patryk Jaki. Potrzebni są jednocześnie inni ludzie, którzy będą potrafili przyciągać wspomnianych wyżej wyborców – m.in. tych, którzy udzielili swego poparcia koalicji KO-Trzecia Droga-Nowa Lewica, nie zakładając być może, iż będzie to koalicja 13 grudnia. Potrzebni są ludzie, którzy staną się nie tylko nowymi twarzami, lecz także, ośmielę się napisać, świeżymi umysłami obozu patriotycznego, zdolnymi trafić także do nowych, młodszych wyborców. Tacy jak np. Kacper Płażyński. Tylko tacy ludzie będą mogli skutecznie walczyć o większość głosów w wyborach prezydenckich.

Trzeba jednak, po pierwsze, nie stracić nadziei. Nie dać się zepchnąć do tej kategorii, którą dobrze określa nazwa „Wycofani Pesymiści". Przeciwnie, należy wykrzesać z siebie, a raczej z zasobów polskiej kultury, tradycji, wiary to przekonanie, że o Rzeczypospolitej nigdy nie wolno desperować, że można odnowić jej siłę przyciągającą. Tak jak to już nie raz bywało. Po drugie, dojrzeć do świadomości, że wciąż trzeba się zmieniać, by obronić to, co niezmienne. Ludzie się zmieniają w sztafecie pokoleń, Polska jest wieczna.

krak1944@gmail.com

Europa posiłkiem Putina

Aby europejscy członkowie NATO byli w stanie samodzielnie zadbać o własne bezpieczeństwo, musieliby rocznie wydawać na siły zbrojne o 431 mld dol. więcej

MAREK BUDZISZ

Sauli Niinistö, prezydent Finlandii, w noworocznym przemówieniu powiedział, że „Europa musi się obudzić" i doprowadzić do sytuacji, w której za bezpieczeństwo kontynentu w większym niż dotychczas stopniu będą odpowiadać zamieszkujące ją narody. Rosja, jak zauważył, nigdy nie jest tak słaba, na jaką wygląda, ani tak silna, jak chciałaby, aby ją postrzegać. A to jego zdaniem, zwłaszcza wobec trwającej wojny na Ukrainie, oznacza, że jeszcze wiele może się wydarzyć.

W przeprowadzonym przed końcem roku wywiadzie dla tygodnika „The Economist" Wołodymir Zełenski przestrzegał Europę przed Putinem, który „wyczuwa słabość jak zwierzę" i który, jeśli wygra na Ukrainie, „zje was na obiad z całą waszą Unią Europejską, NATO, wolnością i demokracją". Ukraiński prezydent niedwuznacznie dał w ten sposób do zrozumienia, że to, w jaki sposób i kiedy zakończy się wojna na Ukrainie, z pewnością będzie miało zasadniczy wpływ na przyszłość całego kontynentu.

ZACHODNIA GRA NA ROZEJM

Dziennikarze „The Financial Times", formułując prognozy na 2024 r., napisali, że najprawdopodobniej Stany Zjednoczone i Europa będą w stanie przełamać obecny impas w kwestii kontynuowania pomocy dla Ukrainy, lecz nie zmienia to faktu, że Kijów przez cały rok będzie „pod rosnącą presją" sojuszników, aby rozpocząć rozmowy z Rosją. Wydaje się, że już mamy do czynienia z tego rodzaju zjawiskiem, a nawet, jak napisał Michael Hirsch na portalu politico.com, administracja Bidena po cichu rewiduje swą dotychczasową strategię wobec Kijowa. Jest on zdania, a powołuje się na rozmowy z anonimowymi, wysokiej rangi przedstawicielami administracji i dyplomatami państw europejskich rezydującymi w Waszyngtonie, że o ile do niedawna w otoczeniu Bidena myślano o zwycięstwie w wojnie i „strategicznej porażce" Rosji, o tyle obecnie coraz częściej słychać głosy opowiadające się za negocjacyjnym, kompromisowym zakończeniem konfliktu. Coraz częściej myśli się też o konieczności przejścia sił ukraińskich do obrony, budowie niezbędnych fortyfikacji i umocnień, a także o konieczności wzmocnienia obrony przeciwlotniczej, tak aby Rosjanie nie byli w stanie atakować celów na tyłach.

Dziś Ukraina pilnie potrzebuje mobilizacji. Na front, zgodnie ze stanowiskiem Sztabu Generalnego, w ciągu następnych kilkunastu tygodni powinno

Fot. Shutterstock

krak1944@gmail.com

trafić 450–500 tys. świeżych żołnierzy. „Jeśli tempo mobilizacji będzie takie samo jak obecnie, to biorąc pod uwagę siłę żywą, odporności wystarczy nam na 4–5 miesięcy – powiedział dziennikarzom tygodnika „NV" przedstawiciel ukraińskiego wywiadu. – A potem zaczną się załamania na froncie. Już obecnie średni poziom ukompletowania brygad walczących na wszystkich kierunkach wynosi 60 proc., a w niektórych przypadkach nawet 45 proc." Jednak Zełenski zwleka z podjęciem decyzji, bo, jak powiedział politolog Wołodymyr Fesenko, jeśli spadnie intensywność walk i wojna będzie miała taki charakter jak w Donbasie po 2015 r., to wówczas wzrośnie presja, zarówno sojuszników, jak i społeczeństwa, na przeprowadzenie wyborów prezydenckich, a niewykluczone, że również do Rady Najwyższej. Na Ukrainie zacznie się cykl wyborczy i dlatego Zełenski waha się, czy podjąć niepopularną decyzję o ogłoszeniu powszechnej mobilizacji.

PIENIĄDZE NA SIŁY ZBROJNE

Wybory, a 2024 jest rokiem wyborczym w wymiarze globalnym, w którym połowa ludności naszej planety pójdzie do urn, niewątpliwie odcisną swe piętno na skłonności polityków do podejmowania trudnych decyzji. Niestety, zapewne negatywne.

Jesienią będą głosować mieszkańcy trzech niemieckich wschodnich landów, w których Alternatywa dla Niemiec jest silna, a w Saksonii wyszła nawet w ostatnich sondażach na pierwsze miejsce w rankingu popularności, zdobywając 37 proc. poparcia w sytuacji, kiedy SPD kanclerza Scholza ma 3 proc. zwolenników. Wcześniej, w czerwcu, będziemy mieć wybory do Parlamentu Europejskiego i już obecnie liberalne media alarmują, że mandat może uzyskać rekordowa liczba posłów z partii konserwatywnych i eurosceptycznych. Walka o to, w którą stronę pójdzie Unia Europejska – czy będzie kontynuowała marsz ku federalizacji, czy proces ten zwolni – z pewnością nasili się w kolejnych miesiącach. To również nie będzie sprzyjało podejmowaniu przez polityków państw europejskiego Zachodu trudnych decyzji o cięciu programów socjalnych i przeznaczeniu większych pieniędzy na siły zbrojne. A sytuacja, zwłaszcza w Niemczech, jest w tym obszarze dramatyczna.

Po niedawnym porozumieniu podpisanym przez niemieckiego ministra obrony Borisa Pistoriusa w Wilnie, przewidującym dyslokację brygady Bundeswehry do dwóch baz na Litwie w niezbyt ambitnym terminie 2028 r. (najprawdopodobniej bez sprzętu pancernego, bo ten musi dopiero zostać wyprodukowany), głos zabrał gen. Alfons Mais, główny inspektor niemieckich sił zbrojnych. W liście, który ujawnił tygodnik „Der Spiegel", napisał, że aby skompletować brygadę celem wysłania jej na Litwę, niemiecka armia będzie musiała „pożyczać" ludzi i sprzęt z wielu jednostek, w wyniku czego jej poziom gotowości do działań operacyjnych spadnie z obecnych 60 proc. do 55 proc. Notabene Amerykanie uznają, że armia na poziomie gotowości poniżej 70 proc. jest w gruncie rzeczy niezdolna do walki. Bundeswehra potrzebuje dziś pieniędzy i odważnych, strategicznych decyzji, związanych choćby z wieloletnimi zamówieniami dla wojska. Rząd Scholza nie jest jednak zdolny do ich podjęcia i ma problemy z wywiązaniem się z przyjętych jeszcze w 2014 r. zobowiązań wydawania na bezpieczeństwo 2 proc. PKB.

> Stwierdzenia premiera Donalda Tuska, że Koreańczycy wycofali się z kredytowania drugiej fazy zakupów ich sprzętu, co stawia cały projekt pod znakiem zapytania, w koreańskich mediach zostały przyjęte ze zdziwieniem

Jest to o tyle istotne, że, jak napisali niedawno analitycy RAND, siła gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy zależy od zdolności Europejczyków. W ich opinii Stany Zjednoczone, mające na naszym kontynencie obecnie dwie brygady sił lądowych, w związku z sytuacją na świecie raczej nie zwiększą swego zaangażowania, a to oznacza, że europejscy sojusznicy będą musieli dać więcej od siebie. Na Bałtyku już zawiązała się koalicja państw morskich, do której weszli Skandynawowie, Bałtowie, Wielka Brytania i Holandia. Okręty tych państw zwiększają swoją aktywność na tym akwenie, przede wszystkim po to, aby chronić po ostatnich incydentach infrastrukturę krytyczną, podmorskie kable i rurociągi.

Jeśli jednak mowa o gwarancjach dla Kijowa, to w amerykańskich środowiskach eksperckich coraz częściej pojawiają się głosy o konieczności zwiększenia zaangażowania Europy. Kurt Volker, były specjalny wysłannik Donalda Trumpa, obecnie zaangażowany w działalność The Atlantic Council, napisał, że zamrożenie konfliktu na Ukrainie w ramach najbardziej prawdopodobnego scenariusza koreańskiego będzie wymagało znaczącego wzmocnienia obrony powietrznej kraju, po to, aby mogła się zacząć odbudowa i z emigracji mogło wrócić niemal 10 mln obywateli, którzy wyjechali po wybuchu wojny. W opinii Volkera taki scenariusz zakłada dyslokowanie zachodniego sprzętu oraz obsługi systemów ochrony przestrzeni powietrznej. A to będzie oznaczało, że niedługo, zapewne jeszcze przed waszyngtońskim szczytem NATO, państwa Europy, w tym Polska, staną przed dylematem, czy wysłać własnych żołnierzy na Ukrainę. Eksperci RAND wręcz proponują rozpoczęcie polsko-amerykańskich patroli na linii frontu po zamrożeniu konfliktu, w które miałyby być zaangażowane, po tym, jak je otrzymamy, nasze F-35. Inna z propozycji gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy oznacza wysłanie tam jednej, może nawet dwóch brygad sił lądowych, głównie sformowanych przez państwa europejskie.

krak1944@gmail.com

Pytanie tylko, kto oprócz Polski będzie w stanie wnieść kontrybucję do tego kontyngentu, skoro Bundeswehra ma problemy z wysłaniem brygady na Litwę, Brytyjczycy posiadają najmniej liczną armię od początku XVIII w., a Francuzi mają zamiar wydawać więcej na siły zbrojne, lecz głównie na swój potencjał jądrowy, lotnictwo i marynarkę wojenną, a nie siły lądowe.

EUROPA I TAK ZAPŁACI

Te niełatwe decyzje trzeba będzie podjąć albo przed najbliższym szczytem NATO w Waszyngtonie, który odbędzie się latem tego roku, albo po amerykańskich wyborach, które ma szansę wygrać Donald Trump. W jego otoczeniu popularność zyskuje koncepcja „uśpionego NATO" prof. Sumantry Maitry z Center for Renewing America, która nie przewiduje porzucenia strategicznego Europy przez Stany Zjednoczone, lecz akcentuje potrzebę „przesunięcia ciężarów" w zakresie bezpieczeństwa i wyznaczenia precyzyjnego terminu, po upływie którego będziemy musieli w zakresie bezpieczeństwa liczyć na nasze siły.

Jak przypomniał niedawno Niall Ferguson, znany brytyjski historyk, w czasie zimnej wojny państwa Europy Zachodniej były w stanie wydawać na swe siły zbrojne znacznie więcej niż obecnie, średnio nawet 5,8 proc. swego PKB, choć w przypadku Niemiec było to 3,5 proc. Jeśli Stany Zjednoczone skoncentrują się na rywalizacji w rejonie Indo-Pacyfiku, co też proponują eksperci i politycy republikańscy, i zamrożą skalę swej obecności wojskowej w Europie, to wówczas członkowie NATO z naszego kontynentu będą musieli się oswoić z myślą o wydawaniu na armię, zwłaszcza wobec narastającej agresywności Rosji, podobnych środków, co w latach 1949–1989.

O jakich pieniądzach mówimy? Ferguson napisał, że aby europejscy członkowie NATO byli w stanie samodzielnie zadbać o własne bezpieczeństwo w obliczu zmniejszenia zaangażowania amerykańskiego, to wówczas musieliby rocznie wydawać na siły zbrojne o 431 mld dol. więcej. W przypadku Wielkiej Brytanii byłoby to o 124 mld, Francji 97 mld, a Niemiec 96 mld dol. więcej. Czy są w stanie tyle wydawać? W świetle dzisiejszych ograniczeń budżetowych, wielkości długu publicznego i marzeniach o zielonej transformacji jest to niemożliwe. Europa i tak jednak zapłaci. Jeśli Ukraina upadnie, to, jak zauważył brytyjski historyk, można się spodziewać napływu kolejnej fali uchodźców. Dziś szacuje się, że może to być nawet 4,5 mln osób, których utrzymanie i adaptacja do nowych realiów będzie rocznie kosztować nawet 58 mld euro. Z ekonomicznego punktu widzenia Europie opłaca się wspierać opór Ukrainy, bo konsekwencje jej upadku będą znacznie droższe.

TUSK I KONTRAKTY ZBROJENIOWE

W tym kontekście warto poruszyć jeszcze jedną kwestię, a mianowicie stwierdzenie premiera Donalda Tuska, który przed świętami powiedział, że „pojawił się problem" w kwestii finansowania zakupów przez Polskę sprzętu z Korei Południowej. Zdaniem obecnego szefa rządu Koreańczycy wycofali się z kredytowania drugiej fazy zakupów ich sprzętu, co stawia cały projekt pod znakiem zapytania. W koreańskich mediach tego rodzaju deklaracje zostały przyjęte ze zdziwieniem, co jest zresztą zrozumiałe, jeśli nieco wgłębić się w stan spraw. Otóż druga faza zakupów jest związana ze „spolszczeniem" technologii dostarczonych przez Koreańczyków, rozpoczęciem w Polsce produkcji części zamiennych do czołgów K2 czy haubic K9A1, które zresztą docelowo miałyby być wytwarzane w Polsce. To w naszym interesie leży wykonanie tych umów, Koreańczycy zapewne woleliby się ograniczyć wyłącznie do kontraktów o charakterze handlowym.

Tym bardziej że ich pozycja na światowym rynku broni znacząco się zmieniła w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy z 31. miejsca awansowali na 9. lokatę w rankingu producentów. W związku z wojną na Ukrainie i pogarszającą się sytuacją w innych punktach świata – jak niedawno donosili dziennikarze „Financial Times" – zamówienia na broń wzrosły w skali globalnej o 10 proc. Rynek został zdominowany przez producentów, których akcje w ostatnim roku szybko rosły, i tak w przypadku niemieckiego Rheinmetal ich wartość od kwietnia 2022 r. niemal się potroiła. Następują też przesunięcia, bo Rosjanie nie są w stanie wywiązywać się z podpisanych przed wojną kontraktów. Ci, którzy mogą relatywnie szybko dostarczyć znaczące ilości dobrego jakościowo sprzętu, tak jak koreańska Hanwha, zyskują.

A to oznacza, że w obecnych warunkach, zarówno jeśli brać pod uwagę koleje wojny na Ukrainie, jak i sytuację na światowym rynku broni, pomysł, aby renegocjować zawarte kontrakty i domagać się jeszcze lepszych warunków ich finansowania, jest mało realistyczny, by nie napisać – szaleńczy. Zwłoka w realizacji umów, wahania po stronie dostawców czy poszukiwanie lepszych możliwości finansowania kontraktów będzie prowadziło do zmniejszenia tempa odbudowy zdolności polskich sił zbrojnych. A na to, by zwiększyć siłę odstraszania Rosji, mamy, jak niedawno napisali eksperci niemieckiego think tanku DGPA, od czterech do dziewięciu lat. Warunkiem naszej skuteczności jest zwiększenie możliwości naszej armii, a nie spowolnienie tego procesu. Jeśli tego nie zrobimy, to w obliczu opieszałości naszych sojuszników, negatywnych trendów w Stanach Zjednoczonych i słabnięcia siły oporu Ukrainy możemy stanąć oko w oko z Putinem, który, o czym warto pamiętać, „jak zwierzę wyczuwa słabość".

krak1944@gmail.com

GRZEGORZ GÓRNY

„Mafia z Sankt Gallen” i kulisy wyboru Franciszka

Żeby zrozumieć, jak narodził się program obecnego pontyfikatu, musimy poznać działalność nieformalnej grupy kardynałów, która spotykała się potajemnie w jednym z klasztorów w Szwajcarii

Kiedy 13 marca 2013 r. kard. Jorge Mario Bergoglio z Buenos Aires został wybrany na papieża, zapewne niewielu przypuszczało, jak rewolucyjny będzie to pontyfikat. Do dziś zresztą program Franciszka stanowi prawdziwą zagadkę dla wielu katolików, którzy co rusz zaskakiwani są jego decyzjami, nie potrafiąc zrozumieć źródeł takiego postępowania. W rzeczywistości dzisiejszy zwierzchnik Kościoła realizuje tylko konsekwentnie przygotowany plan działania, odsyłający nas do grupy wysokich rangą duchownych katolickich, którzy zaczęli się potajemnie spotykać w 1996 r. w pewnym klasztorze w Szwajcarii. Dociekliwe śledztwo w tej sprawie przeprowadziła amerykańska dziennikarka Julia Meloni, a wyniki swego dochodzenia przedstawiła w książce pt. „Mafia z Sankt Gallen. Spisek kardynałów”.

MAFIJNY KLUB POD WEZWANIEM ŚW. GALLA

Wiele osób słysząc o grupie potajemnie gromadzących się kardynałów, nazwanej na dodatek mafią, mogłoby pomyśleć, że ma do czynienia ze spiskową teorią dziejów, zrodzoną w umyśle jakiegoś nawiedzonego sensata. Można by było tak uważać, gdyby nie fakt, że istnienie owego sekretnego gremium ujawnił publicznie jeden z jego członków.

Fot. Riccardo De Luca - Update / Shutterstock.com

krak1944@gmail.com

23 września 2015 r. w Narodowej Bazylice Najświętszego Serca w Brukseli odbyła się promocja autoryzowanej biografii kard. Godfrieda Danneelsa. Belgijski dostojnik opowiedział wówczas, że należał do grupy hierarchów katolickich, którzy latami zbierali się potajemnie w klasztorze Fischingen niedaleko Sankt Gallen na zaproszenie tamtejszego abp. Ivo Fürera. Oprócz niego do grona wtajemniczonych należeli m.in. kardynałowie: Carlo Maria Martini i Achille Silvestrini z Włoch, Walter Kasper i Karl Lehmann z Niemiec czy Basil Hume i Cormac Murphy-O'Connor z Anglii. Śmiejąc się na wspomnienie tamtych wydarzeń, były prymas Belgii skomentował owe sekretne spotkania słowami: „Byliśmy mafijnym klubem pod wezwaniem św. Galla" (patrona miasta Sankt Gallen).

Jaki cel stawiała przed sobą owa nieformalna grupa? Otóż skupiała ona hierarchów, którym nie podobał się styl sprawowania posługi papieskiej przez Jana Pawła II oraz dogmatyzm teologiczny i moralny jego najbliższego współpracownika, kard. Josepha Ratzingera. Uważali oni, że Kościół potrzebuje radykalnych zmian w duchu postępu i oświecenia. W pewnym momencie doszli do wniosku, że tak hierarchiczną strukturę jak Kościół można zmienić tylko w jeden sposób: poprzez swojego papieża. Początkowo myśleli o kard. Martinim, który był faktycznym przywódcą „mafii z Sankt Gallen", jednak na przełomie stuleci zdiagnozowano u niego chorobę Parkinsona, która wykluczała go z grona „papabili". W tej sytuacji – jak wspominał kard. Danneels – w 2002 r. grupa zdecydowała się postawić na kard. Jorge Maria Bergoglia jako przyszłego papieża. Następne trzy lata zajęło im dyskretne promowanie jego kandydatury wśród członków kolegium kardynalskiego.

Gdy po śmierci Jana Pawła II w 2005 r. doszło do konklawe, głównym konkurentem Josepha Ratzingera okazał się właśnie ówczesny metropolita Buenos Aires. W jednym z głosowań uzyskał drugi wynik, otrzymując 40 głosów. Ostatecznie jednak na Tron Piotrowy wybrano purpurata z Niemiec. Wydawało się, że kard. Bergoglio, który w 2011 r. skończył 75 lat i przeszedł na emeryturę, nie ma już szans na objęcie urzędu papieża. A jednak niespodziewana rezygnacja Benedykta XVI w 2013 r. otworzyła przed argentyńskim hierarchą drogę do najwyższej funkcji w Kościele.

„DRUŻYNA BERGOGLIA" PODCZAS KONKLAWE

Jako jedni z pierwszych o grupie z Sankt Gallen (nie nazywając jej jednak „klubem mafijnym", co zapoczątkował dopiero kard. Danneels) pisali dwaj flamandzcy dziennikarze Jürgen Mettepenningen i Karim Schelkens, autorzy autoryzowanej biografii byłego prymasa Belgii. O sprawie wspominał też w biografii Franciszka pt. „Prorok" brytyjski pisarz i publicysta Austen Ivereigh. Przez lata był on bliskim współpracownikiem i rzecznikiem prasowym jednego z członków „mafii z Sankt Gallen", kard. Cormaca Murphy'ego-O'Connora, więc miał informacje o inicjatywach grupy z pierwszej ręki. On też wspomniał, że do pierwszego spotkania nieformalnego gremium z metropolitą Buenos Aires doszło w maju 2001 r., podczas nadzwyczajnego konsystorza w Rzymie.

Jak opisywał Ivereigh, do konklawe w 2013 r. „drużyna Bergoglia" była przygotowana już lepiej niż w 2005 r. Jej członkowie „wzięli się do pracy, krążąc po kardynalskich przyjęciach, promując swojego człowieka i tłumacząc, że 76 lat to już nie przeszkoda, skoro papieże mogą składać rezygnacje. Zrozumiawszy w 2005 r. dynamikę konklawe, wiedzieli, że głosy przepływają do tego, kto ma silne poparcie od samego początku. Ich celem było zagwarantowanie Bergogliowi przynajmniej 25 głosów w pierwszym głosowaniu. Stary włoski kardynał [Achille Silvestrini – przyp. red.] miał jeszcze przed konklawe spisane głosy, na które mogą liczyć". Szczególnie aktywny w tamtych dniach był kard. Murphy-O'Connor, który z powodu wieku nie mógł już brać udziału w wyborze papieża, jednak przed rozpoczęciem konklawe zdołał pozyskać dla Argentyńczyka przychylność purpuratów z krajów anglojęzycznych.

O działaniach członków grupy z Sankt Gallen podczas owego konklawe Ivereigh pisał: „Nauczyli się czegoś w 2005 r. Najpierw zapewnili sobie zgodę Bergoglia. Zapytany, czy chce, odrzekł, że – o czym jest przekonany – w tym czasie kryzysu Kościoła żaden kardynał nie odmówi, jeśli go poproszą. Lobbing był tak silny, że jeden z kardynałów biorących udział w elekcji opowiadał mi potem, że wchodząc do Kaplicy Sykstyńskiej, wręcz czuło się, że wybór może być tylko jeden: Jorge Mario Bergoglio".

ZAMIESZANIE WOKÓŁ ELEKCJI

Kiedy biografia Franciszka „Prorok" wyszła drukiem, ujawniając rolę, jaką odegrała „mafia z Sankt Gallen" w wyborze metropolity Buenos Aires na papieża, wybuchła medialna burza. Watykaniści zaczęli przywoływać przepisy z konstytucji apostolskiej Jana Pawła II „Universi Dominici gregis" z 1996 r., która regulowała przebieg konklawe. Zabraniała ona „pertraktować za życia Papieża i bez konsultacji z nim w sprawie wyboru jego Następcy lub obiecywać głosy czy podejmować decyzje w tym względzie w grupach prywatnych". Zakazywała też elektorom „wszelkich form pertraktacji, uzgodnień, obietnic lub innych zobowiązań jakiegokolwiek rodzaju, które mogłyby zmusić ich do dania lub odmówienia głosu na jednego lub tylko niektórych". Dokument groził, iż każdy, kto uczestniczy w tego rodzaju praktykach, podlega karze ekskomuniki.

W tej sytuacji członkowie „mafii z Sankt Gallen" zaczęli publicznie zaprzeczać relacji Ivereigha, jakoby prowadzili kampanię na rzecz Bergoglia, posiadając jego uprzednią zgodę. Tłumaczyli też, że swą działalność jako nieformalna grupa zakończyli w 2005 r., zaś po wyborze Benedykta XVI zaprzestali swej aktywności. Sam Ivereigh, mimo że wcześniej twierdził coś innego, zaczął przepraszać, iż wprowadził swych czytelników w błąd. Oświadczył, że nie odpowiada prawdzie to, co napisał w książce, iż kardynałowie zwrócili się wcześniej do Argentyńczyka z pytaniem o zgodę. Gdy ukazało się drugie wydanie biografii Franciszka, autor dokonał w nim zmian, usuwając wszystkie fragmenty, które mogłyby sugerować, że wspomniane grono prowadziło nielegalną kampanię na rzecz swojego kandydata.

krak1944@gmail.com

Z punktu widzenia ważności wyboru nie ma jednak znaczenia, czy poprzedziły go praktyki zabronione przez Jana Pawła II. Zgodnie ze wspomnianą konstytucją „Universi Dominici gregis" nawet jeśli doszło do świętokupczej elekcji, która została naznaczona symonią, nie skutkuje to nieważnością wyboru. Głosowanie jest ważne nawet wtedy, gdy zostało poprzedzone zakazanymi układami, porozumieniami, obietnicami lub innymi zobowiązaniami między uczestnikami konklawe.

„PAPIEŻ MARTINIEGO" I „MARZENIE SYNODALNE"

Z punktu widzenia późniejszych wydarzeń znacznie ważniejszy wydaje się jednak wpływ, który na obecny pontyfikat wywarł program „wielkich elektorów", czyli „mafii z Sankt Gallen". To nie przypadek, że gdy nowo wybrany papież po raz pierwszy pojawił się na balkonie bazyliki św. Piotra, obok niego stał uśmiechnięty kard. Danneels. Nieprzypadkowo też podczas pierwszej modlitwy Anioł Pański na pl. św. Piotra Franciszek publicznie wychwalał kard. Waltera Kaspera jako wielkiego współczesnego teologa.

W następnych latach nowy zwierzchnik Kościoła konsekwentnie realizował program grupy z Sankt Gallen. Niektórzy komentatorzy obserwując jego aktywność, utrzymywali, że działa on spontanicznie, pod wpływem nagłych impulsów, jak typowy Latynos. Jednak argentyńska watykanistka i wieloletnia przyjaciółka Bergoglia Elisabetta Piqué w jego biografii scharakteryzowała go następującymi słowami: „To człowiek zorganizowany, staranny, metodyczny. Nie robi kroku, dopóki go nie przemyśli".

Wiele działań Franciszka było więc wcześniej przemyślanych, i to nie tylko przez niego, ale przez jego „wielkich elektorów", a zwłaszcza kard. Carlo Marię Martiniego, który głosił potrzebę decentralizacji i kolegialności w Kościele. Był on też autorem koncepcji synodalności, czyli zarządzania Kościołem poprzez permanentny synod. To właśnie od niego Franciszek przejął program synodalizacji, który stał się znakiem rozpoznawczym jego pontyfikatu. Obecny biskup Rzymu często zresztą publicznie cytuje Martiniego, zwłaszcza jego słowa, iż najważniejszym zadaniem katolików jest dziś nadrobienie 200 lat zapóźnienia, które Kościół ma wobec współczesnego świata. Kościół miał popełnić błąd, nie przyswajając sobie zdobyczy oświecenia i od tamtej pory stracił kontakt z nowoczesnością. Dlatego konieczna jest przyspieszona modernizacja katolicyzmu. Obecny pontyfikat to zatem próba nadgonienia utraconego czasu.

Już pół roku po konklawe, w październiku 2013 r., włoski watykanista Sandro Magister na łamach „L'Espresso" napisał tekst pt. „Papież Martiniego. Marzenie staje się rzeczywistością". Postawił w nim tezę, iż Franciszek realizuje „marzenie synodalne", a właściwie testament ideowy mediolańskiego kardynała, który zmarł pół roku przed wyborem Bergoglia na Stolicę Piotrową. Co ciekawe, po śmierci purpurata włoska Loża Wielkiego Wschodu pożegnała, a właściwie „powitała brata Carlo Marię Martini w jego podróży na Wschód".

> Grupa skupiała hierarchów, którym nie podobał się styl sprawowania posługi papieskiej przez Jana Pawła II. Uważali, że Kościół potrzebuje radykalnych zmian w duchu postępu i oświecenia. Doszli do wniosku, że tak hierarchiczną strukturę jak Kościół można zmienić tylko w jeden sposób: poprzez swojego papieża

„BISKUP RZYMU", A NIE „NAMIESTNIK CHRYSTUSA"

Nie zrozumiemy działań Franciszka, jeśli nie poznamy programu grupy z Sankt Gallen. Członkowie tego gremium marzyli o następcy św. Piotra, który zrezygnuje z monarchicznych symboli władzy i autorytetu oraz zaakcentuje swą tożsamość jako „biskup Rzymu", a nie „namiestnik Chrystusa". W ich wizji nowy papież miał zarządzać Kościołem kolegialnie, rezygnując z osądzania i potępiania, wyzwolony od lęku przed światem, a zwłaszcza przed rewolucją seksualną. Miał realizować swoje plany za pomocą synodów – stopniowo, drogą małych kroków, bez gwałtownych ruchów, które mogłyby wywołać masowy sprzeciw w Kościele.

Wśród najważniejszych punktów ich programu było dopuszczenie do Eucharystii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. Tym zagadnieniem zajął się Franciszek w swej adhortacji „Amoris laetitia" z 2016 r., otwierając drogę do tego typu praktyk. Ostatecznie w październiku 2023 r. prefekt Dykasterii Nauki Wiary kard. Victor Fernandez potwierdził, że Stolica Apostolska zezwala na przystępowanie do komunii osób żyjących w związkach niesakramentalnych bez konieczności zachowywania przez nie wstrzemięźliwości seksualnej.

Innym postulatem formułowanym przez hierarchów z Sankt Gallen była zmiana nauczania moralnego, a zwłaszcza etyki seksualnej Kościoła, w odniesieniu do par jednopłciowych. Ostateczny cel to akceptacja czynów homoseksualnych, które należy przestać uważać za grzeszne. Jednym z etapów na tej drodze stała się ogłoszona 18 grudnia 2023 r. watykańska deklaracja „Fiducia supplicans", zezwalająca księżom na błogosławienie par niesakramentalnych, w tym gejowskich i lesbijskich.

Był to jednak pierwszy dokument zaaprobowany przez Franciszka, który został masowo odrzucony przez liczne episkopaty i biskupów na całym świecie. Rzesze wiernych uznały, że tym razem została przekroczona cienka czerwona linia i należy się sprzeciwić decyzjom Stolicy Apostolskiej. Część watykanistów uważa, że ten opór może stanowić przełomowy moment obecnego pontyfikatu. Czas pokaże, czy Franciszek zdoła przeforsować ten i inne pomysły „mafii z Sankt Gallen". I czy wystarczy mu na to czasu.

krak1944@gmail.com

Rok wyborów do Parlamentu Europejskiego może być dla Unii przełomowy. Obecni mocarze Europy boją się utraty władzy i nawet tego, czy UE przetrwa

2024 rok buzujących hormonów

DARIUSZ MATUSZAK

Punktem wyjścia do naszych rozważań o stanie Unii będzie grudniowy występ Wysokiego Przedstawiciela Unii ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa Josepa Borella na konferencji Le Grand Continent. Był on całkowicie pozbawiony sensu i merytorycznej wartości, ale dał dobry wgląd w stan umysłów i dusz – choć ich nie mają – oświeconych eurokratów.

Otóż 2024 r. będzie rokiem grozy – tak uważa hiszpański socjalista. Nie dość, że Trump znów może wywalczyć prezydenturę, to czerwcowe wybory do PE może wygrać prawica. Ale nie prawidłowa jak CDU czy inne wypłukane z wartości i charakteru chadecje, ale prawica hormonalna, czyli ludzie głupi, napędzani strachem. Zasługi i medal z dyplomem za nowe pojęcie politologiczne „prawica hormonalna" należą się właśnie eurokracie, który choć go nie użył, to jednak zdefiniował.

– Boję się strachu. Boję się, że Europejczycy zagłosują ze strachu. To naukowo udowodnione, iż w obliczu nieznanego i niepewności wyzwala się hormon strachu, który wzywa do poszukiwania bezpieczeństwa – mówił Borrell o klęskach, które mogą spotkać Unię w roku grozy. Zagroziłoby jej nie tylko zwycięstwo Putina w wojnie z Ukrainą, lecz także w wyborach do PE populistycznej, pędzonej strachem prawicy. Zupełnie innej niż ta słuszna z Partii Ludowej od Webera i von der Leyen, która w sojuszu z socjalistami od zawsze panuje w Unii.

Hormonalne zaburzenia ma wywołać strach przed imigracją i niepewność związaną z obniżającym się standardem życia. Swoje dokładają media, które miast tulić do snu i nieustająco pokazywać uśmiechniętą Europę, informują o zagrożeniach. Wszystko to zwieńczone niewłaściwym głosowaniem może zagrozić istnieniu Unii.

To był bełkot, ale pouczający. Dowiedzieliśmy się np., że nie ma sensu tradycyjnie obrzucać prawicę inwektywami i insynuacjami, mówiąc o jakimś faszyzmie i ciemnocie, skoro wszystko można sprowadzić do fizjologicznych odruchów prymitywnych ludzi.

Poziom pychy władców Unii sięga nowych poziomów, ale istotne jest co innego. To, że Borrell i władcy UE się boją. Dociera do nich, że mogą przegrać, że przegniła konstrukcja, którą stawiają, może się zawalić.

IMIGRACYJNE ZAGROŻENIE ZMIENIA EUROPĘ

Mają powody, by się bać, bo, by sparafrazować Marksa, widmo prawicy i populizmu krąży nad Europą. Temu ostatniemu określeniu władcy świata nadali pogardliwe konotacje, wszak chodzi o wsłuchiwanie się w głos nieoświeconego ludu. Najlepiej widać to na przykładzie imigracji. Wedle Eurobarometru najwięcej Europejczyków – 28 proc. – wskazuje, że to największe zagrożenie dla kontynentu. Tymczasem prawdziwi unijczycy, jak Borrell, wciąż uważają, że to szansa na ubogacenie kulturowe czy jakieś takie. Oczywiście są warianty ubogaceń – np. Niemcy chcą, by imigranci ściągnięci na roboty ubogacili ich firmy, dlatego Berlin płaci przemytnikom ludzi i w Afryce rekrutuje tanią siłę roboczą, a kto się nie nada,

Fot. Shutterstock

krak1944@gmail.com

tego przymusowo się ześle do innych prowincji Europy i nazwie się ten akt europejską solidarnością.

Nielegalna imigracja zmienia polityczną mapę Europy i tego się boi eurokracja. Październikowe wybory w Holandii wygrała antyimigrancka Partia Wolności, która szykuje się do objęcia władzy z antyestablishmentowymi ugrupowaniami, takimi jak Nowa Umowa Społeczna i Ruch Rolników Obywateli. Jednym z koalicjantów może zostać nawet Ludowa Partia Wolności i Demokracji z obecnym premierem Markiem Ruttem na czele. To oznacza przerwanie kordonu sanitarnego wobec rasistowskiej czy jakiej tam Partii Wolności. Niepoprawne ugrupowania jak ona, hiszpański Vox, Zgromadzenie Narodowe we Francji nie mają prawa wpływać na życie publiczne i od zawsze są skazywane przez wiecznie uśmiechnięte, postępowe elity na pobyt w politycznym getcie. Teraz ten paradygmat jest w Holandii porzucany.

W Szwecji drugim co do siły ugrupowaniem są antyunijni, antyimigranccy, skazywani na getto Szwedzcy Demokraci, bez wsparcia których nie powstałby rząd prawicy – Umiarkowanej Partii Koalicyjnej, chadecji i liberałów. W mojej opinii ten kraj obok Włoch jest najbliżej antyunijnej rewolty. Szwedzcy Demokraci zrezygnowali z radykalnego postulatu swexitu, ale gabinet Ulfa Kristerssona przygotowuje procedury na wypadek, gdyby jednak miało do tego dojść. Szwedzi nie chcą się obudzić jak Brytyjczycy po brexicie bez wyjść ewakuacyjnych. Szykują się na najgorsze, a może i najlepsze – rozpad Unii.

Charakterystyczna jest zmiana w polityce imigracyjnej i właściwie odrzucenie przymusowych przesiedleń. Zamiast rozsyłać nielegalnych imigrantów oraz fałszywych azylantów po prowincjach Unii, jak chcą Berlin i Bruksela, Szwecja będzie ich deportować do krajów pochodzenia. Jeśli te nie przyjmowałyby swych obywateli, to stracą pomoc, którą rozdziela Szwecja. Ta sytuacja pokazuje też, jak patologiczny jest ustrój Unii. Ów pakt imigracyjny z przymusowymi przesiedleniami firmuje komunistka Ylva Johansson, którą poprzedni, lewicowy rząd Szwecji oddelegował do Brukseli na stanowisko komisarza ds. wewnętrznych.

W sąsiedniej Finlandii rządzi układanka Partii Koalicji Narodowej i antyunijnej, narodowej Partii Finów. W wyborach w czerwcu socjaldemokraci zajęli dopiero trzecie miejsce. We Włoszech prawicowy rząd Braci Włoch, Forza Italia i Ligi. Europejska prawica pokładała wielkie nadzieje w charyzmatycznej Giorgii Meloni, a Ursula von der Leyen była tak przestraszona, że groziła Włochom bezprawnym pozbawieniem ich – tak jak Polski – funduszy. Niestety Meloni okazała się rzymską wilczycą pozbawioną kłów i pazurów. Być może to efekt osobistej słabości premier, otorbienia jej przez eurokratów i rozpaczliwej sytuacji finansowej Włoch, bo stały się one najposłuszniejszym lennem Brukseli. Chodzi o rządców, a nie samych obywateli. Ci, gdyby w czasie pandemii przeprowadzono referendum w sprawie członkostwa w Unii, w większości opowiedzieliby się za wyjściem. Rzym stał się bezsensownie potulny, ale nastroje, choć już mniej gorące, nie minęły. Włosi pójdą na wybory do PE w stanie antyunijnego wzmożenia. Świadomość, że – jak policzyło niemieckie Centrum Polityki Europejskiej, w którego radzie jest m.in. Balcerowicz – przeciętny Włoch stracił na wspólnej walucie ok. 74 tys. euro, może wywoływać burzę hormonów i wściekłość.

Nad Sekwaną największe poparcie ma Zgromadzenie Narodowe Marine Le Pen, a mniejszościowy gabinet Élisabeth Borne trwa siłą bezwładności. W Hiszpanii przy władzy jest mniejszość socjalistów i komunistów, ale nie dzięki wynikowi wyborów, bo te latem przegrali, a układowi z separatystami i dawnymi terrorystami. W wyborach do PE nie da się powtórzyć tej sztuczki. Portugalię oprócz czerwcowych wyborów do PE czekają w marcu przyspieszone krajowe. Wszystko po tym, jak skompromitowany korupcją rząd socjalistów podał się do dymisji. Jednym z bohaterów łapówkarskiej afery jest unijny prymus, premier António Costa.

W Niemczech rośnie poparcie dla Alternatywy dla Niemiec, jest to już ugrupowanie drugie co do popularności. To akurat ma małe znaczenie dla brukselskich układów, bo wszystkie ugrupowania chcą budowania unijnej Rzeszy, lecz AfD może stać się nieobliczalnym rozsadnikiem chaosu. W Polsce faworytem pozostaje PiS, a na Węgrzech Fides.

DROGA DO KATASTROFY

Taki jest mniej więcej polityczny krajobraz Europy pół roku przed wyborami do PE. Rację ma europoseł Izabela Kloc, która na portalu wPolityce.pl pisała, iż Unia zasługuje na Nagrodę Darwina, którą w przenośni nadaje się tym, którzy z własnej głupoty zeszli z tego świata. Polityka imigracyjna, klimatyczna, wymuszana centralizacja wiodą organizację ku katastrofie. Żadne frazesy o europejskich czy jakich tam wartościach nie zmienią tego, iż Europa pozostaje w stanie permanentnego kryzysu społecznego, a jej sytuacja gospodarcza jest rozpaczliwa. Dość powiedzieć, że PKB Francji, Włoch, Hiszpanii, Austrii, Finlandii, Portugalii, Grecji, Cypru jest niższe niż w 2008 r. A teraz jeszcze silnik gospodarczy Unii – niemiecki przemysł – właśnie się zatarł. W ciągu sześciu lat produkcja spadła o 12 proc., a perspektywy są coraz gorsze.

W takich warunkach, nieraz całkowitego chaosu, jak w Hiszpanii czy Francji, 27 targanych sprzecznymi interesami, wewnętrznymi konfliktami nacji ma wybrać PE. Borrell słusznie się boi, a symbolem Unii niech mu będzie najbardziej unijne państwo – Belgia i najbardziej unijne miasto – Bruksela. Tam równolegle z wyborami do PE odbędą się krajowe, a największe poparcie ma partia Vlaams Belang, która wprost chce podziału kraju.

– Uważamy, że Belgia jest małżeństwem z przymusu – mówi Politico szef tego ugrupowania Tom Van Grieken. – Jeśli jedno z małżonków chce rozwodu, powinni rozmawiać o tym jak dorośli. Musimy dojść do uporządkowanego podziału kraju. Jeśli Walonowie nie siądą do rozmów, zrobimy to jednostronnie.

Na południu byłaby francuskojęzyczna Walonia, a na północy Flandria z językiem flamandzkim. A w środku tej „holenderskiej" Flandrii walońska enklawa – stolica Unii, Bruksela. Piękny przekładaniec. Co więc w 2024 r. może pójść w Unii źle? Wszystko.

krak1944@gmail.com

Wojownicy z różańcem

GORAN ANDRIJANIĆ

Wojownicy Maryi Split to chorwacka wspólnota katolicka, którą do pracy zainspirowali Polacy oraz działająca w naszym kraju od kilku lat taka sama wspólnota

W każdą pierwszą sobotę miesiąca kilkudziesięciu rosłych Chorwatów klęka na Perystylu, dawnym wewnętrznym dziedzińcu pałacu cesarza Dioklecjana, aby odmawiać różaniec. Okazała budowla nad brzegiem Adriatyku to dziś główna atrakcja turystyczna Splitu – miasta, które latem tak chętnie jest odwiedzane przez tysiące turystów, w tym naszych rodaków.

Mężczyźni należą do ciekawej wspólnoty, działającej w Kościele katolickim w Chorwacji. W tym kraju można spotkać wiele religinych grup, ale ta jest wyjątkowa, bo jej członkowie swoje spotkania zawsze firmują koszulkami z napisem „Wojownicy Maryi". To nie pomyłka. Od niedawna Chorwaci są członkami polskiej wspólnoty modlitewnej i właśnie w Splicie tworzą jej chorwacki oddział.

Ciekawe i nieczęsto spotykane jest również to, że Wojownicy Maryi pielęgnują pobożność maryjną przypisywaną najczęściej kobietom. W pierwsze soboty miesiąca spotykają się na placach miast, aby odmawiać różaniec jako zadośćuczynienie za grzechy przeciw Niepokalanemu Sercu Maryi. Wojownicy mają swoje społeczności w całej Europie, a nawet na świecie. Specyfiką wspólnoty w Splicie jest jednak to, że to jedyna grupa złożona i prowadzona przez Chorwatów.

Kościół katolicki jest powszechny. Nie ma w nim granic narodowościowych i kulturowych. Nie zdarza się jednak

Fot. WM SPLIT

krak1944@gmail.com

często, zwłaszcza w obecnych czasach, aby świecka wspólnota modlitewna utworzona w jednym kraju rozpoczynała pracę w innym. Jak do tego doszło?

NAJPIERW BYŁ KRAKÓW

Rozmawiałem o tym z Miljenko Juriciem, przewodniczącym Wojowników Maryi Split, odpowiedzialnym za powstanie tej chorwacko-polskiej wspólnoty. Mężczyzna nie lubi być wyróżniany, dlatego najczęściej powtarza, że jest tylko narzędziem w rękach Boga i Maryi, po czym szybko zmienia temat.

– W czasie pandemii i związanej z nią izolacji kilku z nas spotykało się na Perystylu w pierwsze piątki miesiąca i odmawiało różaniec – zaczyna swoją historię Jurić. – Mniej więcej w tym czasie mój przyjaciel z Medziugorie przysłał mi zdjęcia mężczyzn z różańcami w rękach i flagami z Maryją, wspinających się na Górę Objawień. Byłem pod ich wielkim wrażeniem, bo nie wstydzili się pokazać, kim są i w co wierzą. Długo myślałem o tym, jak bardzo brakuje Kościołowi męskiej duchowości, zwłaszcza po tym wszystkim, co wydarzyło się w czasie pandemii. Zapytałem znajomego, kim są ci mężczyźni i tak dowiedziałem się o Wojownikach Maryi.

Jurić postanowił się z nimi skontaktować, ale prawie tego samego dnia spadła na niego przytłaczająca wiadomość. Bardzo ciężko zachorowała jego żona Sanela. Trzeba było wszystko odłożyć na później i zaangażować się w walkę o jej zdrowie. Któregoś dnia żona zapytała: „A co z tymi twoimi Polakami?”.

– Powiedziałem jej, że nie mam teraz na to czasu. Ale ona nalegała, że czas nawiązać z nimi kontakt – opowiada Jurić.

Udało mu się to za sprawą o. Nikoli Tandary, Chorwata, montfortanina, który pracuje w Częstochowie. Skontaktował się z liderami wspólnoty z Krakowa i zorganizował wyjazd do Polski na doroczne spotkanie członków, odbywające się w tym mieście. Jurić pojechał do Krakowa razem z jednym z przyjaciół. Po wejściu do kościoła trafili na adorację Najświętszego Sakramentu.

– Tego wieczoru widziałem setki mężczyzn pokornie oddających cześć Jezusowi w Najświętszym Sakramencie, leżących i modlących się przed nim. Wszystko to wywarło na mnie ogromne wrażenie. W nocy nie mogłem spać, to wszystko bardzo mnie poruszyło. Pokora i łagodność tych ludzi, wiara Polaków, no i Kraków. Uważam, że Split to najpiękniejsze miasto na świecie, ale Kraków zrobił na mnie wtedy ogromne wrażenie – kontynuuje swoją opowieść.

Następnego dnia przywódcy wspólnoty wręczyli mu różaniec z wygrawerowanym jego imieniem i powiedzieli, że ich zdaniem powinien włączyć się w to dzieło w Chorwacji.

– Zacząłem się wahać, mówiłem, że nie jestem do końca pewien, nie jestem godny. Wtedy jeden z Polaków wyciągnął telefon, pokazał mi zdjęcie z naszego spotkania na Perystylu i powiedział: „Modliliśmy się za was przez cztery miesiące, abyście tu przyjechali i zostali członkami naszej wspólnoty. I oto jesteście. Przyprowadziła was Maryja” – mówi Jurić.

W tym momencie wszystko stało się jasne.

ISKRA WIARY

To było we wrześniu 2022 r. i zaledwie kilka tygodni później, w sobotę 1 października, Jurić i kilku jego przyjaciół ponownie wyszli na ulice Splitu, aby odmawiać różaniec, lecz tym razem jako część wspólnoty Wojownicy Maryi. Od tego czasu wspólnota żyje intensywnie, rozrasta się i regularnie modli.

– Jesteśmy w kontakcie z braćmi w Polsce. Trzymamy się kodeksu i statusu wspólnoty. Czasem te konsultacje nie są najłatwiejsze, bo nikt z nas nie mówi po polsku i nie da się wszystkiego uzgodnić, mówiąc po angielsku. Wtedy pomaga nam o. Nikola, który dla nas tłumaczy – relacjonuje.

Czasami to zaangażowanie nie jest łatwe, bo trzeba pogodzić życie rodzinne, pracę i modlitwę, ale Chorwaci nabrali jeszcze większej motywacji, gdy zobaczyli, jak ważne dla Polaków jest funkcjonowanie społeczności. Pewnego razu w pierwszą sobotę miesiąca grupa z Krakowa jechała całą noc autobusem, aby wspólnie z chorwackimi braćmi odmówić różaniec w Splicie i jeszcze tego samego dnia wrócić do Polski.

– Kiedy zobaczyliśmy, że są gotowi przejechać 3 tys. km w nieco ponad jeden dzień, żeby odmówić z nami różaniec, zdaliśmy sobie sprawę, że to nasi prawdziwi bracia. Uświadomiliśmy sobie, jak bardzo chcą szerzyć iskrę wiary z Polski, o której mówiła s. Faustyna – mówi Jurić.

Przewodniczący Wojowników Maryi Split nieprzypadkowo wypowiada słowo „iskra”. Doskonale zna proroctwo przekazane przez Jezusa polskiej świętej z Łagiewnik. Według Faustyny z Polski wyjdzie iskra, która przygotuje świat na jego ostatecznie przyjście.

Jurić to dojrzały mężczyzna, blisko 50-letni. Wychowany w ateistycznej rodzinie robotniczej, a do tego były żołnierz broniący Chorwacji, który większość swojej młodości spędził z dala od Kościoła. Wrócił do niego, gdy był już w średnim wieku, mniej więcej wtedy, gdy poznał swoją żonę Sanelę.

Dziś żyje z Bogiem, bo dobrze wie, że inne życie nie ma sensu. Podobnie jak w przypadku wielu innych katolików z Chorwacji, jego duchową drogę wyznaczyła modlitwa różańcowa i Medziugorje.

Kiedy opowiada o Polsce, w jego głosie słychać, że jest zafascynowany jej historią i duchowością. Chorwaci mają silne poczucie wdzięczności wobec św. Jana Pawła II i Jurić nie jest wyjątkiem.

– Czuję, że wszystko, co się dzieje z nami i naszymi polskimi braćmi, ma jego ochronę – mówi mężczyzna.

Podobnie jak jego bracia w Polsce, Jurić i inni członkowie wspólnoty często są celem obelg ze strony mediów głównego nurtu, a ich modlitwa jest przedstawiana jako zacofana. Jednak przewodniczący Wojowników Maryi Split przyjmuje to wszystko jak część swojego posłania.

– Najważniejsze jest to, że wspólnota się rozwija, abyśmy mogli sobie nawzajem pomagać i wspierać się. I właśnie to się dzieje – podsumowuje.

Nie ma wątpliwości, że Wojownicy, a także inne wspólnoty skupione wokół męskiego różańca, stają się dziś ważnym świadectwem nie tylko dla katolików, szczególnie gdy publiczne wyznawanie wiary staje się coraz rzadsze.

Wojownicy Maryi Split to dowód na silny łącznik między Polską a Chorwacją. Głównymi cechami tego ogniwa są wiara katolicka i odwaga w podążaniu za jej nauką.

krak1944@gmail.com

Picasso komunista, sadysta, mizogin

Wystawa „Picasso" w Muzeum Narodowym w Warszawie już ponoć odniosła sukces frekwencyjny. Jak powiedziała kurator Anna Manicka na otwarciu: „Picasso jest jednym z tych, którzy ruszyli z posad bryłę świata. Myślę, że nie obraziłby się za ten cytat z »Międzynarodówki«, bo uważał się za komunistę". Niechże więc i Polacy nie obrażą się, że do beczki miodu zaserwowanej w mediach w kontekście wystawy dodam łyżkę dziegciu, czyli prawdy o kontrowersyjnym malarzu

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Kto oglądał już dzieła Picassa na wystawie, a chce zachować błogi spokój i najlepsze wspomnienia, niech pamięta, że dzieło należy oddzielić od twórcy. Kto zaś nie był, a wciąż planuje spotkać się oko w oko z jego twórczym duchem, niech się spieszy, bo ekspozycja zostanie zamknięta 14 stycznia. Zarówno tym pierwszym, jak i drugim należy się jednakże uczciwa dawka wiedzy o artyście „zdolnym do wszystkiego", nie tylko zresztą na płótnie.

HISZPAŃSKI GOŚĆ BIERUTA

Zanim zajrzymy, jaki człowiek mieszkał w ciele artysty, przypomnijmy, że tak naprawdę nazywał się Pablo Diego José Francisco de Paula Juan Nepomuceno Cipriano de la Santísima Trinidad Ruiz Picasso i takie też długie życie wiódł od narodzin w 1883 r. w Maladze po śmierć w wieku 92 lat.

Warto pamiętać, że nawiedził skromne progi powojennej Warszawy w 1948 r. jako gość Światowego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju. Ówczesne władze, rade na widok artysty komunisty przybyłego z Zachodu, chciały się pochwalić rozmachem socjalistycznej myśli budowniczej i powiodły Hiszpana na plac budowy osiedla WSM Koło II, a dokładnie do bloku przy ul. Sitnika 4 (kiedyś Deotymy 4/8). Podania mówią, że przybysz zachwycił się socrealistycznym osiedlem, ale kto by tam wierzył w ówczesne kroniki.

Ponoć Picassa zaświerzbiła ręka i machnął węglem wizerunek syrenki na jednej ze ścian pokoju. Syrenka, zgodnie z natchnieniem mądrości etapu, dzierżyła w ręce młot robotniczy i raczej przypominała o zafascynowaniu malarza sztuką prymitywną i jędrnym biustem kobiet. Pielgrzymki turystów, chcących zobaczyć rysunek mistrza, stały się jednak na tyle uciążliwe dla mieszkańców, że w 1953 r. dzieło za zgodą władz zostało zamalowane przez robotników. Trudno powiedzieć, za co dokładnie Bolesław Bierut odznaczył wtedy Picassa Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, ale chyba nie za rysunek węglem, a raczej za tzw. całokształt. Wszak Picasso zdawał się być komunistą wzorcowym, o czym zapewniał w swych deklaracjach. W wywiadzie przeprowadzonym przez Paula Galliarda dla amerykańskiego „New Masses" powiedział: „Moje wstąpienie do partii komunistycznej jest logiczną konsekwencją całego mojego życia i pracy. Tak, mam świadomość, że zawsze walczyłem poprzez swoje malarstwo jak prawdziwy rewolucjonista. Ale teraz zrozumiałem, że to nie wystarczy. Czy to nie ta właśnie partia najskuteczniej poznaje i buduje świat, aby ludzie byli bardziej świadomi, wolni i szczęśliwsi? Czy to nie komuniści wykazali się największą odwagą zarówno we Francji, jak i w ZSRR czy w mojej Hiszpanii? Nigdy nie czułem się tak wolny i spełniony, niż od kiedy jestem członkiem partii".

Dodajmy, że do partii wstąpił w 1944 r., więc musiał znać „odwagę" i dokonania komunistów, którzy tylko w jego ojczyźnie w zaledwie trzy lata wojny domowej byli sprawcami tzw. hiszpańskiego Katynia w Paracuellos de Jarama w 1936 r. i faktycznymi współsprawcami bratobójczej wojny domowej. Picasso jako świadek obu wojen światowych i hiszpańskiej wojny domowej uznał jednak, że to komunizm powiedzie świat do pokoju i dlatego odmalował tej jakże pacyfistycznej ideologii ikonę gołąbka pokoju.

krak1944@gmail.com

PTAK Z GAŁĄZKĄ W DZIOBIE

Pierwszą wersję gołąbka pokoju artysta wykonał w formie litografii w styczniu 1949 r., nie będąc jeszcze świadom, jak wielką karierę zrobi ptak z gałązką w dziobie wśród komunistów i mas proletariatu. To Louis Aragon, poszukujący wtedy odpowiedniego symbolu na plakat paryskiego I Światowego Kongresu Obrońców Pokoju, wybrał gołąbka na motyw przewodni. Picasso wkupił się w ten sposób w łaski czerwonych rewolucjonistów, bo przedtem jego awangardowy styl uwierał nieco towarzyszy. Trzeba też oddać sprawiedliwość, że to właściwie ojciec Picassa José Ruiz y Blasco, profesor w Królewskiej Szkole Sztuk Pięknych, lubujący się zwłaszcza w malowaniu gołębi (a przy tym ich hodowca), miał tu zapewne swoje zasługi jako inspirator.

Picasso namalował mnóstwo wersji gołąbka, ale w Polsce najsłynniejsza jest chyba ta, którą naszkicował na serwetce przy kawiarnianym stoliku w hotelu we Wrocławiu. To tam w sierpniu 1948 r. na imprezie towarzyszy polskich i radzieckich zjawiła się intelektualna elita wyznawców komunizmu. Oczywiście celem Światowego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju było przekonanie opinii publicznej, że kraje żyjące pod znakiem moskiewskiego sierpa i młota lubują się w pokoju, a ruski mir gwarantuje idyllę – w przeciwieństwie do państw wojowniczego Zachodu. Oprócz hiszpańskiego malarza w progach wrocławskiej auli zjawili się m.in. Irène Joliot-Curie, Paul Éluard, Bertold Brecht, Ilja Erenburg, Michaił Szołochow, Julian Huxley. Z całą pewnością Picasso wolał jednak jadać ośmiorniczki w Paryżu niż ulubioną przez Gomułkę kaszankę. Służył robotniczej sprawie, w którą bardzo wierzył, ale też zupełnie bez poczucia winy wiódł od najmłodszych lat życie burżuja otoczonego przepychem.

KONTROWERSJE WOKÓŁ OBRAZU „GUERNICA”

Nawet jeśli Picasso wstąpił do partii komunistycznej dopiero w latach 40., to z całą pewnością już od czasu wojny domowej w ojczyźnie serce miał po skrajnie lewej stronie. Jako autor najsłynniejszego chyba „pacyfistycznego” dzieła pt. „Guernica” stał się idolem lewicy – za cios zadany

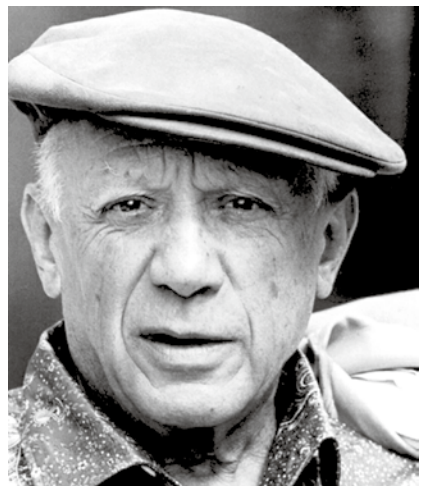

wszelkim faszyzmom świata. Obraz do tej pory jest traktowany z nabożną admiracją, choć zdaniem połowy Hiszpanii utrwalał propagandowy mit, w ramach którego od dziesięcioleci powtarza się kłamstwo o tysiącach zabitych cywilów baskijskiej Guerniki. Tymczasem najbardziej rygorystyczne badania historyków podkreślają, że w 1937 r. zginęło tam dokładnie 126 osób, a miasto było celem testowym niemieckiego Legionu Condor właśnie dlatego, że mieściło koszary i fabrykę broni oraz było symbolem baskijskiego secesjonizmu. Gdy zaś to strona republikańska bombardowała miasta, nie znalazł się żaden artysta i pieszczoch systemu, aby odmalować światu cierpienie zadawane przez połączone siły anarchistów, komunistów i socjalistów.

Przekształcenie „Guerniki” w nietykalną ikonę rozpoczęło się już właściwie w chwili jej stworzenia na potrzeby Wystawy Powszechnej w Paryżu w 1937 r. Wtedy Hiszpania pogrążona była w konflikcie, w którym strona narodowa korzystała z dostaw wojskowych od hitlerowców, a druga, republikańska, jeszcze obficiej dotowana była przez Stalina. Z Paryża „Guernica” wędrowała niemal przez cały świat, aż w 1961 r. spoczęła w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku (po tym, jak niemiecki teoretyk sztuki Rudolf Arnheim zapewnił, że jest to najważniejszy obraz XX w.). Ostatecznie w 1992 r. została umieszczona w Muzeum Narodowym Centrum Sztuki Królowej Zofii w Madrycie i wciąż jest uważana za najbardziej wstrząsający manifest przeciw wojnie.

Nic więc dziwnego, że nawet gdy hiszpański pisarz Arturo Pérez-Reverte ośmielił się powiedzieć pięć lat temu, że Picasso namalował ten obraz wyłącznie z niskich pobudek finansowych, spadły na niego gromy. Bronił się, pisząc w felietonie: „Wyraziłem udokumentowane podejrzenie, że Picasso nie namalował »Guerniki« z patriotyzmu, ale dla pieniędzy. Jednak zdaniem głupców, mówiąc o pieniądzach obraziłem artystę. I co za tym idzie – obraziłem także całą lewicę, czyli najszlachetniejszą i najbardziej godną podziwu część ludzkości w ogóle”.

Pérez-Reverte napisał powieść „Sabotaż”, w której przewijała się także postać malarza. Jak miał w zwyczaju, wykonał przy okazji potężną pracę na materiałach z epoki, bazował na wnioskach ekspertów i pozostawionych świadectwach Picassa, z których wynikało, że ten namalował dzieło dla zawrotnej kwoty 200 tys. franków (dziś byłoby to 11,5 mln euro). Okazało się jednak, że nawet hołubiony Don Arturo nie ma prawa tknąć pamięci komunisty Picasso, ale ten, znany z cięte go języka, nie odpuszczał:

„Tak, zawsze był bardzo zaangażowany w sprawy Hiszpanii, ale tak się składa, że z odległości swego atelier w Paryżu. Przez trzy lata wojny domowej ani razu nie postawił tu stopy, mimo że został mianowany honorowym dyrektorem Muzeum Prado. O dziwo, było mu tak dobrze w Paryżu, że pozostał tam podczas późniejszej okupacji hitlerowskiej, zupełnie nieniepokojony przez nazistów. Nawet kilku ich przyjął w swojej pracowni, w tym Ernsta Jüngera, który nie był sympatykiem Republiki Hiszpańskiej. Odezwali się tacy, którzy nie czytając mojej powieści ani znając życia Picassa, czują się nieswojo, gdy mówi im się, że lubił cudze kobiety, że był skąpy, samolubny i kochał pieniądze. Irytują się, bo nie znają zeznań kobiet, dzieci i przyjaciół, którzy określali go jako okrutnego seksistę, kłótliwego, egocentrycznego i domowego tyrana”.

POTWÓR W CIELE ARTYSTY

I tu dochodzimy do sedna sprawy, bo w Polsce sporo się pisze o Picassie artyście, ale niemal nigdy o destruktorze. Wydana także u nas przed laty znakomita biografia „Picasso. Twórca i niszczyciel” Arianny Stassinopoulos Huffington odkryła nieznane fakty i stworzyła przenikliwe studium psychologiczne artysty

Fot. Domena publiczna

krak1944@gmail.com

Fot. Barbosz Bagieński/Muzeum Narodowe w Warszawie

z Malagi. Książka pochłonęła trzy lata pracy autorki i mobilizację zespołu badaczy w Hiszpanii i Francji.

Rozmowy z plejadą ludzi z jego otoczenia przyniosły mroczny portret prymitywnego i nieszczęsnego psychopaty, który żył niejako ukryty w ciele sławnego artysty. Tworzył sztukę, ale doszczętnie niszczył najbliższych. Parę przykładów na poparcie tezy: jego ostatnia partnerka zabiła się strzałem z pistoletu w skroń, tak samo jak bliski przyjaciel Carles Casagemas. Jedna z jego kochanek powiesiła się, dwie inne popadły w szaleństwo. Jego niekochany, ignorowany syn był alkoholikiem i umarł od przedawkowania narkotyków. Wnukom bardzo często nie wolno było nawet zbliżać się do dziadka, a jego dom twierdza we francuskim Mougins była strzeżona przez gigantyczne psy afgańskie. Zdesperowany poczuciem odrzucenia 24-letni wnuk wypił butelkę wybielacza i zmarł w konwulsjach.

Biografowie szukają źródeł amoralnych zachowań Picassa w dzieciństwie, kiedy to w obliczu śmierci swojej młodszej siostry młody Pablo prosił Boga o jej ocalenie: „Jeśli uratujesz Conchitę, obiecuję, że nigdy już nie będę malował, złożę ofiarę z mego malarstwa". Szantażowany Bóg jednak milczał, siostra umarła, a Pablo narysował rysunek pt. „Chrystus błogosławiący diabła". Zresztą nie znosił sprzeciwu od najmłodszych lat, może również dlatego, że matka rozpieszczała swego pierworodnego i niemiłosiernie hołubiła.

W wieku 19 lat wyjechał do Paryża, gdzie ponoć spał głównie w burdelach. Otaczał się bohemą, choć wiadomo, że potrafił wyprzeć się przyjaciół, gdy tylko przyjaźń mogła oznaczać dla niego kłopoty. Znany jest fakt jego uwikłania w przechowanie paru drobnych dzieł sztuki z Luwru i choć zamieszany w sprawę Apollinaire zachował się odprosić o pomoc, lubił pokazywać im swoją skrzynię pełną sztabek złota, by zaraz potem odprawiać ich z kwitkiem. O dziwo, jego okrucieństwo i sadystyczne skłonności nie odrzucały kobiet od toksycznych związków z nim, dlatego „macho" Picasso prowadził swe wybujałe erotyczne życie aż do 90. urodzin. Jego wnuczka Marina, autorka książki „Picasso, mój dziadek" opisała ze szczegółami, jak jego silna

Fot. © Succession Picasso 2023

Pablo Picasso, *Kobieta przed lustrem*, 26 listopada i 10 grudnia 1950, litografia barwna, papier, Museo Casa Natal Picasso, Málaga

powiedzialniej i zwrócił je, to został skazany sądownie również dzięki zeznaniom Picassa, który wszystkiego się wyparł, zrzucając całą winę na przyjaciela. To zresztą jedna z wielu historii, które dały malarzowi mroczną sławę mistrza intrygi, by nie powiedzieć – cynika bez skrupułów. Jego nienasycone seksualne żądze przydały mu famę sadysty, który nie wahał się zadawać ból swoim partnerkom (gasił papierosy na ich ciałach) lub bił do nieprzytomności, pozostawiając je potem na łasce losu. Miał romans z nastolatką i homoseksualną relację z przyjacielem Maksem Jacobem. Wedle relacji mógł go ocalić przed wywózką do Dachau, ale celowo zaniechał udziału w akcji ratunkowej, choć ponoć miał dobre relacje z hitlerowcami. Paradoksalnie autor ikonicznego dzieła o bombardowaniu Guerniki opływał w luksusy w okupowanym Paryżu. Gdy jego partnerki lub znajomi cierpiący chroniczną biedę przychodzili

osobowość „zatruwała i niszczyła wszystkich wokół niego". Picasso wydawał się nieporuszony żadną tragedią rodzinną, tak jakby kreacja śmierci i rozpaczy była tylko produktem ubocznym i nieznaczącym wobec siły jego geniuszu.

Pablo Picasso, od którego śmierci upłynęło 50 lat, był uważany za jednego z najbardziej wpływowych artystów w historii sztuki, a fascynacja jego dziełami zupełnie przyćmiła mroczną stronę osobowości malarza. Oczywiście bycie złym człowiekiem nie unieważnia twórczości. Choć z drugiej strony, o ironio, żyjemy w czasach „cancelowania" za wydumane grzechy białego, heteroseksualnego człowieka. Mimo że otacza nas histeria MeToo i węszenia wszędzie heteropatriarchalnej przemocy, to jednak komunista Picasso ma się doskonale i wciąż jest oklaskiwany. Czy słusznie? Niech każdy rozstrzygnie sam, np. oglądając jego dzieła na kończącej się wystawie w Muzeum Narodowym.

krak1944@gmail.com

Generał w sutannie

Nazywany przez Rosjan „Duchem”, przez dwa lata powstania styczniowego, a nawet dłużej, pozostawał nieuchwytny. Ks. Stanisław Brzóska, zwykły kapłan, stał się legendarnym dowódcą. W filmie „Powstaniec 1863” gra go Sebastian Fabijański. I to może zaskakiwać

Fot. Kino Świat

krak1944@gmail.com

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Wszystko wydaje się ich dzielić. Wpisany w patriotyczną legendę powstaniec, zarazem duchowny podporządkowujący swoje powołanie i życie wolnościowej idei. Aktor, który w ostatnich latach zrobił wiele, by zamiast o jego talencie – nawet w kontekście coraz bardziej zwichrowanych bohaterów, w których się wcielał – mówiło się o jego prywatnych problemach i zaskakujących pozafilmowych wyborach, ale też ich konsekwencjach.

A jednak spotkali się na ekranie i, sądząc po zwiastunie, powstała dzięki temu nie tylko poruszająca opowieść o jednym z najważniejszych polskich zrywów oraz jego niesłusznie zapomnianym bohaterze, generale w sutannie. Widzowie otrzymali też szansę na obejrzenie kreacji stworzonej przez Sebastiana Fabijańskiego.

Dla aktora postać ks. Brzóski okazała się wyjątkowa. Rola przyszła do niego w najtrudniejszym okresie i wiele wniosła w jego osobiste życie.

– W czasie, kiedy prywatnie czułem się niepotrzebny, zbędny i odrzucony, robiłem film o człowieku, który był kompletną odwrotnością mojego stanu. Był potrzebny, przygarnięty, kochany. I to też było dla mnie bardzo ważne – komentuje Fabijański. – Bardzo bym chciał, żeby o legendzie, która jest umiejscowiona dosyć regionalnie, dowiedział się cały kraj. Los tego człowieka, jego wartość, postawa i wszystko to, co ze sobą niósł, po prostu na to zasługują – dodaje.

KIM JEST BOHATER?

Stanisław Brzóska urodził się w biednej, lecz patriotycznej rodzinie. Chcąc się kształcić, wybrał jedyną możliwą wtedy drogę – kapłaństwo. I odnalazł się w tym posłannictwie, potem jednak przywiązanie do ojczyzny, ale też niezgoda na niesprawiedliwość dziejącą się wokół, m.in. na brankę, doprowadziły go na pole walki.

W wyniku splotu zdarzeń ks. Stanisław Brzóska stanął na czele najdłużej walczącego oddziału powstańczego. Już po pierwszej, wyjątkowo skutecznej akcji otrzymał oficerskie szlify i tytuł naczelnego kapelana województwa podlaskiego. Tropiony przez carskiego oficera Maniukina, zwanego „katem Podlasia", kilkakrotnie uniknął śmierci.

Nim został powieszony (23 maja 1865 r. na rynku w Sokołowie Podlaskim jako ostatni styczniowy powstaniec), siał popłoch wśród wojsk Imperium Rosyjskiego, dając polskiemu społeczeństwu nadzieję na wydostanie się spod carskiego zaboru. Jego legendę, wciąż żywą w rejonie, w którym walczył, przypomina pierwsza fabularna opowieść o tym niezwykłym kapelanie, generale i dowódcy.

DWIE FOTOGRAFIE

Impulsem do powstania „Powstańca 1863" były dwa zdjęcia. – Na pierwszym grzecznie uczesany ksiądz, a dwa lata później zupełnie odmienny wizerunek: długie włosy, blizny, przestrzelone dłonie... Już po tych fotografiach stwierdziliśmy, że to jest temat na ekran – mówi Tadeusz Syka.

Reżyser i autor scenariusza podkreśla, że XIX w. to dla filmowców bardzo trudna epoka. Ze względu na kostiumy, scenografię czy historyczny klimat. Niezwykle rzadko eksploatowany jest też w polskim kinie temat powstania styczniowego. Ostatnim filmem, który nawiązywał do tego zrywu, był „Szwadron" Juliusza Machulskiego. – Dla porównania, produkcje poświęcone II wojnie światowej czy w ogóle XX w. są znacznie częściej realizowane – zauważa Syka i dodaje, że kiedy wybuchła wojna na Ukrainie, wraz z najbliższymi współpracownikami stwierdził, że już nie ma wyjścia i film o powstaniu 1863 r. trzeba zrobić. Dlaczego? Bo scenariusz stał się wyjątkowo aktualną opowieścią. – Ten film będzie pokazywał, że kiedy my, Polacy, 160 lat temu stanęliśmy do zrywu, w którym nie mieliśmy szans z wielu względów – braku dowódców, broni – nikt nam nie pomógł. Nawet po największym sukcesie pod Żyrzynem (8 sierpnia 1863 r.). Dziś, gdy zestawimy to z tym, co dzieje się na wschodzie, to tam jest odwrotnie... Choć z militarnego punktu widzenia przegraliśmy powstanie styczniowe, śmiem twierdzić, że wygraliśmy je mentalnie. Za sprawą m.in. takich bohaterów jak fenomenalnie odgrywany przez Sebastiana Fabijańskiego ks. Brzóska czy „łączników" – weteranów powstania styczniowego (w jednego z nich wciela się Daniel Olbrychski) – dodaje reżyser.

WYCHOWAWCY POKOLEŃ

Syka – powołując się na fakty z czasów II RP, które zresztą zostały wykorzystane w pracy nad scenariuszem – przypomina, że weterani powstania styczniowego stanowili bardzo ważne „mentalne i militarne wsparcie obrony Warszawy". Na wszystkich liniach. – Zaciągali się i angażowali w to, by młodych chłopaków, żółtodziobów, mówiąc kolokwialnie, zaprawić w boju, podnieść na duchu i z nimi ruszyć do walki – podkreśla reżyser. – Nie bez powodu otrzymali też od Piłsudskiego specjalne przywileje, mieli swoje schroniska, renty, nawet specjalny mundur. To pokazuje, że mimo przegranej, mimo zsyłek na Sybir, powstańcy styczniowi mieli

Fot. Kino Świat

krak1944@gmail.com

wielki wpływ na wychowanie, a więc i działanie kolejnych pokoleń, podtrzymali ducha i doczekali się wygranej nad bolszewią w 1920 r. – podsumowuje.

Premiera „Powstańca 1863" zbiega się ze 160. rocznicą najdłuższego narodowego zrywu, ale celebrowanie przeszłości nie jest głównym celem twórców filmu. Przypomnienie powstańczych wydarzeń i ich bohaterów ma pomóc w zbudowania w młodym pokoleniu ciągłości historycznej. Choćby minimalnej. Żeby na pytanie, kiedy wybuchło powstanie styczniowe, nie słyszeć odpowiedzi: „W 1944 r.". By data 22 stycznia 1863 r. była dla każdego czytelna.

KLUCZOWA DUCHOWOŚĆ

Nawiązując nie tylko do przydomka nadanego ks. Brzósce przez Rosjan, Sebastian Fabijański podkreśla, jak znacząca była dla niego duchowość granej postaci. Aktor, który znakomicie odnajdywał się w kostiumie („Kamerdyner", ale też „Panie Dulskie"), w ostatnich latach doświadczał również mocniejszych i bardziej drastycznych wyzwań, m.in. w filmach Patryka Vegi czy na ringu Fame MMA. Jako artysta szukał swojego miejsca w hip-hopie, a jako człowiek w jednym z wywiadów przyznał: „Jestem totalnie pogubionym gościem w wielu aspektach. [...] Gdybym tylko bólu i cierpienia mógł sobie nie wybrać, ale one znajdują mnie same".

Rola ks. gen. Stanisława Brzóski przyniosła mu bardzo potrzebne w tamtym czasie doświadczenie. – Na wstępnym etapie rozmów o filmie, kiedy miał jeszcze tytuł „Ostatni duch", pogłębienie tematu duchowości samo się nasuwało – mówi Fabijański. – Oprócz mojej wędrówki przez wiarę, pojęcie Boga, bo to jest osobna sprawa, bardzo zależało mi na tym, by spróbować natchnąć się tym duchem – dodaje.

ODARTY Z FAJERWERKÓW

Przygotowując się do roli, aktor przez jakiś czas mieszkał w seminarium. Z wdzięcznością wspomina, jak jeździł z ks. Maciejem Majkiem śladami ks. Brzóski, czerpiąc z niesamowitej wiedzy kapłana na temat ks. Stanisława. Dzięki tym wędrówkom inaczej spojrzał na swojego bohatera. – Postanowiłem odrzeć tę postać z ekspresyjnych fajerwerków, do których przyzwyczaiłem widzów przez ostatnie produkcje i dużą część mojego artystycznego ryzyka czy brawury, którą kocham – mówi. – Teraz chciałem się introwertycznie „schować" w tym duchu, w tej nadziei, w tej idei, w tej wierze, w tej miłości, w tej opiece.

Fabijański wskazuje też inny aspekt tworzonej postaci: – Ksiądz, który z racji powołania zobowiązany jest stawać w obronie życia, decyduje się chwycić za broń... Ten kontrast był dla mnie bardzo interesujący.

Wspomina też znaczącą dla niego sytuację z planu, gdy jako ks. Brzóska odprawiał mszę polową w historycznym ornacie, który przywiózł mu ks. Maciej Majek. Po nakręceniu sceny kapłan podszedł do niego i powiedział ze łzami w oczach: „Dziękuję ci, dzięki tobie on żyje". – I to jest to, co sprawia, że ten film naprawdę warto było zrobić – podsumowuje aktor.

NA GROBIE RYCERZ

W filmie „Powstaniec 1863" zagrało wielu znakomitych aktorów, m.in.: Olgierd Łukaszewicz jako bp Piotr Paweł Beniamin Szymański, Daniel Olbrychski (por. Antoni Lemańczyk), Cezary Pazura (ks. Władimir Czerkasski), Karolina Szymczak (hr. Antonina Konarzewska), Marcin Kwaśny (Lachowicz), Ksawery Szlenkier (Franciszek Wilczyński). Wychodząc naprzeciw gustom młodych odbiorców, twórcy filmu zaprosili do teledysku promującego produkcję przyciągającą tłumy wokalistkę Sanah. Ta nie tylko wywiązała się z powierzonych zadań, lecz także zakomunikowała o tym na swoim forum: „Pokochałam wiersz »Na grobie rycerz« Marii Konopnickiej, jak tylko przeczytałam go po raz pierwszy! Od razu napisałam do niego melodię, a chwilę później spotkał mnie wielki zaszczyt – moja kompozycja znalazła się we wspaniałym filmie historycznym. Ach, tak się cieszę! Mam nadzieję, że utwór, jak i sam film, wzruszy Was tak bardzo jak mnie".

krak1944@gmail.com

OD LUDOBÓJSTWA DO PAMIĘCIOBÓJSTWA

Wojny wandejskie przeciw władzom republikańskim przeszły do historii jako wojna domowa, która, wybuchając w 1793 r., była aktem oporu wobec rewolucyjnego terroru. Rozprzestrzeniła się nawet na Bretanię, Belgię i jeszcze w 1798 r. obejmując obszar od Antwerpii poprzez Gandawę do Luksemburga. Ostatni powstańcy ukrywali się w lasach nawet w 1800 r. Toczyła się pomiędzy chłopskimi ochotnikami i dowodzącą nimi szlachtą a armią rewolucyjną, dążącą do siłowego podporządkowania zbuntowanej prowincji. Wciąż wywołuje emocje, bo z gwałtownej wojny religijnej przeobraziła się w wieloletni polityczny konflikt między monarchistami a republikanami. Jej przebieg jest też matrycą XX-wiecznych totalitaryzmów, zapowiadając masowe zbrodnie nazistowskich Niemiec i komunistycznych reżimów na całym świecie.

We Francji historia ta nie jest jednak zbyt dobrze znana. Reynald Secher, autor popularnej książki „Ludobójstwo francusko-francuskie. Wandea – Departament Zemsty", w latach 90. został wyeliminowany z debaty publicznej oraz z Sorbony. Termin „ludobójstwo" stoi bowiem we Francji w rażącej sprzeczności z oficjalnie przyjętą formułą „usprawiedliwień" okrucieństw dokonywanych przez rewolucyjny terror. Ten ostatni jest wciąż jednym z mitów założycielskich laickiej Francji, która, by go podtrzymać, praktykuje „pamięciobójstwo". Jednak pamięć o powstaniach w Wandei żyła np. w literaturze, m.in. w powieściach takich jak „Rok 93" Wiktora Hugo, „Szuanie" Honoriusza Balzaca czy „Biali i niebiescy" Aleksandra Dumasa. W Pol-

Epos o królu Wandei

We Francji poszli tropem Mela Gibsona, robiąc dysydenckie kino historyczne. Przejmujący film „Wandea. Zwycięstwo albo śmierć" o losach powstania wandejskiego chłopstwa przeciw terrorowi rewolucji jest hołdem dla jego bezimiennych ofiar, wszystkich, którzy walczyli za „Boga i króla"

MACIEJ WALASZCZYK

Film o pierwszym ideologicznym ludobójstwie, pomimo irytacji i bojkotu ze strony dużej części francuskich mediów, zgromadził ponad 300 tys. widzów. Gdy dziś obserwujemy Francję z bezwzględnymi, technokratycznymi rządami prezydenta Macrona i agresywną lewicą, nie sposób cofać się do ich źródeł, bijących w rewolucyjnym reżimie 1789 r. Tak jak dziś jego głównym beneficjentem była burżuazja, która dokonała swoistej konfiskaty państwa i uznała się za jego wyłącznego właściciela. Jej ofiarą zaś stało się stanowiące 90 proc. społeczeństwa chłopstwo, arystokracja, Kościół katolicki i jego duchowieństwo.

W 1984 r. Jan Paweł II beatyfikował 99 wandejskich męczenników z Angers. Dodatkowo polska premiera filmu miała miejsce w rocznicę pierwszych mistycznych wizji św. Małgorzaty Alacoque, za której pośrednictwem Kościół rozpowszechnił na świecie nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego. W Wandei jego kult był szczególnie silny ze względu na odnowę religijną, na którą w XVIII w. wpłynęła prowadzona tam działalność św. Ludwika Marii Grignion de Montfort. Szkaplerze wandejskie, a więc czerwone serca z wyrastającym z nich krzyżami, stały się potem symbolem powstańców i są do dziś, obok złotych kwiatów lilii, symbolem tradycyjnej Francji.

krak1944@gmail.com

sce głośny był zaś esej Pawła Jasienicy „Rozważania o wojnie domowej".

Film „Wandea" jest więc specyficzną produkcją, będącą hołdem dla 200 tys. Wandejczyków pomordowanych w imię „wolności, równości i braterstwa". Wyprodukowany został przez firmę Puy du Fou Films, należącą do położonego właśnie w departamencie Wandea parku tematycznego Puy du Fou. Jego właścicielem jest Nicolas de Villiers, syn prawicowego polityka Philippe'a de Villiersa, lidera Ruchu dla Francji. Drugim producentem jest Studio Canal, należące do katolickiego biznesmena Vincenta Bollorégo, właściciela kanału telewizyjnego CNews, w którym stałe komentarze wygłasza m.in. konserwatywny polityk i publicysta Éric Zemmour. Jak możemy się domyślać, film miał ograniczony zasięg, utrudniano jego dystrybucję, francuska lewica szybko go potępiła jako regresywny, twierdząc, że przedstawia uproszczoną wizję „dobrych rojalistów" przeciwko „złym republikanom", a krytyka oceniła go oczywiście jako nieudany. Fakt jego wyprodukowania uznano jednak za istnienie we Francji konserwatywnej ofensywy, która, wykorzystując soft power, toruje drogę swojej narracji historycznej.

Scenarzysta Vincent Mottez, robiący dotąd filmy dokumentalne, zastosował w filmie konwencję chronologicznej opowieści, snutej przez głównego bohatera, gen. François de Charette'a (Hugo Becker), który jako oficer Królewskiej Marynarki nie bez oporów godzi się objąć dowodzenie nad powstańczymi oddziałami. Od kilku lat hitem wspomnianego parku Puy du Fou jest wystawiane tam z powodzeniem (12 mln widzów!) widowisko teatralne „Le Dernier Panache", inspirowane właśnie historią rojalistycznego generała. Osiadły w swojej posiadłości bon vivant po rezygnacji ze służby jest przekonany, że nic go w życiu już nie spotka, gdy tymczasem los, wzorem przodków, zmusza go do zapłacenia „podatku krwi" w imię sprawy ważniejszej niż życie. Staje się więc jednym z najsłynniejszych dowódców powstania wandejskiego, biorąc udział w większości bitew stoczonych przez Armię Katolicką i Królewską. Władzom w Paryżu daje się we znaki szczególnie jako taktyk podjazdowej wojny partyzanckiej, za co podziwiał go sam Napoleon. Dlatego widz jest wrzucony w centrum dramatu, którego doświadcza główny bohater, stając przed dylematem odwetu czy podejmując ryzykowne negocjacje z władzami Konwentu. Film jest więc raczej panoramicznym freskiem opowiadającym o burzliwych losach powstania, ale też o terrorze „piekielnych kolumn" gen. Louisa Turreau, o deportacjach, paleniu i topieniu żywcem. Z akcją wypełnioną batalistycznymi scenami, kostiumami, malowniczymi plenerami, bardzo dobrą muzyką Nathana Stornetty. Zgodnie ze sprawdzonymi schematami kina historycznego, ale biorąc pod uwagę realia francuskie, politycznie niepoprawnego.

ROZPRAWA Z CHŁOPSTWEM I KOŚCIOŁEM

Początkowo chłopstwo i mieszczanie popierali rewolucyjne zmiany. Jednak ich radykalizm zmienił to nastawienie, wywołując zbrojny opór. Po przekształceniu się Stanów Generalnych w Zgromadzenie Narodowe Kościół znalazł się w prawnej próżni, którą władze Republiki postanowiły uregulować konstytucją cywilną kleru, czyniąc z duchowieństwa rodzaj klasy urzędniczej, odciętej od papiestwa. Działo się to równocześnie z konfiskatą kościelnej własności, niszczeniem miejsc kultu i prześladowaniem wiary. Film jako jedną z przyczyn wskazuje masowy pobór do armii, którego wcześniej nie praktykowano. Były nim również rozrost biurokracji, reorganizacja diecezji i sądownictwa, wzrost podatków, rozbudowa policji politycznej. To także plany przymusowego „uczłowieczania" mieszkańców wsi przez odgórne naśladowanie obyczajów ludzi z miast. Chłopi po prostu nie odpowiadali wizji nowego człowieka nakreślonej przez ideologów rewolucji.

Wandea była jednak prowincją kwitnącą gospodarczo, znaną z wielkich hodowli owiec (2 mln sztuk) i bydła, wielkich upraw pszenicy; prowincją, w której w tamtym czasie ok. 70 proc. ziemi należało do chłopów. Rewolucja przywróciła tymczasem m.in. przymusowe roboty przy budowie dróg i uprawie pól, przyniosła czterokrotny wzrost śmiertelności i ubóstwa, doprowadzając kwitnącą prowincję do nędzy. Już na początku 1793 r. lyońscy tkacze podnieśli bunt przeciw zamordowaniu króla Ludwika XVI i Republice. Został krwawo stłumiony, a represje dotknęły 60 tys. robotników. Potem wybuchł w Wandei i choć początkowo odnosił spore sukcesy, nie miał szans wobec zorganizowanego państwa, które nakazało „przeprowadzić eksterminację wszystkich powstańców, do ostatniego człowieka". Założone wówczas obozy koncentracyjne określano mianem „poczekalni śmierci". Oprócz zabijania ludzi palono domy, pola uprawne i lasy, wyżynano zwierzęta, zatruwano studnie i rzeki. Nie brano jeńców. Turreau określił Wandeę mianem „narodowego cmentarza", a kierujący rewolucyjnymi trybunałami Jean Baptiste Carrier nazwał Loarę, w której tysiącami topiono wrogów rewolucji, „narodową wanną" przyjmującą „rewolucyjny chrzest" swoich ofiar.

BĄDŹMY MŁODOŚCIĄ ŚWIATA

Gen. de Charette został stracony w Nantes w marcu 1796 r. Jego śmierć jest symbolicznym i faktycznym końcem powstania, które w istocie było obroną katolickiej wiary motywowanej żarliwą pobożnością. Choć tej sceny nie ma w filmie, chwilę przed śmiercią de Charette przystąpił do spowiedzi, której wysłuchał ksiądz zaprzysiężony na konstytucję, a którego kapłaństwa generał nie uznawał. Dlatego kilka godzin potem, co uwiecznia już oparta na autentycznym epizodzie scena, prowadzony na śmierć mija jeden domów wskazanych przez jego siostrę, przed którym dyskretnie skinął głową. W nim stary ksiądz udzielił mu absolucji i tylko, jak pisał jeden z historyków, „kilku wmieszanych w tłum znało powód, dla którego Charette skłonił głowę".

Historia Wandejczyków zdaje się więc być przepisem na klęskę, a również dziś doświadczamy zderzenia z fałszywie pojmowanym postępem w ramach odgórnego „zmuszania do wolności". Gen. de Charette pozostawia nam jednak słowa przesłania: „Ich świat, który nazywają nowym i który chcą założyć pod nieobecność Boga, jest stary jak diabeł", dlatego „w obliczu demonów, które odradzają się z wieku na wiek, bądźmy młodością świata".

Fot. Materiały prasowe

krak1944@gmail.com

3 MIŁOŚCI

Podnóżkiem Globalnego Trójnoga

ROBERT TEKIELI

Najbardziej porażające zdjęcie od czasu zapisanego przez obiektyw rechotu Wałęsy w Sejmie: na wawelskim krużganku stoi Lech Kaczyński, po jego bokach słuchający go z uwagą Wiktor Juszczenko i Micheil Saakaszwili. Juszczenko został otruty, Saakaszwili dogorywa w gruzińskim areszcie. Trzej wrogowie Władimira Putina.

Putin chce nowej Jałty. Od lat komunikuje to całemu światu. 1 marca 2018 r. w trakcie dorocznego orędzia przed Zgromadzeniem Federalnym ogłosił, że chce nowego podziału świata na strefy wpływów. Nie zadowoli się Ukrainą. Na pierwsze sygnały z USA zwiastujące ograniczenie pomocy finansowej i wojskowej dla Ukrainy Rosja rozwinęła swą armię do 800 tys. żołnierzy, a gospodarka jest przestawiana na tryb wojenny. Jeden z głównych rosyjskich dowódców, gen. Andriej Mordwiczew, mówi publicznie, że Ukraina to tylko etap. Dokładnie to samo – prezydent Biden w Izraelu i 11 listopada prezydent Andrzej Duda w Polsce. Dwa tygodnie temu rzecznik Departamentu Stanu USA Matthew Miller, komentując podpisanie przez USA umowy o współpracy wojskowej z Finlandią, powtórzył: Rosja nie zatrzyma się na Ukrainie. Z tego powodu do NATO oprócz Finlandii przystępuje tak mocno przywiązana do swej neutralności Szwecja, a Niemcy, przekonane jeszcze po lutym 2022 r. o swojej patronalnej roli w sojuszu z Rosją, wykonują teraz tak radykalne gesty, jak przeznaczenie w trybie specjalnym 100 mld euro na dozbrojenie armii.

Rosyjskie społeczeństwo podniosło głowę po dekadach smuty, wreszcie Matuszka Rossija dała komuś w mordę. Rosjanin może żyć w biedzie, może być upokarzany przez władzę, byle Rosji się bano, byle znów była państwem liczącym się na świecie. Według realizowanego już planu w przyszłym roku Armia Czerwona będzie liczyć 1,5 mln żołnierzy.

Trwa III wojna światowa. Po takiej czy innej neutralizacji Ukrainy, za dwa, trzy lata Rosjanie uderzą na Europę Zachodnią. Naciskani ze wschodu przez Chiny kierują się też ku Bliskiemu Wschodowi i Afryce. Dzięki Grupie Wagnera są obecni militarnie w kilkunastu krajach Czarnego Lądu, z powodzeniem wypierają z niej francuskie wojska imperialne, w ostatnich kilku latach mocno się osadzili w Libii, Republice Środkowoafrykańskiej, Sudanie i Mali, w tej chwili decyduje się, czy rosyjscy najemnicy pojawią się na stałe w Nigrze i Burkina Faso.

Moskwa realizuje zamysł globalny. Rosjanie nienawidzą Zachodu, decyzja o agresji na Ukrainę zapadła po zwycięskim kijowskim Majdanie. Bez promoskiewskiego rządu nad Dnieprem Rosja nie jest, nie może być mocarstwem.

Jaki plan przedstawił Xi Jinpingowi Putin? Rosja zagarnia Europę, Chiny biorą Azję, a Afryką dzielą się po połowie. Powstaje nowy ład, Globalny Trójnóg w miejsce mitycznej ułudy Końca Historii.

W trakcie wojny na Ukrainie upadł też mit rozstrzygającej przewagi jakościowej zachodniej broni. Przewaga istnieje, jednak nie zniweluje sześcio- czy ośmiokrotnej przewagi liczebnej Rosji. Bo USA, mające za głównego wroga Chiny, nie wyślą do Europy na pierwszą linię więcej niż 100 tys. żołnierzy. Do tego jeszcze Iran, który posłał Hamas na wojnę z jednym z najważniejszych sojuszników USA – Izraelem. Walka na trzech frontach? Nawet USA nie są w stanie unieść takiego ciężaru.

Tymczasem w Polsce po raz pierwszy od odzyskania wolności jedna ze stron politycznego konfliktu wysadziła ustrojowe bezpieczniki. W dodatku rządzą nami od kilku tygodni politycy miary Aleksandry Gajewskiej, sekretarz stanu w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, która w trakcie radiowej debaty pomyliła Krajowy Rejestr Sądowy z Krajową Radą Sądownictwa, a potem z Krajową Radą Radiofonii i Telewizji. Polskie dzieci będą się mniej uczyć, w miejsce portu mogącego odebrać Niemcom pieniądze równe wpływom z całego podatku PIT będziemy mieli parki narodowe i rezerwaty na Odrze. Rządzący ogłosili plan „wygaszenia sygnału" instytucjom sądowniczym, antykorupcyjnym i finansowym. Celem jest chaos i maksymalne osłabienie najsilniejszego państwa naszej części Europy.

Nieprzypadkowo komisarz Jourová przyjechała do Polski w dniu rozpoczęcia siłowego przejmowania mediów publicznych przez rząd Donalda Tuska. Jej warszawskie zdjęcie ze spotkania z ambasadorem USA w Polsce było symbolicznym wyrazem zgody Waszyngtonu na plan niemiecki. Zamożna Rzeczpospolita, rosnąca w gospodarczą i polityczną siłę, będąca podmiotem międzynarodowej gry, nie jest na rękę żadnemu z wielkich graczy. Za przyzwoleniem USA ekipa rządząca rozpoczęła proces dewastacji państwa, tak by Polska mogła jak najsprawniej zostać wchłonięta przez niemieckie imperium w budowie. Mamy być podnóżkiem Globalnego Trójnoga.

W Mariupolu trzy lata temu też mieli wypasione Boże Narodzenie. Dziś w tym półmilionowym kiedyś mieście nie ostał się kamień na kamieniu.

krak1944@gmail.com

POPKULTURA

Warte Wśród nowości fantasy na polskim rynku ciekawa powieść Richarda Swana z cyklu „Imperium Wilka" zatytułowana ***„Sprawiedliwość królów"***. Przeczytałem ją w cztery wieczory i sięgnę po drugi tom, zapowiadany na luty. Mamy w niej atrakcyjne uniwersum: imperium w czasie przełomu, niebanalną galerię bohaterów, jest wszechogarniający spisek, są prawdziwe dylematy – np. taki: czy do obrony praworządności można użyć metod niesprawiedliwych. Głównym bohaterem jest doświadczony Sędzia, sir Konrad Vonwalt, z równym powodzeniem posługujący się dedukcją, co mieczem czy magią, której na szczęście wyobraźnia autora zakreśliła wyraziste granice, co sprawia, iż mamy do czynienia z wiarygodną, wręcz realistyczną prozą. Kryminalna intryga na tle walk o cesarski tron, heretycy i fanatycy, zmagania stronnictw, psychologiczny weryzm, skomplikowane relacje pomiędzy trójką głównych bohaterów. U boku Sędziego stoi bowiem jego utalentowana podopieczna Helena Sedanka, a o ich bezpieczeństwo troszczy się wierny Bressinger. Swan pozostawił w pierwszym tomie cyklu wiele otwartych tropów, zarówno jeśli chodzi o intrygi polityczne, jak i wątek magiczny, w którego tle domyślamy się istnienia otchłannych tajemnic. Do tego wszystkiego „Sprawiedliwość królów" przyciąga swego rodzaju oldskulowym szarmem i klarownością świata wewnętrznego bohaterów.

POPKULTURA

Ewentualnie Film ***„Symulacja"*** to kolejna wariacja na temat AI, jednak niewiele wnosząca do tematu. Android stworzony na podobieństwo zmarłego męża, Urząd Kontroli Sztucznych Inteligencji, globalny haker i wątek „wolności" dla maszyn oraz definicji człowieczeństwa czy też istnienia granic między człowiekiem a stworzonym przezeń humanoidem. Całość nawet do obejrzenia, choć akcja nie porywa, a aktorstwo jest na średnim poziomie: niestety ani Jordana Brewster, znana z „Szybkich i wściekłych", ani Sam Worthington („Avatar", „Przełęcz ocalonych") nie byli w najlepszej formie. Jest trochę ciekawych efektów specjalnych, jednak twórcy filmu nie byli w stanie zainteresować widzów nawet kształtem świata przyszłości, co jest przecież najłatwiejszym do wykreowania nośnikiem atrakcyjności fabuł science fiction.

Niewarte Z dużo większą ambiwalencją piszę o książce Tamsyn Muir ***„Gideon z Dziewiątego"***. Jest to horror fantasy, którego akcja toczy się w eklektycznym świecie nekromantów i kosmicznych promów. Mnóstwo tu niekonsekwencji fabularnych oraz psychologicznych uproszczeń. Rzecz jest skrojona chyba pod nastoletnich miłośników horrorów. Autorka była nominowana do najważniejszych nagród środowiska fantasy, więc być może nie będąc docelowym adresatem twórczości panny Muir, czegoś nie rozumiem lub coś ważnego mi w jej twórczości umyka. Na pewno dobrze oddany jest klimat rozkładu, dekadencji, śmierci cywilizacji, akcja toczy się wartko, niektóre dialogi mogą śmieszyć. Jednak rzecz całkowicie pogrąża wątek damsko-damski, nieprzekonujący i wprowadzony na siłę.

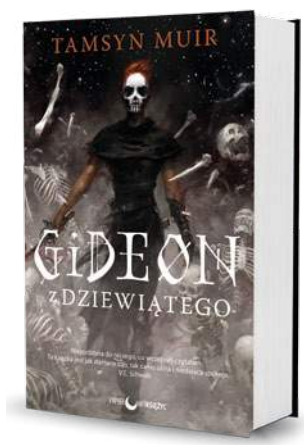

POPKULTURA

Warte Z przyjemnością, choć przecież bez większych zachwytów, obejrzałem przegapiony przeze mnie w swoim czasie film scence fiction ***„Looper – Pętla czasu"***. Punkt wyjścia jest świetny. W 2072 r. kontrolę nad podróżami w czasie przejmuje mafia. Zamiast wrzucać ofiary do morza czy rozpuszczać w kwasie siarkowym, odsyła je do 2042 r., tam giną i w ten sposób mamy zbrodnię doskonałą. Looper to egzekutor, w tej roli Joseph Gordon-Levitt, problemy zaś zaczynają się, gdy mafiosi odsyłają 30 lat starszą wersję głównego bohatera, którą gra Bruce Willis. Nie daje się on zastrzelić swemu wcześniejszemu wcieleniu i wtedy akcja zdaje się przechodzić w galop. Niestety niezwykły potencjał tej historii został jedynie częściowo wykorzystany, co dziwi, bo reżyserem filmu jest Rian Johnson, który dał poznać się szerokiej widowni filmem „Gwiezdne wojny: Ostatni Jedi" oraz dwoma nominacjami do Oskara za własne scenariusze. „Looper" to solidne kino, poza Gordon-Levittem i Willisem nieźle na ekranie wypadają Emily Blunt i Jeff Daniels, zwroty akcji zaskakują, trudno się nudzić, a wprowadzenie wątku telekinezy pozwala domknąć historię w sposób nieobrażający niczyjej inteligencji, co coraz rzadziej udaje się twórcom science fiction.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

krak1944@gmail.com

Irydion wciąż spiskuje

Ukazała się niesamowita płyta. Dostępna w streamingu, ale bez szans, by pojawiła się w radiu i telewizji

Maciej Walaszczyk

Taka np. „Babko, udaj się!” to kipiący pomysłami głos w obronie dzieci przed fałszywymi przyjaciółmi z lewicy, dla której są najwyżej materiałem do politycznej obróbki. Mamy też szyderę na amatorki przypadkowej miłości podczas Erasmusa, zniewolenie pieniędzmi i „społecznościówkami” („Bagno”), obronę polskiego munduru opluwanego przez celebrytów („Mój mundur”). Czasem ostro, ale bez wulgaryzmów i z prawdziwie lirycznym wyczuciem. W „Elegii do św. Grzegorza (od napadów i dilerki)” zespół pyta, czy spośród ofiar policji akurat trzeba było uczynić „świętym” dilera z wyrokami za napady. Wyrosłe na śmierci Georga Floyda BLM to przecież przygnębiające świadectwo dekadencji społeczeństw Zachodu. Brzeski Irydion od dwóch dekad alarmuje, że niejedyne. Debiutował płytą „Credo” (2003). Potem pojawiła się bardzo dobra „44!” – obie w konwencji hardcore, poetycko-patriotyczne, z dozą publicystyki, np. na temat islamskiego terroryzmu („Bomber”) czy aborcji („W obronie życia”), bo przecież „życie nie może być zwykłą pomyłką”.

„#naszatonacja” – Irydion, płyta dostępna w serwisach streamingowych pod linkiem: https://id.ffm.to/naszatonacja

Od lat wojnę z zespołem toczy m.in. „Gazeta Wyborcza”, co zaowocowało ostrą w odpowiedzi „Agorafobią” z udziałem rapera Ptaku. W 2019 r. z pozytywnym zaskoczeniem wysłuchałem ich koncertu zamykającego Marsz Niepodległości, gdzie pomiędzy rockowymi wersjami „Rozkwitały pąki białych róż” a „Balladą o Janku Wiśniewskim” popisali się kapitalnym „Serca i kotwice”, przypominając Irlandczyków z Dropkick Murphys, jak też o tym, że „wciąż nasze są ulice i nasze kamienice”. To też mógłby być przebój, ale na pewno nie w Radiu Zet. Potem muzyczny hołd dla żołnierzy NSZ „Bartka” Flamego, cztery lata temu produkcja „D.O.M”, pełna poetyckich piosenek z wierszami Słowackiego czy Broniewskiego. Okazuje się, że miasto Brzeg również ma blizny po PRL, czego przypomnieniem była nagrana z udziałem Bastiego płyta „Wydarzenia brzeskie 1966” wraz z towarzyszącym jej komiksem historycznym wypełnionym rysunkami Jakuba Kijuca.

Minęło 20 lat, a zespół Irydion wciąż płonie żywym muzycznym ogniem, nieustannie podsycanym – jak deklarowali członkowie kapeli – paliwem frustracji, żarem młodzieńczych marzeń, popiołami ideałów i „palącą potrzebą wykrzyczenia tego wszystkiego światu prosto w twarz”. Z wyobraźnią, świetnymi pomysłami, stylistycznym rozmachem rozciągającym się od metalowych ciężarów przez ujmujące rockowe piosenki po poetyckie ballady. Wielka różnorodność i pomysłowość przyniosły więc wspomnianą płytę „#naszatonacja”. Nagraną z gościnnym udziałem m.in. sesyjnych muzyków, wokalistów i wokalistek, zespołu ludowego Tarczynianie, Starosielskiego Bractwa Śpiewaczego oraz gregoriańskiej scholi. Są na niej utwory z dyskretnym folklorystycznym piętnem, jak niepokojąca „Kalina”, irydionowe interpretacje „Siadaj, Siadaj” jako ponurej satyry na rządzącego Wrocławiem Jacka Sutryka czy „Szła Maryna koło młyna”, będąca przewrotnym komentarzem na temat kobiet uciekających od małżeństwa. To nie pierwsze lepsze folkrockowe krzyżówki. Epicki rozmach „Wolność: Te Deum” czy „Chorału” przypominają, że ta płyta to wydarzenie, które należy dostrzec.

krak1944@gmail.com

Lament Bonapartego

„Napoleona", dzieło widowiskowe, ale wątpliwe historycznie, ilustruje ścieżka dźwiękowa, która na pewno przypadnie do gustu wszystkim miłośnikom muzyki filmowej

Ridley Scott zaprosił do jej skomponowania Anglika Martina Phippsa, autora muzyki do m.in. czterech z sześciu sezonów serialu „The Crown". W przypadku „Napoleona" Scott miał go zainspirować ścieżką Leonarda Rosenmana z „Barry Lyndona" Stanleya Kubricka. Chodziło o sięganie wyłącznie do oryginalnej muzyki z epoki lub już istniejących filmów. W kilku więc miejscach krytycy i czujni słuchacze rozpoznali motywy z „Dumy i uprzedzenia", a dokładnie melodię z rozpoczynającego go fortepianowego „Świtu", zaś tworzący je Dario Marianelli czerpał obficie m.in. z wczesnych sonat fortepianowych Beethovena. Podobny zamysł miał więc towarzyszyć filmowej muzyce Phippsa.

Otwiera ją melodia bardzo przypominająca motyw „Ojca chrzestnego" – w końcu to film o Korsykańczyku wychowanym w kulturze włoskiej. Płynie ona z rozstrojonego pianina pamiętającego czasy cesarza, potem akordeonu, mandolin, by w końcu wybrzmieć w pełni orkiestrą, kobiecymi wokalizami i chórem. Liryczna muzyka zapada w pamięć, przenika przez większą część partytury, kulminując w „Oczekiwaniu dam", doskonałym drugim wykonaniu na instrumenty dęte drewniane i akordeon. Dalej mamy typowe orkiestrowe elegie jako tła obrazów bitewnych („Requiem pod Waterloo"), klasyczne stylizacje do scen salonowych, cerkiewny śpiew w mrocznej „Rosji" i przeradzający się w żałobny marsz „Powrót do Francji".

Tu dochodzimy do powodu, dla którego w ogóle warto pisać o tym soundtracku. Znalazły się na nim trzy utwory wykonane we współpracy z zespołem Ensemble Organum. Kogo interesuje muzyka wczesnochrześcijańska i średniowieczna, ten słyszał pewnie rekonstruowaną z pietyzmem archeologów muzykę sakralną opracowywaną przez zespół Marcela Pérèsa. Na początku grudnia gościł on m.in. w Poznaniu. Jego wieloletnia działalność ujawniła ogromną różnorodność dziedzictwa muzycznego Europy, m.in. słynnej korsykańskiej polifonii. Wybrzmiewa więc ona za pośrednictwem wspaniałych męskich głosów w „Austerlitz Kyrie", „Upadku" i finałowym „Lamencie Bonapartego". Choćby z tego powodu warto posłuchać tej płyty. W filmie zamiast hollywoodzkich klisz nieoczekiwanie wybrzmiało najgłębsze dziedzictwo europejskiego Zachodu.

Martin Phipps, „Napoleon (Soundtrack from the Apple Original Film)"

Opowieść polskiego czetnika

W 1940 r. gen. Władysław Sikorski wydał polecenie utworzenia w Belgradzie Bazy Łączności Zagranicznej. Dwa lata potem przy sztabie gen. „Draży" Mihailovicia na Ravnej Gorze służbę zaczęło dwóch polskich oficerów łącznikowych. Stało się tak, gdyż na południe Europy przybywało coraz więcej Polaków. Dlatego sztab Naczelnego Wodza zadecydował o utworzeniu w drugiej połowie 1943 r. Polskiej Kompanii Wojskowej w ramach sił czetnickich. Liczącą 300 osób jednostką dowodził kpt. Józef Maciąg „Nash". W tym czasie dołączył do nich również Marian Błażejczyk, w PRL prawnik, inżynier, ekonomista i ichtiolog. Do przedwojennej Jugosławii, podobnie jak wielu naszych rodaków, przedostał się niczym Franek Dolas z komedii „Jak rozpętałem II wojnę światową", uciekając Niemcom z robót przymusowych z Grazu. Opisane w tych wspomnieniach pierwsze spotkanie z chorwackim oddziałem ustaszy jest dla niego doświadczeniem makabrycznym, o czym przekona się każdy, kto do nich sięgnie.

Brutalny konflikt na Bałkanach w czasie II wojny światowej toczył się bowiem w narodowościowo-religijnej mozaice, pośród wpływów niemieckich, włoskich, sowieckich i brytyjskich oraz ostrych konfliktów politycznych między narodami Jugosławii. Polacy, tacy jak Błażejczyk, walczyli więc po stronie gen. Mihailovicia z Niemcami, Włochami, Bułgarami i Albańczykami. Ich przeciwnikami były też miejscowe oddziały profaszystowskie, np. Serbski Korpus Ochotniczy, oraz komunistyczna partyzantka Tity.

W grudniu 1944 r. Błażejczykowi udało się przedostać do Polski. Tam, zatajając, że należał do rojalistycznej Jugosłowiańskiej Armii w Ojczyźnie, wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego. We wspomnieniach także nie wyjawił wszystkiego, stosując przemilczenia i niedopowiedzenia, gdyż, jak twierdził, „pełna prawda nie zostałaby zaakceptowana".

Marian Błażejczyk, „Polski czetnik. Krwawa bałkańska droga (1943–1945)", Replika, Warszawa 2023

krak1944@gmail.com

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Podstolina” – a co po niej?

Tydzień przed Bożym Narodzeniem TVP1 nadała ostatni w 2023 r. teatr. To „Podstolina”, spektakl złożony ze sporych fragmentów „Zemsty” Aleksandra Fredry. Adaptacji dokonał i wyreżyserował Mariusz Malec. Znam go przede wszystkim z radiowych spektakli przybliżających nam dramaty starożytne. Lata temu zrobił Teatr Telewizji o „Anodzie”, bohaterze Batalionu Zośka, aresztowanym i uśmierconym przez komunistów.

„Podstolina” to wariacja na temat jednej z najczęściej granych sztuk hrabiego Fredry. Uczczono nią koniec Roku Fredrowskiego. To kolejny spektakl grany na żywo. Niczego się nie montuje. Aktorzy grają w czasie, kiedy widzowie ich oglądają, jak w normalnym teatrze.

Widziałem skądinąd ten swoisty montaż po raz pierwszy w postaci tzw. performatywnego czytania na festiwalu Dwa Teatry w Zamościu. Tam pomysł wybrania fragmentów „Zemsty”, tak aby wyeksponować drugoplanową w istocie postać Podstoliny, graną z dowcipną swadą przez Wiktorię Gorodecką, nawet mi się spodobał. Był to rodzaj zabawy, żartu, nawet happeningu – wiadomo, że w salce zamojskiej szkoły muzycznej nie dałoby się zagrać całej „Zemsty”. Potem przeniesiono to do radia w formie słuchowiska. I znów – przy 40-minutowym formacie radiowego teatru cała „Zemsta” była trudna do zmieszczenia.

Aktorzy nie w pełni to grali, raczej markowali grę, ale z jakim kunsztem, a Paweł Paprocki w roli Wacława, brzdąkał na fortepianie własną, świetną muzyczną ilustrację. Było błogo i fajnie.

Jednak wersja telewizyjna budzi moje wątpliwości. Jak się ma takich mistrzów, jak Jarosław Gajewski (Cześnik), Andrzej Mastalerz (Rejent) i Krzysztof Szczepaniak (arcyzabawny, brawurowy Papkin), robi się jednak całą „Zemstę”. Telewizję było na to stać – czasowo i finansowo. Dotyczy to także udziału Gorodeckiej czy Paprockiego. „Zemsta” bez Dyndalskiego, bez sceny pisania listu, bez murarzy stała się nagle trochę półproduktem. Nie jestem nawet pewien, czy dla nieznających jej widzów w pełni czytelnym.

Z samego wyeksponowania Podstoliny nie wynikły jakieś nadzwyczajne odkrycia. Poza obserwacją, że to postać walcząca o pozostanie na majątkowej powierzchni, zarazem na chwilkę zakochana w młodszym mężczyźnie, więc poniekąd tragikomiczna. Ale przecież niektórych Fredrowskich bohaterów takie spostrzeżenia mogą dotyczyć zawsze – choćby Papkina. W wersji pełnej też można to było dodatkowo wygrać.

Do tego dochodzi obyczaj przebierania dawnych postaci we współczesne stroje (kostiumy Ewy Krauze). Może Cześnik w marynarce, Papkin z łańcuchem na szyi i Podstolina zajeżdżająca motorem mają nas przekonać o uniwersalizmie tych sytuacji. Może, ale mam poczucie odrobinkę zużytej maniery. Choć zarazem warto podkreślić, że było to grane zgrabnie, lekko, dowcipnie.

To ciągle był teatr, jaki warto przypominać. I tu uwaga końcowa. Moje pytanie dodane do recenzji telewizyjnego „Skiza” Zapolskiej, czy nowa władza zachowa Teatr Telewizji jako instytucję w dawnej postaci, wywołało reakcje. Pewien recenzent pouczył mnie, że ten teatr na pewno nie ucierpi, bo przecież nie był „pisowski”.

Ale to nie o „pisowskość” chodzi. Dziś, w warunkach tzw. likwidacji TVP, na nowe produkcje właściwie nie powinno być miejsca. „Likwidacja” spółki oznacza w teorii niezaciąganie nowych zobowiązań. A po jej ewentualnym cofnięciu? Pieniędzy na media publiczne będzie mniej, a ta nowa władza zawsze oszczędzała na kulturze. W 2015 r., u schyłku Platformy, spektakli na małym ekranie pojawiało się ledwie kilka. Polecam tę pointę artystom, którzy czekali na Donalda Tuska jak na wybawienie.

Piotr Zaremba

krak1944@gmail.com

Polityka klimatyczna w każdym domu

Do spełnienia unijnej wizji o bezemisyjnej Europie konieczna jest nie tylko wielka transformacja energetyki i przemysłu, lecz także radykalna rewolucja w domu, mieszkaniu i garażu każdego mieszkańca kontynentu. I to bez względu na to, czy tego chce, czy nie. Powoli, acz konkretnie zaczyna się wdrażanie zachęt, choćby w postaci nowych opłat, podatków i nakazów do bycia bardziej eko. 2024 r. to dopiero początek

Fot. Shutterstock

AGNIESZKA ŁAKOMA

Już w styczniu zaplanowano ostateczne ustalenia w sprawie dyrektywy o efektywności energetycznej budynków. Miesiąc temu uzgodniono większość zapisów, zatem decyzja Parlamentu Europejskiego praktycznie zamknie sprawę, lecz może otworzyć gigantyczną puszkę problemów, choć władze UE zapowiadają niezwykle pozytywne zjawisko, czyli falę renowacji.

Ta dyrektywa to nowy rozdział we wdrażaniu polityki klimatycznej, który postawi olbrzymie wyzwania nie tyle przed każdym z państw członkowskich, ile przede wszystkim przed tymi mieszkańcami Unii Europejskiej, którzy nie mieszkają w energooszczędnych domach i przed tymi posiadaczami mieszkań w budynkach wielorodzinnych, które nie spełniają ekostandardów. Tym wyzwaniem będzie niemal powszechny obowiązek zmodernizowania budynków – stąd zapowiedź fali renowacji. Wprawdzie ma być rozłożona na 15 lat, ale by zachęcić

krak1944@gmail.com

obywateli do szybszego działania, brukselscy urzędnicy i eurodeputowani przy walnym wsparciu rządów krajów członkowskich już teraz wprowadzą dodatkowe finansowe (a w praktyce karne) bodźce.

Jeśli do tego dodamy nowe przepisy o podatku od samochodów spalinowych, który ma ograniczyć lub bardziej precyzyjnie – zniechęcić Europejczyków (z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej) do korzystania z nich, a także dołożymy opłaty od emisji do ceny biletów lotniczych, to mamy pełen obraz polityki klimatycznej dla Kowalskiego, Schmidta, Leroya czy Novotnego.

A Chiny zarabiają…

Popularyzacja paneli słonecznych w Unii Europejskiej jak dotąd przynosi duże zyski Chinom. Z danych opublikowanych latem przez norweski think tank Rystad Energy wynika, że zyskały miliardy euro, bo w 2022 r. to właśnie na chińskie firmy przypadło 90 proc. wszystkich zamówień unijnych, a cały import osiągnął wartość ponad 20 mld euro. Na dodatek okazuje się, że Europa zgromadziła również wielkie zapasy chińskich paneli o wartości ok. 7 mld euro (40 GW mocy). Leżą one niewykorzystane w europejskich magazynach. Rystad Energy przewidywał również, że na koniec 2023 r. te zapasy wzrosną jeszcze bardziej, osiągając 100 GW.

Fot. Shutterstock

PALIWA KOPALNE Z PODATKIEM

Nawet jeśli komuś się wydaje, że remontowa fala to odległa przyszłość, bo formalnie na modernizację ma jeszcze kilkanaście lat, to lepiej, żeby nie czekał. Wcześniej, i to znacznie – bo najprawdopodobniej już za trzy lata, zaczną obowiązywać podatki od emisji CO_2 przy wykorzystaniu paliw kopalnych, czyli w przypadku ogrzewania domów i mieszkań przy użyciu oleju opałowego, węgla i gazu ziemnego. W 2027 r. wejdzie w życie nowy system handlu uprawnieniami do emisji – tzw. EU ETS 2 w transporcie i budownictwie. Pierwszy działa od lat i powoduje, że emitenci, np. elektrownie węglowe, muszą kupować pozwolenia na emisję CO_2, a te podnoszą – co oczywiste – koszty produkcji prądu, skoro każda tona emisji wyceniana jest na ponad 80 euro, a nawet więcej.

Podobny system „kar za emisje" będzie obejmował gospodarstwa domowe, a ściślej rodziny, które ogrzewają swoje domy paliwami kopalnymi. Na początek każda tona emisji „dla ludzi" ma być wyceniana maksymalnie na 45 euro (być może – aby nie zniechęcić Europejczyków – w pierwszym roku ta cena będzie niższa o kilka euro, ale raczej nie więcej).

Można się spodziewać, że efekty nowych podatków najbardziej odczują Polacy, gdyż to w naszym kraju jest wyjątkowo dużo domów z piecami na węgiel, a nad Wisłą nie brakuje także elektrociepłowni wykorzystujących paliwa kopalne.

Jak duże będą to opłaty, najlepiej zobrazuje przykład. Jeśli ktoś do ogrzania domu w naszym kraju zużywa 3 t węgla, to przy spaleniu każdej z nich emituje 2,86 t CO_2. Przy cenie emisji po 45 euro/t CO_2 za ogrzewanie trzeba będzie zapłacić o 386 euro więcej, a zatem przy kursie 4,30 zł za euro będzie to kwota ok. 1660 zł. Jak znaczący to wydatek, wystarczy wziąć pod uwagę, że przed jesienno-zimowym sezonem grzewczym można było kupić węgiel w cenie promocyjnej po ok. 900 zł/t. Zatem gdyby podatek obowiązywał już teraz, to spowodowałby wzrost kosztu ogrzewania o 60 proc.

Jeżeli w domu jest piec gazowy, opłata za emisję będzie odpowiednio niższa. Przy założeniu, że do ogrzewania powierzchni 100 m^2 zużywamy ok. 1000 m^3 błękitnego paliwa rocznie, to przy emisji 1,96 kg CO_2 opłata z tego tytułu wyniesie ok. 380 zł/m^3.

Oczywiście koszty ogrzewania wzrosną również w budynkach wielorodzinnych, po wprowadzeniu podatku wyższe rachunki na pewno zapłacą mieszkańcy blokowisk, do których ciepło jest dostarczane z elektrociepłowni węglowej lub gazowej.

Jak istotne znaczenie dla domowych budżetów mają koszty ogrzewania, nie trzeba nikogo w Polsce przekonywać. Ten problem widać też w szerszej, unijnej perspektywie. Gdy w ub.r. po napaści Rosji na Ukrainę drastycznie zdrożały surowce – zwłaszcza ropa i gaz ziemny, to okazało się, że nawet mimo wartych miliardy euro systemów wsparcia społeczeństw i ochrony przed drożyzną wiele rodzin miało problemy z opłaceniem rachunków, m.in. za dostawę ciepła. Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny (EKES) latem ub.r. poinformował na podstawie danych Eurostatu, że 9,3 proc. populacji UE nie było w stanie odpowiednio ogrzać swoich domów w 2022 r. Rok wcześniej taki problem miało 6,9 proc. społeczeństwa UE, a zatem wzrost jest drastyczny, bo o jedną trzecią. Dlatego EKES wskazał na problem, jakim jest rosnące ubóstwo energetyczne w Europie.

Paliwa kopalne w UE są na cenzurowanym od wprowadzenia w 2008 r. tzw. pakietu klimatyczno-energetycznego, który zakładał obowiązek redukcji emisji, a teraz będą pod jeszcze większą presją. I to nie tylko te używane w ciepłownictwie, lecz także wykorzystywane w transporcie. Podatek od emisji ma być doliczany do każdego litra tankowanego oleju na-

krak1944@gmail.com

pędowego oraz benzyny. W naszym kraju te przepisy zaczną obowiązywać w 2027 r. A wcześniej, bo już w br., zostanie wprowadzona opłata rejestracyjna od aut spalinowych – w 2026 r. ten podatek roczny będą musieli płacić wszyscy posiadacze tradycyjnych samochodów. To swoisty (karny) rodzaj zachęty do rezygnacji z aut spalinowych, czyli przesiadki do droższych „elektryków". Państwa unijne zdecydowały, że za 11 lat nie będzie można już zarejestrować nowego samochodu z tradycyjnym napędem.

Elektromobilność w ogóle ma wkraczać w nasze życie ze zdwojoną siłą, bo musi objąć także transport publiczny. Np. zgodnie z obowiązującą ustawą w tej sprawie do 2028 r. w każdym mieście liczącym ponad 50 tys. mieszkańców 30 proc. taboru ma być eko.

POWSZECHNE REMONTY I EKOINWESTYCJE

Z nowej dyrektywy o efektywności energetycznej budynków wynika, że wszystkie nowe budynki już w 2030 r. mają być zeroemisyjne, a zatem wyposażone w ekologiczne instalacje – nie tylko do ogrzewania. Unia Europejska, zakazując pieców na paliwa kopalne, stawia na pompy ciepła i panele słoneczne. I to ma być cel, do którego powinno dążyć nie tylko nowe, lecz także stare budownictwo, stąd obowiązek renowacji. Komisja Europejska obliczyła, że do końca tej dekady w państwach unijnych będzie działać 30 mln pomp ciepła, choć część ekspertów sceptycznie ocenia ten plan.

W naszym kraju – jak pokazał spis powszechny sprzed trzech lat – w sumie ponad połowa źródeł ciepła w domach wykorzystuje gaz i inne paliwa kopalne (stałe). Natomiast według analiz Lewiatana jeszcze z 2022 r. dostosowanie zasobu budowlanego w Polsce do standardu bezemisyjnego „wymagać będzie przeprowadzenia około 7,5 mln termomodernizacji, w tym 4,7 mln termomodernizacji głębokich". Wówczas szacowano, że trzeba będzie „wymienić około 6,9 mln źródeł ciepła na urządzenia i instalacje bezemisyjne, a realizacja tych inwestycji wymagać będzie poniesienia 1,54 biliona złotych do roku 2050".

Koszty renowacji starego domu jednorodzinnego z uwzględnieniem docieplenia według unijnych wymogów oraz wymiany okien, połączonej z montażem paneli słonecznych i pompy ciepła, to wydatek znacznie przekraczający 100 tys. zł. Oferowane z programów krajowych i unijnych wsparcie oraz dotacje stanowią niewielką ulgę w wydatkach. Na dodatek w Polsce sytuacja jest specyficzna, bo są jeszcze miejscowości i osiedla, gdzie dopiero doprowadzana jest sieć gazownicza. I ciągle są chętni, by wymienić piec węglowy na gazowy.

Wymogi wynikające z dyrektywy wobec nowych budynków mieszkalnych obejmują także te stawiane przez deweloperów. Bloki i apartamentowce będą musiały być zeroemisyjne, co wpłynie również na koszty budowy. A w konsekwencji zostaną one najpewniej przerzucone na nabywców.

> Można się spodziewać, że efekty nowych podatków w polityce klimatycznej najbardziej odczują Polacy, gdyż to w naszym kraju jest wyjątkowo dużo domów z piecami na węgiel, a nad Wisłą nie brakuje także elektrociepłowni wykorzystujących paliwa kopalne

W 2030 r. ekologiczne ogrzewanie i panele słoneczne będą obowiązkowe w każdym nowo oddanym do użytku domu.

WIELKIE KOSZTY, JAKIE POPARCIE

Chęć władz Unii Europejskiej i rządów wielu jej państw członkowskich, by Stary Kontynent dał przykład światu, jak mamy zwyciężać w walce z globalnym ociepleniem, jest tak silna, że powstaje wrażenie, iż na ostatni plan spychana jest dyskusja o skutkach i wydatkach tego przedsięwzięcia. Mimo że na całą Europę przypada ok. 7 proc. światowej emisji CO_2, a na liście liderów pod tym względem są Chiny, Indie, Rosja i USA, to właśnie UE ma największą ambicję, by być liderem transformacji i dekarbonizacji. Dotychczas głównie miały za to odpowiadać przedsiębiorstwa, czyli ogólnie – różne branże z energetyką na czele, ale teraz koszty ochrony klimatu ponosić mają wszyscy mieszkańcy UE.

Biorąc pod uwagę stopień poparcia społecznego dla polityki klimatycznej, Polska jest w środku unijnego peletonu. Niektórzy z ekspertów wskazują na to, że dopóki polityka klimatyczna nie wpływa bezpośrednio na koszty utrzymania i zasobność rodzinnego portfela, poziom poparcia jest i będzie znaczący, bo oczywistym jest, że każdy chce oddychać czystym powietrzem. Gdy jednak okaże się, że zacznie się to wiązać z dodatkowymi utrudnieniami, podatkami i opłatami, entuzjazm zapewne spadnie. Najbliższe lata będą okazją do testu poparcia. Tym bardziej że nowy rok wszyscy rozpoczynamy od drastycznych podwyżek cen prądu i gazu. Gospodarstwa domowe odczują je na dobre w drugim półroczu, gdy przestanie obowiązywać ustawowe zamrożenie rachunków, więc te za energię mogą wzrosnąć o ok. 40 proc. (podwyżka stawek za każdą kWh wzrasta realnie o 80 proc.!). Lecz znacznie wcześniej należy się spodziewać podwyżek przynajmniej niektórych towarów i usług, gdyż z zamrożenia cen nie będzie korzystać biznes, jak to miało miejsce w ub.r., gdy obowiązywała tzw. Tarcza Solidarnościowa i branża energetyczna razem z rządem ponosiła koszty zamrożenia cen.

Warto także pamiętać, że Polska jest jednym z ostatnich krajów w UE, w którym ceny energii dla gospodarstw domowych są jeszcze regulowane, czyli zatwierdzane przez prezesa Urzędu Regulacji Energetyki. Powinny one zostać całkowicie uwolnione zgodnie z unijnymi przepisami. I należy się tego spodziewać jeśli nie w tym roku, to w kolejnych latach.

krak1944@gmail.com

VITO RAHO*

Vito w Polsce

Urodził się w Apulii, regionie południowych Włoch, ale z wyboru jest obywatelem świata. Jako uzdolniony lingwistycznie fotograf i przewodnik wędruje z kraju do kraju. Na jego podróżniczym szlaku nie mogło zabraknąć Polski.

Swoją ośmioetapową wyprawę po naszym kraju rozpoczął od serca Górnego Śląska, Katowic, gdzie, jak czytamy w zapowiedzi programu, zafascynowało go połączenie górniczych tradycji z wypełnioną szklanymi biurowcami nowoczesnością. Następnie przeniósł się do Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Bajeczna kraina, której szlaki ściągają licznych turystów, a skałki wspinaczy, też chwyciła za serce włoskiego podróżnika. Położony niedaleko Kraków odsłonił przed nim historię polskich królów, a smocza jama uraczyła legendami.

Na kolejny przystanek w podróży wybrał Bieszczady. Włoch poczuł tu ponoć silny wiatr południowo-wschodnich rubieży Polski. Spróbował też jazdy na huculskim koniu. Z kolei w Dolinie Dunajca poznał smak regionalnego napoju Dionizosa, przekonując się, że i polska winorośl może oferować ciekawe walory smakowe.

W wyjątkowym w skali światowej renesansowym Zamościu w cieniu krużganków skosztował lokalnego specjału – cebularza. Trafił też nad Bug, gdzie mógł oglądać dziewiczą naturę.

Ostatnim przystankiem na trasie jego „odkryć" była Warszawa, na którą – podobnie jak na wcześniej poznawane rejony za sprawą przewodnika-obcokrajowca – również polski widz będzie miał szansę spojrzeć z nowej perspektywy.

Jolanta Gajda-Zadworna

** Włoski podróżnik, bohater programu „Vito odkrywa Polskę". Kolejne odcinki ośmioczęściowego programu podróżniczego „Vito odkrywa Polskę" można oglądać w każdą niedzielę o godz. 11.50 w TVP HD*

Fot. Natalia Pawlucka, materiały prasowe

krak1944@gmail.com

SŁODKO-SŁONY

Z sosem

ANNA MONICKA

Polskie sosy to nie tylko tłuszcz wytopiony z mięsa, doprawiony przyprawami czy śmietaną. W Małopolsce sosem polskim nazywano np. przetarte gotowane żółtka utarte z sokiem i skórką cytrynową, chrzanem, tartą cebulą, a wszystko doprawione szczypiorkiem, rzeżuchą, gęstą kwaśną śmietaną i majonezem oraz solą i pieprzem. Podawano go na ciepło lub zimno – do past, wędlin, mięs albo gotowanych warzyw.

Na Lubelszczyźnie sos polski miał inny kolor i smak – robiono go ze sparzonych pomidorów, posiekanej papryki, cebuli, czosnku, śliwek węgierek; zdecydowanie bliżej mu było smakiem do egzotycznego chutneya, bo warzywa duszono, przecierano i duszono z octem, doprawiano gorczycą, mielonym cynamonem, pieprzem, chilli.

Niezwykle popularny był czarny sos z pieprzu, imbiru, octu i miodu, któremu kolor nadawały powidła śliwkowe. Gdy podano go konkurentowi starającemu się o pannę, natychmiast rzedła mu mina, oznaczał bowiem tyle co czernina, czyli danie kosza.

Szary sos zdecydowanie mocniej dawał się we znaki wątrobie – zasmażkę z masła i mąki doprawiano bowiem mięsnym wywarem, rodzynkami, piernikiem. Pamiętam z dzieciństwa popisowe danie mojej babci, czyli karpia w szarym sosie – uparcie próbowała do niego przekonać najmłodszą część rodziny, jednak ryba na słodko kompletnie nam nie wchodziła; dziś może byłoby inaczej, ale przepis przeszedł do historii wraz z nestorką naszej rodziny, która lubiła jedzenie tłuste i bardzo tradycyjne, a mimo to dożyła 98 lat. Z jej sosów robimy jeszcze od czasu do czasu tzw. tatarski – z posiekanych ogórków kwaszonych, marynowanych grzybów, jogurtu, musztardy i majonezu – doskonały z domowym pasztetem.

Ale smaki bardzo się nam zmieniły. Wolimy lżejszą kuchnię, doprawiamy mięsa i warzywa oliwą, czosnkiem i limonką lub cytryną albo duszonymi i przetartymi owocami, które pasują także do serów. Ulubieńcem wszystkich jest sos chlebowy, z czerstwego razowca na zakwasie. Robi się go bardzo prosto: 1 l tłustego mleka trzeba mocno podgrzać z cebulą, zielem, listkiem, goździkami, pieprzem, solą i odstawić na kwadrans. Gdy wyłowimy przyprawy, w ich miejsce dodajemy pokrojony chleb, a po kilku minutach, gdy się rozpadnie, odrobinę masła i kremówki. Dokładnie rozcieramy i doprawiamy do smaku solą oraz startą gałką muszkatołową. Jest świetny do pieczonego drobiu. U mnie w domu razowcem zagęszczamy także soki, które wypływają z mięsa w czasie duszenia lub pieczenia. Polecam, taki sos jest lepszy od samego mięsa.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Buk z jodłą, jodła z bukiem

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jednym z najpiękniejszych polskich typów lasów jest las bukowo-jodłowy, określany też, zależnie od udziału tych gatunków drzew, jako jodłowo-bukowy. Kolejność gatunków w nazwie nie ma wielkiego znaczenia, określa tylko aktualne, wzajemne proporcje; ważna jest natomiast sama istota: współistnienie i współpraca.

Pomiędzy jodłami i bukami nie ma animozji. Wręcz przeciwnie. Zmiany są sprawą naturalną i istotą tego siedliska. Zdarza się, że dominuje jodła: wówczas większość potężnych, nieraz przekraczających 40 m wysokości i kilka metrów obwodu pnia drzew tworzących główny drzewostan jest iglasta. Buki jednak zawsze są obecne. I na odwrót – jeżeli drzewostan główny jest tworzony w większości przez jasnokore buki, zawsze gdzieś pomiędzy nimi widać ciemną zieleń jodły.

Najciekawsze zjawisko dotyczy odnawiania się takiego lasu. Ani jodły, ani buki nie popierają swoich własnych siewek. Wydawałoby się, że naturalną konsekwencją będzie dążenie jodeł, żeby las był tylko jodłowy, a buków, żeby wszystko stało się buczyną. Jest jednak dokładnie przeciwnie – małe buczki najlepiej czują się pod wielkimi jodłami, a młode jodły najlepiej kiełkują i rosną pod osłoną buków.

Jeżeli więc przez dziesiątki lat jodeł było więcej, stopniowo zaczyna się to zmieniać i odpowiedzialność za las przejmują buki. Po to, żeby za jakiś czas znowu przekazać pałeczkę jodłom. Rozrastając się, jednocześnie przygotowują zmianę. Wszystko odbywa się płynnie i harmonijnie.

Taki naturalny mechanizm gwarantuje trwałość lasu. Czy chwilowo będzie bardziej liściasty, czy iglasty, tak samo pełni swoją rolę, zapewniając wielką różnorodność nisz ekologicznych, w których każda roślina, zwierzę czy grzyb znajdzie swoje miejsce.

A wszystko odbywa się dzięki współpracy. Żaden z gatunków nie dąży do zdominowania drugiego, nie byłoby to w jego interesie i nie byłoby dobre dla lasu.

I naprawdę nie ma znaczenia, czy aktualnie las jest jodłowo-bukowy, czy na odwrót. Buk potrzebuje jodły, a jodła buka, zaś oba gatunki, niezależnie od tego, na jakiej akurat są pozycji, zdają sobie z tego sprawę.

krak1944@gmail.com

W polskim Sejmie

Alina Czerniakowska

„Kiedy prawa człowieka są lekceważone lub deptane i gdy wbrew zasadom sprawiedliwości interesy partykularne stawia się wyżej niż dobro wspólne, wówczas zasiane zostaje ziarno nieuchronnej destabilizacji, buntu i przemocy". Na początku 2024 r. każdy polityk, wszyscy ludzie działający w przestrzeni publicznej, zanim zaczną wypowiadać swoje racje, powinni posłuchać i kilkakrotnie przeczytać przemówienie Jana Pawła II, wygłoszone w Sejmie w 1999 r. Było to wydarzenie bez precedensu w naszych dziejach, na sali obrad zgromadzili się posłowie, senatorowie, obecni byli do dzisiaj aktywni politycy, prezydenci, premierzy. Byłam tam wówczas wśród dziennikarzy, patrzyłam na twarze tych, którzy dzisiaj są najbardziej zaciętymi wrogami Polski Jana Pawła II, ale wtedy stojąc, wiwatowali i byli wyraźnie wzruszeni. Kiedy Jan Paweł II wszedł do sali sejmowej, rozległy się oklaski. Zebrani odśpiewali razem z papieżem „Boże, coś Polskę". Nasz rodak na początku podkreślił: „Miejsce, w którym się znajdujemy, skłania do głębokiej refleksji nad odpowiedzialnym korzystaniem w życiu publicznym z daru odzyskanej wolności oraz nad potrzebą współpracy na rzecz dobra wspólnego. Niech nam w tej refleksji pomoże przywołanie na pamięć jakże licznych w ciągu ostatnich dwu stuleci heroicznych świadectw polskiego dążenia ku własnemu suwerennemu państwu, które dla wielu pokoleń naszych rodaków istniało jedynie w marzeniach, w przekazach rodzinnych, w modlitwie. Mam tu na myśli przede wszystkim czasy rozbiorów i związaną z nimi walkę o odzyskanie utraconej Polski, wykreślonej z mapy Europy. Brak tej podstawowej struktury politycznej, kształtującej rzeczywistość społeczną, był zwłaszcza podczas ostatniej wojny światowej tak dotkliwy, że w warunkach śmiertelnego zagrożenia samego biologicznego istnienia narodu doprowadził do powstania Polskiego Państwa Podziemnego, które nie miało analogii w całej okupowanej Europie". Przemówienie było przerywane brawami i powstawaniem z miejsc. Wydawało się, że wszyscy, niezależnie od przynależności partyjnej, poglądów, wiary, rozumieją doskonale przesłanie wielkiego papieża.

„Im mniej prawdy, tym mniej wolności w działaniu, bo wolność ludzka zawsze łączy się z prawdą. Prawda wyzwala. Dobrem osoby jest istnienie w prawdzie i czynienie prawdy. Wolność bez prawdy, na zasadzie robię co chcę, przeradza się w anarchię, całkowite spustoszenie życia. Wolność bezwarunkowa przyznana sobie samemu musi być zabrana komuś innemu. […] Człowiek bez stawiania ograniczeń swojemu własnemu ja (ja chcę) i bez konieczności dawania siebie innym ulegnie pokusie bycia jak Bóg". „Wykonywanie władzy politycznej czy to we wspólnocie, czy to w instytucjach reprezentujących państwo powinno być ofiarną służbą człowiekowi i społeczeństwu, nie zaś szukaniem własnych czy grupowych korzyści z pominięciem dobra wspólnego całego narodu". Papież zacytował fragment kazań sejmowych ks. Piotra Skargi do senatorów i posłów I Rzeczypospolitej: „Miejcie wspaniałe i szerokie serce. Nie cieśnijcie ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach, nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich! Niech się na lud wszytek z was, gór wysokich, jako rzeka w równe pola wylewa! Kto ojczyźnie swej służy, sam sobie służy; bo w niej jego wszystko się dobre zamyka". Jan Paweł II przestrzegał: „Istnieje groźba sprzymierzenia się demokracji z relatywizmem etycznym, który pozbawia życie społeczności trwałego moralnego punktu odniesienia, odbierając mu zdolność rozpoznawania prawdy". Nawiązując do chrześcijańskich korzeni Europy, przypomniał: „Duchowe oblicze Europy kształtowało się dzięki wysiłkowi wielkich misjonarzy i dzięki świadectwu męczenników. Kształtowano je w świątyniach wznoszonych z wielkim poświęceniem i w ośrodkach życia kontemplacyjnego, w humanistycznym przesłaniu uniwersytetów. Człowieka trzeba ujmować w jego całości, to znaczy we wszystkich jego wymiarach osobowych – bez pomijania wymiaru etycznego i religijnego. Jakże uboga pozostałaby kultura europejska, gdyby zabrakło w niej chrześcijańskiej inspiracji! Nową jedność Europy, jeżeli chcemy, by była ona trwała, winniśmy budować na tych duchowych wartościach, które ją kiedyś kształtowały, z uwzględnieniem bogactwa i różnorodności kultur i tradycji poszczególnych narodów. Ma to być bowiem wielka Europejska Wspólnota Ducha. W tym miejscu ponawiam mój apel, skierowany do Starego Kontynentu: Europo, otwórz drzwi Chrystusowi!". Przesłanie Jana Pawła II było przerywane długimi brawami, które dzisiaj umilkły, ale „jego słowa powracają coraz głośniej, bębniąc echem po naszych opustoszałych sercach i umysłach".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

REKLAMA

47/1223/F

krak1944@gmail.com

Michał Korsun prezentuje:
11 stycznia. Panie marszałku, barierki wracają?

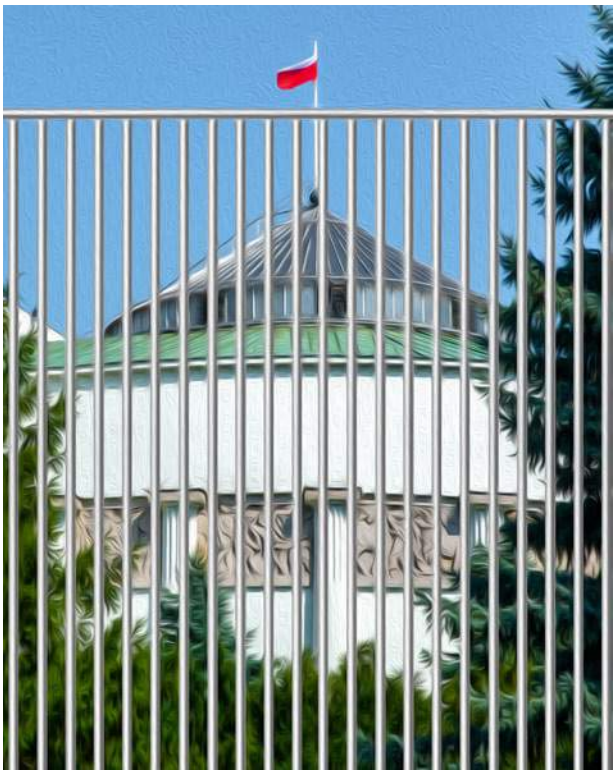

Ref. Shutterstock

Wycinki z przeszłości

„Dla Ciebie w rok nowy niech gwiazdy ułożą się w szczęśliwy znak" – życzyła redakcja „Na Szerokim Świecie" w pierwszym numerze z 1935 r. Dołączając się do życzeń, wybraliśmy też kilka żartów z tego kolorowego tygodnika.

MAŁA TRUDNOŚĆ

– Nie ożenię się nigdy z kobietą, która byłaby mądrzejsza ode mnie!

– O, to nie dobrze, może pan zostać starym kawalerem.

ECHA ŚWIĄTECZNE

– Zdaje się, żeś zapomniał, że przed samymi świętami w Wigilię pożyczyłeś ode mnie 20 zł?

– Ale, broń Boże, jest to jedno z moich najpiękniejszych wspomnień.

ZGODA NA RANDKĘ

– Czy mogę mieć nadzieję, że spotkam jeszcze kiedyś panią?

– Niech pan do mnie zatelefonuje.

– A który numer telefonu, jeśli wolno spytać?

– Znajdzie pan w książce telefonicznej.

– A w takim razie – jakie nazwisko?

– Znajdzie pan tuż obok numeru.

(mk)

Kupowanie nowego kalendarza (czyli sytuacja poniekąd poetycka)

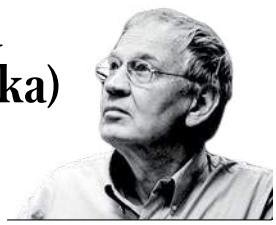

Leszek Długosz

Tak, właśnie cała ta półka
Przed panem
Od góry do dołu
Lub na odwrót
Od fartu do nienajgorzej
Jak kto woli, może inaczej – od szczęśliwych
Do mniej pomyślnych
U mnie to kwestia ceny
Najdroższe, wiadomo, różowe
Te na górze
Potem fortunne
Pomyślne
– Umiarkowanie
– Powściągliwie pomyślne
O te... te w szaro zielone ciapki

To może zdecydowałbym się?
Któryś z tych?
W tym
Powściągliwie optymistycznym?
Wie pan, to oczywiste, wszystkie posiadają
Tę samą ilość stron
Dni i nocy, czyli tak samą ilość szansy
Reszta to już nie zależy od producenta
Reszta to jak się tam potem komu powypełnia
To nie nasze możliwości
Z tym już do Zleceniodawcy Wyżej
Najwyżej usytuowanego

A reszta?
To decyduje się pan na któryś?
A reszta?
Tak, gdzieś to kiedyś już powiedziałem
(Zaśpiewałem może nawet?)
„A reszta? Pojdzie w chmury na regały
I potrwa i zabawi i zaboli tyle
Jaką i chwilę przetrwa
Ta przechowalnia napowietrzna"
Jaką i chwilę?
Jednak zaryzykuję, tak, cały proszę
W komplecie
Płacę
Ile?

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

krak1944@gmail.com

OD A DO ZYBERTOWICZA

Bezpodstawna otucha

Hinton nie zgodziłby się z dr. Przysuchą, gdy ów mówi: „Maszyna nie rozumie tego, co robi". Według Hintona wcale nie musi tak być

Aktualny już 2024 r. nieźle da nam popalić. Takie obawy są głoszone, nie tylko w odniesieniu do polskiej polityki, dość powszechnie. W dodatku ci, którzy je wyrażają, potrafią to przekonująco uzasadnić, np. odwołując się do dobrze widocznych trendów. Stąd psychicznie zrozumiały popyt na wizje kojące.

Wygląda, jakby na takie zapotrzebowanie chciał też odpowiedzieć tygodnik „Sieci", publikując w numerze noworocznym wywiad pt. „Nie bójmy się sztucznej inteligencji". Tytuł jest wspierany przez lead: „Sztuczna inteligencja podobnie jak kalkulator ma większe możliwości obliczeniowe niż człowiek. Ale nikt nie mówi, że kalkulatory przejmą kontrolę nad ludzkością. Straszenie ludzi sztuczną inteligencją jest bardzo medialne".

MEDIALNE, CZYLI…

…bezpodstawne? Taka sugestia ma nas uspokoić? Nic z tego. Przepowiadanie pod koniec 2021 r. rosyjskiej napaści na Ukrainę też było bardzo medialne, – ale… Tu dalszy ciąg każdy czytelnik może sobie dopowiedzieć.

Redakcja nadała uspokajający tytuł wywiadowi, który red. Dorota Łosiewicz przeprowadziła z dr. Bartoszem Przysuchą, kierownikiem Katedry Metod Ilościowych w Zarządzaniu na Politechnice Lubelskiej. Badacz opowiada, czym jego zdaniem jest dzisiejsza AI i dlaczego nie należy jej się bać.

Po przeczytaniu tekstu widać, że tytuł jest mylący. Uważna lektura nie daje otuchy. By to pokazać, ograniczę się (niniejszy felieton ma objętość równą jednej czwartej treści wywiadu) do dwóch tylko powodów. Pierwszy to nietrafność argumentów dr. Przysuchy, drugi to niespójność przesłania tytułu i leadu z treścią wywiadu. Ale po kolei.

NIECELNE ARGUMENTY

Bartosz Przysucha uspakaja, mówiąc, że dzisiejsze modele AI: „Mają problem np. ze zrozumieniem dowcipów czy aluzji". Rzecz w tym, że to po prostu nieprawda. Tylko ilustracyjnie powiem, że Goeffrey Hinton, jeden z ojców dzisiejszej AI, w rozmowie dla magazynu „The New Yorker" opisał swoje kontakty z ChatGPT, który wykazał się zdolnością rozumienia i objaśniania dość wyrafinowanych żartów.

Tenże Hinton nie zgodziłby się też z Przysuchą, gdy ów mówi: „Maszyna nie rozumie tego, co robi". Według Hintona wcale nie musi tak być.

Zaś gdy Przysucha przekonuje: „Chat będzie taki, jakim go nauczymy, żeby był, ale nie wpadnie nagle na pomysł, żeby zacząć sterować fabryką robotów, tak by one pozabijały ludzi, czy być miłym, gdy został nauczony być niemiłym, bo to może zrobić komuś przykrość", to piszący ten tekst nie tylko protestuje, ale pyta: skąd pan to wie, panie doktorze? Nie słyszał pan o zjawisku emergencji, tj. pojawieniu się w systemach AI zdolności, których wcześniej nie zaprojektowaliśmy?

GDZIE TYTUŁ, GDZIE TREŚĆ

Chociaż dr Przysucha sam zauważa pewne zagrożenie związane z AI: „Problemem może być poziom i tempo ekspansji. To się tak szybko rozwija, że możemy stracić możliwość długofalowego planowania" – to z owej możliwości nie wyciąga jednak żadnych wniosków. Tak samo jak z innych własnych słów: „Teraz wyobraźmy sobie świat, w którym już dzieci korzystają z ChatGPT. Nie będą umiały zrobić nic kreatywnego. Jak więc wykonywać później kreatywne zadania?". Tego też nie powinniśmy się obawiać?

A w jeszcze innym miejscu mówi: „Sztuczna inteligencja sama z siebie nie doprowadzi do zagłady ludzkości, bo nie ma woli. Może być jednak źle użyta".

Ładne to uspokojenie! Przecież z punktu widzenia ryzyka naszej zagłady jest kompletnie bez znaczenia, czy nastąpi ona dlatego, że Władimir Putin czy inny dyktator/szaleniec/„zbawca" ludzkości (niepotrzebne skreślić) posłuży się jakąś bronią cyfrową, czy też dlatego, że sama AI, realizując jakieś zadania, np. na polu ochrony środowiska, przy okazji radykalnie zdestabilizuje globalny ekosystem.

Na argument red. Łosiewicz, że zagrożenie jednak występuje i że „10 proc. naukowców zajmujących się AI uważa, że jednak jest zagrożeniem dla ludzkości", badacz z politechniki rozbrajająco oznajmia: „Czyli aż 90 proc. tak nie uważa. […] Ja nie widzę terminatorowej wizji przyszłości".

Niestety, nie tylko ten badacz przegapia to, co najistotniejsze.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 3/0124/F

krak1944@gmail.com

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL

JAKUBOWSKA • JARECKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**

krak1944@gmail.com

krak1944@gmail.com